

HOLLYWOOD TERRORYZUJE SERYJNY MORDERCA...

**J A M E S  
P A T T E R S O N  
M A R Y,  
M A R Y**





**PATTERSON JAMES**  
**Alex Cross 11 - Mary Mary**

## **JAMES PATTERSON**

Książką tę dedykuję moim przyjaciołom – Johnny'emu, Frankiemu, Nedowi, Jimowi i Jimowi, Steve'owi, Mike'owi, Tomowi i Tomowi, Merrillowi, Davidowi, Peterowi, B.J., Delowi, Halowi, Ronowi, Mickeyowi i Bobby'emu, Joemu oraz Artowi. A także Mary Jordan, która sprawiła, iż wszystko to jakoś się złożyło, i która jest skrajnym przeciwieństwem zbrodniczych Mary i Mary.

### **Prolog** **Opowiadacz** **Rozdział 1**

Akt pierwszy, scena pierwsza... Opowiadacz z trudem hamował niecierpliwość, która przyprawiała go o zawrót głowy. Wiedział, że zwykli ludzie bezustannie dokonują zbrodni doskonałych i morderstw, o których nikt się nie dowiaduje, ponieważ sprawcy nigdy nie zostają wykryci.

On oczywiście również nie zostanie nigdy wykryty. Takie było założenie historii, którą miał zamiar opowiedzieć.

Ale to wcale nie oznaczało, że dzisiejszy dzień nie szarpał mu nerwów. Stanowił ukoronowanie kilku lat jego obłąkańczych wizji. Nareszcie był gotów zabić swoją pierwszą ofiarę – całkowicie przypadkowego człowieka – i doszedł do wniosku, że najodpowiedniejszym miejscem do dokonania tego czynu będzie Nowy Jork.

Mało brakowało, by do tego doszło tuż po jego przybyciu do miasta, przed podziemną toaletą na stacji Bloomingdale, ale uznał, że nie jest to odpowiednie miejsce. Było zbyt hałaśliwe. Choć dochodziła dopiero dziesiąta trzydzieści, kręciło się tam zbyt wiele osób. Nie było też zarazem dość hałaśliwe, by zagwarantować wystarczające obniżenie uwagi przechodniów.

Co więcej, nie podobała mu się perspektywa ucieczki nieznaną mu Lexington Avenue, a zwłaszcza klaustrofobicznymi

tunelami metra. Zrobi to, kiedy wewnętrzny głos podpowie mu, że nadszedł właściwy moment.

Powędrował więc dalej, postanawiając obejrzeć film w Sutton Theater przy Wschodniej 57, w obskurnym, zdewastowanym kinoteatrze, pamiętającym lepsze czasy.

Może to miejsce będzie bardziej odpowiednie. Była w tym pewna ironia losu, choć tylko on to wiedział. Tak, tu wszystko powinno pójść gładko – pomyślał, zajmując miejsce w jednej z dwóch małych salek.

Zaczął oglądać *Kill Bill 2* wraz z siedmioma innymi wielbicielami Tarantino.

Kto z tych niczego niepodważających ludzi stanie się jego ofiarą? Ten? A może tamten? Zastanawiając się nad tym, szkicował w głowie plan swojego opowiadania.

W sali siedziało dwóch blockersów w balseballowych czapkach nowojorskich Jankesów, założonych daszkami do tyłu. Przez cały czas niekończących się reklam i zapowiedzi tym denerwującym kretynom ani na moment nie zamykały się gęby. Obaj zasłużyli na śmierć.

Nie tylko oni. Zasłużyło na nią również okropnie ubrane starsze małżeństwo, które ze sobą nie rozmawiało. W ciągu piętnastu minut, nim zgasły światła, ani razu się do siebie nie odezwali. Zabicie ich byłoby miłosiernym uczynkiem, może nawet przysłużyłoby się całemu społeczeństwu.

Szczupła kobieta po czterdziestce, siedząca dwa rzędy przed nimi, wyglądała, jakby miała dreszcze. Nie wzbudzała niczyjego zainteresowania – ale on ją zauważył.

Jego uwagę zwrócił jeszcze ogromny czarnuch, opierający nogi na siedzeniu przed sobą. Prymitywny cham w wielkich tenisówkach, co najmniej czternaście. Ostatni był czarnobrody kinoman: matoł, który oczywiście był fanem Quentina Tarantino i pewnie już kilkanaście razy oglądał ten film.

W połowie filmu, gdy Urna Thurman została żywcem pochowana, brodaty cudak wstał. Jak, na Boga, można wychodzić w trakcie takiej sceny?

Opowiadacz doszedł do wniosku, że taki lekceważący stosunek do sztuki powinien zostać ukarany. Wstał i poszedł za czarnobrodym obskurnym korytarzem do męskiej toalety, która mieściła się obok drugiej salki kinowej.

Poczuł dreszcz podniecenia. Więc to za moment nastąpi? Jego wielka chwila, jego pierwsze morderstwo... Początek

wszystkiego, o czym marzył od miesięcy. A nawet lat. Włączył swojego wewnętrznego autopilota. Postanowił myśleć wyłącznie o precyzyjnym wykonaniu zadania, a potem o wyjściu z kina – musiał to zrobić tak, by nikt nie zapamiętał jego twarzy lub czegokolwiek z jego powierzchowności. Brodaty facet stał przy pisuarze, co ułatwiało zadanie. Kadr był doskonale skomponowany.

Na pierwszym planie wymięty, niechlujny T-shirt z napisem NOWOJORSKA SZKOŁA FILMOWA i logo w formie klapsa. Opowiadaczowi przypominała się postać z komedii Daniela Clowesa – to nadrukowane gówno było w tym momencie bardzo aktualne.

–Uwaga... akcja! – powiedział i strzelił brodatemu pechowcowi w tył głowy, a potem już tylko patrzył, jak tamten pada niczym ciężki worek na podłogę toalety.

Brodacz leżał, nie ruszając się. W wykafelkowanej toalecie huk wystrzału zabrzmiał głośniejszy, niż Opowiadacz oczekiwał.

–Hej, co to? Co się dzieje? – usłyszał nagle za sobą.

Odwrócił się i stwierdził, że ma widownię.

Do toalety weszli dwaj bileterzy kina. Prawdopodobnie zważył ich tu niespodziewany hałas. Co zdołali zauważyć?

–Atak serca – wyjaśnił Opowiadacz, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. – Facet przy pisuarze nagle się przewrócił. Pomóżcie mi go podnieść. Biedak krwawi!

Żadnego strachu, żadnych emocji, żadnych kalkulacji. Działał instynktownie, nieważne, jakie miałyby być tego konsekwencje – dobre czy złe.

Uniósł pistolet i strzelił do obu pracowników kina, którzy stali w drzwiach jak idioci, popatrując to na niego, to na trupa.

Potem strzelił do nich po raz drugi, kiedy już leżeli. Na wszelki wypadek. Profesjonalnie.

Teraz już trząsał się jak galareta. Nogi miał jak z waty, ale mimo to wyszedł bez pośpiechu z toalety, wymaszerował z Sutton Theater na ulicę i ruszył pieszo na wschód. Otoczenie wydawało mu się nierzeczywiste, jakby nagle znalazł się na innej planecie: wszystko było jasne i rażące.

Dokonał tego. Pierwszy raz w życiu zabił, w dodatku od razu zabił troje ludzi. To morderstwo było pomyślane jako sprawdzian, który przeszedł pomyślnie, co więcej, tak mu się to spodobało, że miał ochotę na powtórkę.

Praktyka udoskonala – stwierdził, idąc do swojego samochodu, który miał mu posłużyć jako środek ucieczki. Przeżył właśnie najwspanialszą chwilę swojego życia, choć oczywiście niewiele mówiło to o jego dotychczasowym życiu.

Ale teraz wszystko się zmieni. Poczekajcie tylko!

Robił to dla Mary i Mary.

Na razie oczywiście tylko on o tym wiedział.

## Rozdział 2

Sądzisz, że znów będziesz w stanie zabić kogoś z zimną krwią? Po morderstwach w Nowym Jorku ciągle zadawał sobie to pytanie.

Sądzisz, że kiedy już wiesz, jak to jest, będziesz umiał się powstrzymać? Jesteś tego pewny?

Czekał bardzo długo. Kosztowało go to niemal pięć miesięcy tortur, które można by nazwać samodyscypliną, profesjonalizmem lub tchórzostwem. Tym razem zadanie było trudniejsze, bo osoba, która miała umrzeć, była kimś znanym.

O 15.10 znalazł się na widowni Westwood Village Theater w Los Angeles na pokazie filmu *The Village*. Wśród tłumu widzów było kilku sponsorów, co zapewne cieszyło reżysera filmu, M. Nighta Shyamalana. Co to za nazwisko, M. Night?

Jakież to pozerstwo.

Patrice Bennett była ostatnią osobą w mieście, która dałaby się namówić na obejrzenie horroru. Tymczasem siedziała w tej chwili na widowni, wśród tłumu przypadkowych widzów, by sprawdzić, jak film na nich działa. Bardzo to było przemyślane.

Cóż, wszyscy ją z tego znali. Lubiła takie numery. Kupiła zawczasu bilet, wiedział więc, że będzie na pokazie.

Tym razem to już nie będzie sprawdzian. Wszystko rozegra się zgodnie z planem, tak jak sobie obmyślił.

Przede wszystkim nikt w kinie nie powinien go zauważyć. Udał się więc tam o dwunastej, a potem, kiedy zaczął się pokaz, przeczekał w toalecie do 15.10. To była ciężka, szarpiąca nerwy próba, ale wytrzymał ją. Gdyby ktoś go zauważył, po prostu odłożyłby realizację swojego zamierzenia.

Jednak nikt go nie zauważył – przynajmniej tak mu się zdawało – on zaś nie spostrzegł nikogo, kto mógł go znać. W kinie było teraz ponad stu widzów, a może potencjalnych podejrzanych? Przynajmniej kilkunastu z nich było jego nieświadomymi pomocnikami.

Co ważniejsze, miał teraz tłumik w pistolecie. Ucieczka z kina w Nowym Jorku czegoś go nauczyła.

Patrice siedziała na balkonie. To mi odpowiada, Patsy, przemknęło mu przez głowę. Jesteś zamyślona, co ci się rzadko zdarza, ty supersuko.

Siedział kilka rzędów za nią, po przeciwległej stronie przejścia, obserwując ją. Było to wspaniałe uczucie – chciał, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Z drugiej strony korciło go, by jak najprędzej pociągnąć za spust i wynieść się z kina, zanim coś pójdzie źle. Ale co właściwie mogłoby pójść źle?

Kiedy Joaquin Phoenix został zasztyletowany przez Adriana Brody'ego, Opowiadacz spokojnie podniósł się z krzesła i poszedł prosto do rzędu, w którym siedziała Patrice. Nie wahał się nawet przez sekundę.

–Przepraszam – powiedział, przeciskając się obok niej, nad jej chudymi gołymi nogami, które nie wyglądały zbyt imponująco jak na gwiazdę z Hollywood.

–Jezu Chryste, człowieku, patrz lepiej na film! – W jej głosie pobrzmiwał ton wyższości, w dodatku niepotrzebnie złośliwy.

–Jeszcze nie wiesz, kogo sama zaraz zobaczysz. Na pewno nie Jezusa – wycedził, zastanawiając się, czy Patrice rozumiała, o czym mówi. Raczej nie. Takim ludziom zawsze brakowało subtelności.

Strzelił do niej dwa razy – raz w serce, drugi między

wytrzeszczone z przerażenia oczy. Rozzuchwalony poczuciem własnej mocy psychol nie zna pojęcia „wystarczająco” martwy. Patrice mogłaby przecież wrócić z grobu ukrytym wyjściem, jak w zakończeniu *Carrie*, pierwszej ekranizowanej powieści Stephen Kinga.

Potem dokonał perfekcyjnie obmyślonego odwrotu.



**Jak w filmie.**

**Tak zaczęła się jego opowieść.**

**Część 1**

**Morderstwa „Mary Smith”**

## Rozdział 3

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Arnold Griner zmrużył swoje małe zezowate oczy i pokrobał się obiema rękami po niemal bezwłosej głowie. Boże, oszczędź mi tego, pomyślał. Życie jest za krótkie, żeby je poświęcać na takie gówna. Już nie wytrzymują. Mam dość tej hecy z Mary Smith.

W redakcji „LA Timesa” panował codzienny poranny rozgardiasz: dzwoniły telefony, wszyscy poruszali się z prędkością chodzących sportowców; ktoś obok rozprawiał o nowej ramówce telewizji – jakby kogokolwiek mogło to interesować.

Jak można, siedząc przy swoim własnym biurku, w swoim boksie, w środku tej całej bieganiny, czuć się osaczonym?

A jednak Griner tak właśnie się czuł.

Poczuł przeszywające ukłucie strachu, jakby mu wbito igłę w rdzeń kręgowy. Nie pomógł xanax, który zażywał od chwili, gdy przed tygodniem otrzymał pierwszy e-mail od Mary Smith.

Temu strachowi towarzyszyła jednak zawodowa ciekawość.

Griner był wprawdzie tylko redaktorem działu rozrywki, ale wietrzył szansę wielkiego tematu, który mógł na wiele tygodni zdominować pierwsze strony „LA Timesa”. W Los Angeles

### 19

został zamordowany ktoś bogaty i sławny. Nie musiał nawet czytać e-maila, żeby być pewnym, iż tak się stało. „Mary Smith” zawsze dotrzymywała słowa.

Cisnęły mu się do głowy dwa pytania: kto tym razem został zabity i dlaczego właśnie on, Griner, znalazł się w centrum tej makabrycznej sprawy?

Dlaczego nie ktoś inny, tylko ja? Musi być jakiś powód, choć przypuszczał, że gdyby go znał, dopiero wtedy miałby portki pełne strachu.

Drżącą ręką wybrał 911 i jednocześnie drugą kliknął wiadomość od Mary Smith. Boże, spraw, żeby to nie był ktoś, kogo znam. Kogo lubię.

Zaczął czytać, choć czuł wewnętrzny opór. Nie mógł się jednak powstrzymać. O Boże! Antonia Schifman! Biedna Antonia. Dlaczego ona? Była jedną z niewielu przyzwoitych osób, jakie znał.

Do: Antonia Schifman

Tego listu raczej nie uznasz za list od wielbicielki, choć byłam twoją wielbicielką.

Czy nie sądzisz, że 4.30 rano to bardzo wczesna

pora na wyjazd z domu jak na trzykrotną laureatkę nagrody Akademii Filmowej i matkę czworga dzieci? Przypuszczam, że to cena, którą płacimy za bycie tym, kim jesteśmy. Pewnie jedna z wielu.

Zjawiłam się pod twoim domem dziś rano, by ci pokazać złe strony sławy i bogactwa w Beverly Hills. Kiedy przyjechał po ciebie kierowca, żeby cię zabrać na plan, było jeszcze ciemno. To poświęcenie, którego twoi wielbiciele nie doceniają.

Weszłam przez bramę za samochodem, a potem przekradłam się alejką pod dom.

Nagle uświadomiłam sobie, że jeśli mam się do ciebie zbliżyć, twój kierowca musi umrzeć, lecz ta

## 20

myśl zupełnie mnie nie podniecała. Byłam zbyt zdenerwowana, trzęsłam się jak galareta.

Pistolet w mojej ręce drżał, kiedy zapukałam w okienko. Trzymając go za plecami, powiedziałam kierowcy, że za parę minut zejdziesz.

–Nie ma problemu – odparł.

I wiesz co? Ledwie na mnie spojrzał. Ale dlaczego miałby na mnie patrzeć? To ty jesteś supergwiazdą, której płacą piętnaście milionów za film, jak przeczytałam. Byłam dla niego tylko służącą.

Czułam się, jakbym grała w epizodzie jednego z twoich filmów, ale postanowiłam zagrać tę scenę do końca.

Wiedziałam, że za moment muszę tego dokonać.

Kierowca z pewnością dziwił się, dlaczego wciąż stoję przy samochodzie. Nie byłam pewna, czy jeśli na mnie spojrzy, nie będę zbyt przestraszona, żeby to zrobić. Ale spojrzał – i stało się.

Przystawiłam mu pistolet do twarzy i pociągnęłam za spust. Prawie niezauważalny szybki ruch, jak mrugnięcie okiem. Sekundę później nie żył, został skreślony. Teraz mogłam już zrobić wszystko, co zamierzałam.

Obeszłam samochód i usiadłam na siedzeniu pasażera, czekając na ciebie. Piękny wóz.

Luksusowy i wygodny, ze skórzanymi siedzeniami, barkiem i małą lodówką, pełną twoich ulubionych smakołyków. Batony Twix? Wstydz się, Antonio.

**Szkoda, że tak prędko wyszłaś z domu. Podobało mi się w twoim samochodzie. Atmosfera spokoju i luksusu. W ciągu paru minut, które w nim spędziłam, zrozumiałam, dlaczego chciałaś być tym, kim jesteś – a przynajmniej tym, kim byłaś. Kiedy przypominam sobie tę chwilę, czuję przyspieszone bicie serca.**

Zanim otworzyłaś drzwiczki, zatrzymałaś się na sekundę. Choć byłaś zwyczajnie ubrana i bez makijażu, wyglądałaś oszałamiająco. Przez zaciemnione szyby nie mogłaś widzieć ani mnie, ani martwego kierowcy. Ale ja cię widziałam.

Obserwowałam cię od tygodnia, Antonio. Byłam w twoim domu codziennie, jednak ty mnie nie zauważyłaś.

Jakaż to była fantastyczna chwila! Siedziałam w twoim samochodzie, a ty, w tweedowym kostiumie, w którym wyglądałaś jak praktyczna Irlandka, stałaś na zewnątrz.

Kiedy wsiadłaś, natychmiast zablokowałam drzwi i opuściłam ściankę działową. Gdy mnie zobaczyłaś, na twojej twarzy pojawił się ten sam wyraz jak w twoich filmach, kiedy grałaś przestraszoną.

Nie zauważyłaś jednak, że byłam równie przestraszona jak ty. Zęby mi dzwoniły i cała się trzęsłam. Dlatego zastrzeliłam cię, zanim którakolwiek z nas zdążyła się odezwać.

Scena trwała zbyt krótko, ale rozegrała się tak, jak ją zaplanowałam. Właśnie po to zabrałam ze sobą nóż. Mam nadzieję, że kiedy cię znajdą, nie będzie przy tym twoich dzieci. Nie chciałabym, żeby cię zobaczyły. Powinno się im powiedzieć, że mama wyjechała i nigdy nie wróci.

Biedne dzieciaki -Andi, Tia, Petra i Elizabeth.

Żal mi tylko ich. Słodkie maleństwa... już nie będą miały mamusi. Czy może być coś smutniej szego? Owszem, jest coś takiego – ale to moja prywatna tajemnica, której nikt nigdy nie pozna.

## Rozdział 4

Budzik zadzwonił o 5.30, lecz Mary Smith już nie spała. Zbudziła się wcześniej, myśląc o wielu rzeczach, przede wszystkim o tym, jak zrobić kostium jeżozwierzka do roli jej córeczki Ashley w szkolnym przedstawieniu. Czym zastąpić igły jeżozwierzka?

Było jeszcze bardzo wcześnie, lecz nie potrafiła wyłączyć swojego wewnętrznego automatu rejestrującego rzeczy, które należało zrobić.

Musiała kupić masło orzechowe, dziecięcą pastę do zębów Crest, syrop Zyrtec i małą żarówkę do nocnej lampki w łazience. Brendan o trzeciej miał trening piłki nożnej, natomiast Ashley o tej samej porze powinna znaleźć się na lekcji tańca dwadzieścia kilometrów stamtąd. Jak pogodzić jedno z drugim? Katar Adama mógł się przez noc rozwinąć, a ona nie mogła sobie pozwolić nawet na jeden dzień zwolnienia. Gdyby do tego doszło, będzie musiała pracować kilka razy na drugą zmianę. Delektowała się ostatnią chwilą spokoju w tym dniu. Za moment znajdzie się już przy kuchni, wydając polecenia i wykonując szereg codziennych porannych czynności.

–Brendan, pomóż siostrze zawiązać sznurowadła. Brendan, słyszysz? Mówię do ciebie.

–Mamo, mam brudne skarpetki.

### 23

–Przewróć je na drugą stronę.

–Mogę wziąć Cleo do szkoły? Mogę, mamo? Proszę, pozwól mi!

–Możesz, ale musisz wyjąć ją z suszarki. Brendan, o co cię prosiłam?

Nałożyła każdemu na talerz porcję jajecznicy. Jednocześnie z tostera wyskoczyły cztery grzanki.

–Śniadanie!

Kiedy dwoje starszych dzieci jadło, wzięła Adama do sypialni i ubrała go w czerwony dres i marynarską koszulkę. Niosąc go z powrotem i sadzając na wysokim krzeselku, przemawiała do niego pieszczotliwie.

–A gu, gu! Kto jest najładniejszym żeglarzem w mieście? Kto jest małym pieszczoszkiem swojej mamusi? – pytała, łaskocząc go pod brodą.

–Ja jestem twoim małym pieszczoszkiem – wtrącił Brendan, uśmiechając się. – Ja, mamo!

–Ty jesteś moim dużym pieszczoszkiem – odparła Mary. Położyła mu dłonie na ramionach. – Iz dnia na dzień robisz

się coraz większy.

–To dlatego, że wszystko zjadam – pochwalił się, pomagając sobie palcem nałożyć na widelec reszkę jajecznicy.

–Dobrze gotujesz, mamó – stwierdziła Ashley.

–Dziękuję, skarbie. A teraz pora na was. C.C.M.M.

Zaczęła zbierać naczynia. Brendan i Ashley odmaszerowali korytarzem, śpiewając: „Czyść, czyść, myj, myj. Zęby, włosy, ręce, buzię. Czyść, czyść, myj, myj...”.

Kiedy dwoje starszych się myło, Mary włożyła naczynia do zlewu, żeby je później umyć, przetarła wilgotnym ręcznikiem buzię Adama, wyjęła z lodówki przygotowane poprzedniego dnia wieczorem kanapki i włożyła każdemu z dzieci do jego plecaka.

–Idę przypiąć Adama do jego fotelika w samochodzie! –

zawołała. – Które ostatnie wyjdzie z domu, będzie ciamajdą.

Nienawidziła taktyki ośmieszania, doceniała jednak korzyści,

## 24

płynące z rozwijania współzawodnictwa między dziećmi. Słyszała, jak popiskiwały w swoich pokojach, śmiejąc się i jednocześnie bojąc być ostatnim, które zapakuje się do jej landary. Boże, kto dziś jeszcze mówi „landara”? Chyba tylko ona. A kto mówi: „O Boże”?

Przypinając Adama, próbowała sobie przypomnieć, co poprzedniego dnia wieczorem trzymało ją do tak późna na nogach. Dni – a teraz również noce – zlewały się w mglistą kołomyję, składającą się z gotowania, sprzątanego, jeżdżenia samochodem, sporządzania list spraw, które należało załatwić, wycierania nosów dzieci i znów jeżdżenia. Los Angeles miało niewątpliwie jedną wielką wadę, podobnie jak wszystkie inne duże miasta – połowę życia spędzało się w aucie, stojąc w korkach.

Powinna postarać się o jakiś samochód pożerający mniej benzyny niż ten wielki stary suburban, którym przyjechała na zachód.

Spojrzała na zegarek. Nie wiadomo kiedy minęło dziesięć minut. Dziesięć cennych minut. Czemu tak się działo? Dlaczego ciągle była w niedoczasye?

Pobiegła z powrotem do domu i wyciągnęła Brendana i Ashley na zewnątrz.

–Co tak długo robiliście? Znów się spóźnimy. Jezu Chryste, zobaczcie, która godzina!

## Rozdział 5

Okazało się, że jesteśmy w połowie „okresu zła i cynicznego obalania mitów”, ja zaś zostałem nazwany – przez jeden z najbardziej wpływowych, a przynajmniej najbardziej poczytnych miejscowych magazynów – „amerykańskim Sherlockiem Holmesem”. Cały ranek miałem zepsuty przez te pieprzone bzdury. James Truscott, reporter zajmujący się sprawami kryminalnymi, chciał mi towarzyszyć i relacjonować wszystkie śledztwa w sprawach zabójstw, którymi się zajmuję, ale go odprawiłem. Wyjeżdżałem z rodziną na wakacje.

–Jadę do Disneylandu – powiedziałem mu przy naszym ostatnim spotkaniu w stolicy. W odpowiedzi uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Wakacje dla większości ludzi są czymś zwyczajnym. Niektórzy miewają je regularnie raz do roku, czasem nawet dwa razy. Ale dla rodziny Crossów było to ważne wydarzenie: było to otwarcie nowego rozdziału w jej życiu.

Jakby dla zaakcentowania i potwierdzenia tej uroczystej chwili, z głośników popłynęła melodia *A Whole New World*, kiedy przechodziliśmy rano przez hotelowy hol.

–Pospieszcie się, staruszkowie! – ponagliła nas Jannie i pobiegła przodem.

Nastolatek Damon był bardziej opanowany. Trzymał się

### 26

grupy i otworzył drzwi przed Naną, kiedy wychodziliśmy z klimatyzowanego wnętrza w oślepiający blask słońca południowej Kalifornii.

Natychmiast zaatakował nas silny zapach cynamonu, smażonego ciasta i meksykańskich potraw. Usłyszałem dalekie dudnienie pociągu towarowego albo czegoś podobnego oraz okrzyki strachu – ale „zadowolonego” strachu: takie, które miło słyszeć. Słyszałem wystarczająco dużo innych, żeby zauważyć różnicę.

Mimo niewielkich szans na urlop złożyłem podanie, otrzymałem go i wyjechałem z miasta, zanim Burns i inni zdążyli przedstawić kilkanaście powodów, dla których w żadnym wypadku nie powinienem w tym momencie opuszczać biura. Dzieci chciały pojechać do Disneylandu albo do Epcot Village na Florydzie. Z pewnego osobistego powodu, a także z powodu huraganów na południu zdecydowałem się na Disneyland, zachęcony dodatkowo jego najnowszym parkiem Disney's California Adventure.

–No i mamy Kalifornię. – Nana osłoniła dłonią oczy przed blaskiem słońca. – Od chwili przyjazdu nic zauważyłam



ani jednej normalnej rzeczy. A ty, Alex?

Wydęła wargi i opuściła kąciki ust, ale długo tak nie wytrzymała i roześmiała się. To była cała Nana. Nigdy nic śmieje się z ludzi, najwyżej razem z nimi.

–Nie nabierzesz mnie, stara kobieto. Lubisz, kiedy wszyscy jesteśmy razem. Gdziekolwiek, jakkolwiek i kiedykolwiek. Równie dobrze moglibyśmy być na Syberii.

Uśmiechnęła się.

–Och, Syberia. Chciałabym tam pojechać. Odbyc podróż koleją transsyberyjską, zobaczyć Góry Sajańskie, jezioro Bajkał. Nie zaszkodziłoby, gdyby dzieci podczas wakacji mogły nauczyć się czegoś o jakiejś innej kulturze.

Spojrzałem na Damona i Jannie i przewróciłem oczami.

–Kto zacznie jako nauczyciel...

–...ten nigdy nie przestanie być nauczycielem – dokończyła Jannie.

## 27

–Psieństwo... nauczycielem – powtórzył mały Alex. Miał trzy latka i grał w naszej rodzinie rolę ptaszka gwarka. Widywaliśmy się rzadko i byłem zachwycony wszystkim, co robił. Przed rokiem jego matka zabrała go ze sobą do Seattle. Walka między nami o prawo do sprawowania nad nim opieki toczyła się nadal.

Moje rozmyślenia przerwał głos Nany.

–Od czego zaczniemy...

–Od *Lotu nad Kalifornią* - wykrzyknęła Jannie, nim Nana dokończyła pytanie.

–Zgoda, ale pod warunkiem, że potem pójdziemy na *Muzykę Kalifornii* - zastrzegł się Damon.

Jannie pokazała mu język, a on w rewanżu zakołysał biodrami. Dla nich obojga ten dzień był jak poranek wigilijny i nawet kłótnie obracali w żart.

–Więc ustaliliśmy plan dnia – stwierdziłem. – Na końcu pójdziemy na *Ciężko być owadem*, żeby ucieszyć waszego małego brata.

Wziąłem Aleksa juniora na ręce, przytuliłem go i pocałowałem w oba policzki. Patrzył mi w oczy, uśmiechając się pogodnie.

Życie znów było piękne.

## Rozdział 6

W tym momencie zobaczyłem zbliżającą się do nas wysoką, niemal dwumetrową postać z falami rudych włosów zwieszających się nad kołnierzem czarnej skórzanej kurtki.

W jakiś tylko sobie znany sposób James Truscott zdołał przekonać swoich wydawców w Nowym Jorku, żeby zgodzili się na kontynuowanie cyklu reportaży, których tematem miały być rozwiązane przeze mnie sprawy dotyczące morderstw popełnionych na znanych osobach. Może zadecydował o tym niedawny sukces, jaki odniosłem w najtrudniejszym śledztwie w całej mojej karierze, gdzie miałem przeciwko sobie rosyjską mafię. Zadałem sobie trud zebrania nieco informacji o Truskocie. Miał dopiero trzydzieści lat, skończył Uniwersytet Bostoński, zajmował się głośnymi zbrodniami i opublikował dwie książki o mafii. Utkwiła mi w głowie jedna z opinii o nim: stosuje nieczyste chwyt.

–Alex – powiedział z uśmiechem, wyciągając do mnie rękę, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy spotkali się przypadkiem. Podąłem mu swoją niechętnie; nie dlatego, żebym go nie lubił albo odmawiał mu prawa pisania tego, na co miał ochotę, lecz ponieważ zbyt nachalnie wkraczał w moje życie – przysyłając mi codziennie e-maile i zjawiając się w miejscach zbrodni, a nawet nachodząc mnie w moim domu w Waszyng-

### 29

tonie. Teraz znów się zjawiał, chociaż byłem z rodziną na wakacjach.

–Panie Truscott – powiedziałem cicho – wie pan, że nie zamierzam współpracować z panem przy pańskich artykułach.

–Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się. – To mi nie przeszkadza.

–Ale mnie tak – odparłem. – Jestem na urlopie z rodziną. Może da mi pan wreszcie odetchnąć? Jesteśmy w Disneylandzie. Pokiwał głową, jakby rozumiał moje racje, zaraz jednak dodał:

–Pański urlop może zainteresować naszych czytelników. Zbieranie sił do dalszej walki. Świetny pomysł. Disneyland idealnie się do tego nadaje, musi pan to przyznać.

–Ale ja nie muszę! – odezwała się Nana, podchodząc do Truscotta. – Pańskie prawo do sięgania łapami po kogoś kończy się przed pańskim nosem. Czy wiesz o tym, młody człowieku? Weź sobie tę radę do serca. Jesteś bezczelny, nachodząc nas tutaj.

W tym momencie kątem oka dostrzegłem coś bardziej nie-

**pokojącego – kobietę w czarnym kostiumie, powoli okrążającą nas z lewej strony. W ręku miała aparat cyfrowy i fotografowała moją rodzinę i Nanę w trakcie scysji z Truscottem.**

**Zasłoniłem sobą dzieci i dopiero wtedy naskoczyłem na Truscotta:**

**–Nie ważcie się nas fotografować! Zabieraj stąd swoją flamę i wynoś się!**

**Podniósł ręce nad głową, jakby się poddawał, uśmiechnął się bezczelnie i cofnął o parę kroków.**

**–Mam swoje prawa, doktorze Cross, podobnie jak pan.**

**A ona nie jest żadną moją fiamą, tylko koleżanką. Razem pracujemy nad reportażem.**

**–Być może, ale teraz zwijajcie się stąd – powiedziałem. – Ten chłopiec ma dopiero trzy lata. Nie życzę sobie reportażu o mojej rodzinie w jakimkolwiek piśmie. Ani teraz, ani kiedykolwiek.**

## Rozdział 7

Trochę potrwało, zanim udało nam się uwolnić od nieprzyjemnego wrażenia ze spotkania z Truscottem i jego fotografką. Po Bóg wie ilu najprzeróżniejszych jazdach, obejrzeniu widowiska z udziałem Myszki Miki, dwóch posiłkach w barze i niezliczonych grach w wesołym miasteczku odważyłem się zaproponować powrót do hotelu.

–Żeby pójść na basen? – spytał Damon, uśmiechając się. Idąc rano na śniadanie, obejrzelismy po drodze wielki basen hotelowy o powierzchni ponad czterystu metrów kwadratowych. W recepcji czekała na mnie wiadomość, której się spodziewałem. Inspektor departamentu policji w San Francisco, Jamilla Hughes, była w Los Angeles i chciała się ze mną spotkać. *NJTM albo zaraz*, brzmiała wiadomość. NJTM oznaczało „najprędzej jak tylko możliwe”.

Uśmiechnąłem się przepaszająco do rekinów basenowych i zacząłem się zbierać. W końcu ja też byłem na wakacjach.

–Idź, tato. – Jannie dała mi kuksańca w bok.

–To od Jamilli, prawda? – Damon pokazał mi uniesiony w górę kciuk i uśmiechnął się zza zaparowanej maski do nurkowania.

Przeszedłem przez teren hotelu Disneyland i wszedłem do Grand Californian, gdzie zarezerwowałem pokój. Ten drugi

### 31

hotel był utrzymany w stylu „sztuka i rzemiosło Ameryki” i wyglądał znacznie stateczniej niż nasz.

Po przejściu witrażowych drzwi znalazłem się w wysoko sklepionym westybulu. Sześć pięter wyżej widniały sekwojowe belki konstrukcji dachu, a parter, którego centralnym punktem był ogromny kominek z polnych kamieni, ozdobiono lampami Tiffany'ego.

Nie zwróciłem na to większej uwagi. Myślałem o inspektor Jamilli Hughes, która czekała na mnie w pokoju 456.

Ogarnęło mnie rozkoszne uczucie – byłem na wakacjach!

## Rozdział 8

Jamilla przywitała mnie już przy drzwiach pocałunkiem, który rozgrzał mnie od stóp do głów. Nie mogłem zobaczyć jej luźnej niebieskiej bluzeczki ani wąskiej czarnej spódniczki.,

dopóki się nie rozdzieliliśmy. Czarne szpilki dodawały jej kilka centymetrów, dzięki czemu doskonale do siebie pasowaliśmy.

Na pewno nie wyglądała jak glina z wydziału zabójstw.

–Przed chwilą się zameldowałam – powiedziała.

–Bardzo dobrze – mruknąłem, wyciągając ręce. Pocałunki Jamilli miały urok powrotów do domu. Zacząłem się zastanawiać, dokąd nas zaprowadzą, lecz zmusiłem się, by o tym nie myśleć. Niech będzie, co ma być, Alex.

–Dzięki za kwiaty – wyszeptała mi do ucha. – Za wszystkie kwiaty. Są piękne. Wiem, wiem, nie takie piękne jak ja.

Roześmiałem się.

–To prawda.

Patrząc nad jej ramieniem, skonstatowałem, iż Harold Larsen, portier hotelowy, doskonale sobie poradził. Kompozycja kwiatowa składała się z czerwonych, brzoskwiniowych i białych róż.

Byłem pewny, że w sypialni na stoliku stoi wazon z tuzinem róż o długich łodygach, w lodówce chłodzi się butelka wina Sauvignon Blanc, a obok wieży stereo znajdziemy wybór płyt

### 33

Ala Greena i Luthera Ingrama, *Tears of Joy* Tucka i Patti oraz wczesne nagrania Alberty Hunter.

–Wygląda na to, że stęskniłeś się za mną – stwierdziła Jamilla.

Nagle staliśmy się jednością, moje usta szukały jej ust, ręce oplatały plecy. Rozpinała mi guziki koszuli, a ja sięgnąłem do zamka błyskawicznego jej spódniczki. Pocałowaliśmy się znów, jej usta były świeże i słodkie jak zawsze.

–Jeśli kochanie się z tobą jest grzechem, nie chcę być człowiekiem bezgrzesznym – szepnąłem.

Roześmiała się.

–Kochanie się ze mną nie jest grzechem.

Prowadziłem ją tyłem do sypialni, jak w tańcu.

–Nie przeszkadzają ci te wysokie obcasy? – spytałem ją w połowie drogi.

–Słuszna uwaga – odparła, zrzucając jednocześnie buty i spódniczkę.

–Powinniśmy zapalić świece – powiedziałem. – Chcesz, żebym to zrobił?

**–Będzie nam za ciepło.**

**–Masz rację.**

**Na tym skończyła się rozmowa. Oboje doskonale wyczuwaliśmy, co drugie z nas myśli – w pewnych sytuacjach konwersacja okazywała się całkowicie niepotrzebna. Pomyślałem, że bardzo mi jej było brak – bardziej, niż się spodziewałem.**

**Przywarliśmy do siebie, pierś do piersi, oddychając we wspólnym rytmie. Wsunąłem udo pomiędzy nogi Jamilli i poczułem wilgoć. Uniósłszy ręce, objąłem jej piękną twarz. Czuję, że czyta w moich myślach. Uśmiechnęła się i mrugnęła łobuzersko.**

**–Czy to prawda? – szepnęła.**

**Nie pierwszy raz bawiliśmy się we wzajemne odczytywanie myśli.**

**Znów zaczęliśmy się całować. Oddychała głęboko, gdy powoli przesuwałem usta po jej szyi, potem po piersi, po brzuchu...**

–Alex, przeprowadź krótką wizję lokalną. Będę ci bardzo wdzięczny. Zdasz na kolację z rodziną. Zależy mi na twojej opinii na temat tego, co tam się wydarzyło. Pozwoliłem sobie na wyprzedzenie twojej zgody: samochód czeka, żeby cię zawieźć na miejsce.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Jamillę.

–Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra jest taka, że nigdzie nie muszę lecieć, bo to się stało w LA. Zła, że zamordowano dziś aktorkę Antonię Schiffman.

Przysunęła się do mnie na łóżku.

–To potworne, Alex. Była bardzo sympatyczna. Lubiłam filmy z nią. To wielka strata. Cóż, zastąpię cię przy kolacji z Naną i z dziećmi.

–Wróć, żeby zjeść razem z wami. Najwyżej trochę się spóźnię.

–Mój samolot odlataje dopiero o jedenastej. Ale muszę nim wrócić, Alex.

Pocałowałem ją, wyrzucając sobie, że tak łatwo uległem Burnsowi. Jaki jednak miałem wybór?

–Jedź zadbać o to, żeby Kalifornia była bezpieczna... to znaczy bezpieczniejsza – powiedziała Jamilla. – Ja będę miała na oku Miki i Donalda, bo mogą okazać się terrorystami. Skąd taka myśl?

## Rozdział 9

Nie pamiętam, o której w końcu zasnęliśmy, ale obudził mnie sygnał pagera. Był to zupełnie nowy pager, który kupiłem specjalnie na tę podróż, więc jedynie parę osób mogło znać jego numer: John Sampson i Tony Woods, asystent dyrektora Burnsa – nikt więcej. O dwie osoby za dużo! Co teraz zrobić?

–Przepraszam, Jam... – jęknąłem. – Nie spodziewałem się, że ktoś mnie będzie ścigał. Nie muszę odpowiadać. – Powiedziałem to bez przekonania i Jamilla dobrze o tym wiedziała.

Potrząsnęła głową.

–Przyznam ci się do czegoś: ja też mam ze sobą pager... jest w szafce nocnej. Odpowiedz, Alex, nie krępuj się. Odpowiedzieć czy nie?

Jak przewidywałem, wezwanie pochodziło ze stołecznego biura. Podniosłem słuchawkę aparatu przy łóżku i leżąc na plecach, wybrałem numer, zerknąwszy przedtem na zegarek. Była czwarta po południu. Dzień upływał miło, przynajmniej do tej pory.

**–Ron Burns – poinformowałem bezgłośnie Jamillę, czekając na połączenie. – To nie może być nic dobrego. Raczej coś bardzo złego.**

**Pokiwała głową. Telefon z samej góry oznaczał pilne zadanie,**



które nie mogło czekać. Cokolwiek to było, nie miałem ochoty teraz się tym zajmować.

Ron Burns zgłosił się osobiście. To był zły znak.

–Alex, jesteś tam?

–Tak, proszę pana. – Westchnąłem. Byliśmy we troje: Jamilla, ja i on.

–Dzięki za odpowiedź na wezwanie. Przykro mi, że cię niepokoję. Wiem, że od dawna nie miałeś urlopu.

Nie odzywałem się, czekając, aż mi wyjaśni, o co chodzi.

Miałem złe przeczucia.

–Alex, mamy śliską sprawę w Los Angeles. I tak musiałbym cię tam wysłać. To, że znajdujesz się akurat w Kalifornii, jest korzystnym zbiegiem okoliczności. „Korzystny” jest oczywiście pojęciem względnym.

–Co się stało? Z czym mój pobyt w Kalifornii tak korzystnie się zbiega'?

–Wiesz, kto to jest Antonia Schiffman?

Znałem to nazwisko.

–Mówisz o tej aktorce? Oczywiście.

–Zastała dziś rano zamordowana, wraz ze swoim kierowcą. To się stało przed jej domem. Rodzina spała wewnątrz.

–A co z resztą rodziny? Nic im się nie stało?

–Nie, Alex. Tylko aktorka i jej kierowca zostali zabici.

–Dlaczego tą sprawą ma się zająć FBI? – zapytałem zdziwiony. – Czy policja Los Angeles zwróciła się do nas o pomoc?

–Nie w tym rzecz... – Zamilkł na moment. – Mówiąc między nami, Antonia Schiffman była znajomą prezydenta i bliską przyjaciółką jego żony. To on poprosił nas o pomoc w śledztwie.

–Rozumiem. – Okazało się, że Ron Burns nie jest tak odporny na naciski z Waszyngtonu, jak myślałem. Mimo to był najlepszym dyrektorem, jaki od bardzo dawna trafił się FBI. Prócz tego w trakcie mojej krótkiej służby w biurze oddał mi niejedną przysługę. Ja, oczywiście, nie pozostałem mu dłużny.

Nikt z mediów mnie nie rozpoznał, co było miłą odmianą po tym, co zawsze działo się w Waszyngtonie. Przecisnęliśmy się przez ciżbę do miejsca, w którym trzymali straż dwaj umundurowani funkcjonariusze policji. Sprawdzili dokładnie nasze dokumenty tożsamości.

–To doktor Alex Cross – przedstawił mnie Page.

**–I co z tego? – spytał mundurowy.**

**Nie odezwałem się ani słowem. „I co z tego?” bardzo mi odpowiadało.**

**Mundurowy ostatecznie pozwolił nam przejść, lecz zanim to nastąpiło, zauważyłem coś, co sprawiło, że poczułem ucisk w żołądku. Między reporterami stał facet o płomiennorudych włosach, a obok niego ta sama ubrana na czarno kobieta z aparatem, która wcześniej robiła zdjęcia mojej rodzinie. Truscott również mnie zauważył i skinął mi głową. Po jego wargach przeleciał uśmiech. Zapisał coś w swoim notatniku.**

## **Rozdział 10**

**Opowiadacz przejechał koło domu, przed którym zamordował Antonię Schifman. Wiedział, że nie powinien tu wracać, lecz nie mógł się powstrzymać. Doszedł nawet do wniosku, że to dobry pomysł. Zatrzymał więc samochód i wysiadł, by się rozejrzeć.**

**Poczuł, że ogarnia go podniecenie. Znał dobrze ten dom, a także całe prestiżowe sąsiedztwo, znał niemal wszystkich ludzi, którzy mieszkali na osiedlu Millera. Był tak podekscytowany, że przez chwilę nic mógł złapać oddechu. Rozkoszował się poczuciem niebezpieczeństwa, czegoś niewiadomego, co mogło się zaraz zdarzyć. A rzeczywiście mogło. Był przecież mordercą.**

**Wszędzie kręciło się pełno reporterów, była też oczywiście policja z Los Angeles, kilku oficerów – musiał więc zaparkować kilkaset metrów dalej. Nie miał nic przeciwko temu, tak było rozsądniej i bezpieczniej. Parę minut później dołączył do tłumu wielbicieli aktorki i ciekawskich, przybyłych z pielgrzymką do miejsca, w którym biedna Antonia została dziś rano wyłączona z wyścigu szczurów.**

**Minęło go młode małżeństwo, idące ze zwieszonymi głowami, jakby stracili kogoś najbliższego.**

**–Trudno uwierzyć, że nie żyje – powiedziało któreś z nich.**

Co się dzieje z niektórymi ludźmi? Jak można być takim czubkiem?

Za to ja wierzę, że nie żyje, miał ochotę odpowiedzieć.

Najpierw strzeliłem jej w głowę, a potem pociąłem twarz tak, że nawet rodzona matka by jej nie poznała. Możecie mi wierzyć lub nie – w moim szaleństwie jest metoda. To zaledwie część większego planu. Genialnego planu.

Nie powiedział tego jednak pogrążonym w smutku młodym kretynom, tylko powędrował dalej, ku bramie rajy Schiffmanów. Kiedy do niej dotarł, wmieszał się w tłum kilkuset żałobników. Na razie tylko tylu, bo impreza w Beverly Hills dopiero zaczęła się rozkręcać.

To była bomba, ale żaden z reporterów nie znał prawdy. Nie znali prawdy o Antonii i nie wiedzieli, dlaczego została zamordowana.

Prawdę znał tylko on. Był jedynym człowiekiem w Los Angeles, który wiedział, jak to się odbyło i jaki był tego cel. Przyjemnie było mieć tę świadomość.

–Hej, jak się masz? – usłyszał nagle czyjś głos.

Zamarł, ale po chwili powoli się odwrócił, by zobaczyć, kto go zagadnął.

Znał tę twarz, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kim ten facet jest. Skąd znam tego palanta?

–Chryste, właśnie wtedy jechałem – wymamrotał. – Usłyszałem w radiu, co się stało. Zatrzymałem się, żeby złożyć hołd jej pamięci. To wielka strata. Straszna tragedia. Świat jest zwariowany, nigdy nie wiadomo, co się zdarzy – dodał, uświadamiając sobie, że plecie bzdury.

–Nigdy nie wiadomo – zgodził się tamten. – Komu mogło przyjść do głowy, żeby zabić Antonię Schiffman? To musiał być jakiś maniak albo kompletny wariat.

–W Los Angeles pełno jest takich – mruknął Opowiadacz.

Rozdział 11

Piętnaście minut po rozmowie telefonicznej z Waszyngtonem wyszedłem na ulicę, gdzie przed hotelem Disneyland czekał już na mnie czarny grand marquis. Potrząsnąłem głową z rozczarowania i złości, czując się ofiarą spisku.

Stojący obok wozu agent FBI miał na sobie szorty i bładoniebieską koszulkę polo. Sprawiał wrażenie, jakby się wybierał na partię golfa w Country Club w Los Angeles. Uścisnął mi dłoń i uśmiechnął się szeroko.

**–Agent specjalny Karl Page – przedstawił się. – Cieszę się, że pana poznałem, doktorze Cross. Czytałem pańską książkę, i to niejedną raz.**

**Widać było, że niezbyt dawno opuścił akademię w Quantico. Kalifornijska opalenizna i jasnoblond włosy, przystrzyżone na jeża, wskazywały, że pochodzi z tych stron. Mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Z pewnością nadgorliwiec, pomyślałem.**

**–Miło mi – odparłem. – Dokąd właściwie jedziemy, agencie Page?**

**Popatrzył na mnie i zamrugał. Prawdopodobnie poczuł się zakłopotany, iż nie powiedział mi tego, zanim go spytałem. Zaraz jednak odzyskał rezon.**

**–Ach, oczywiście. Jedziemy na miejsce zbrodni w Beverly Hills, doktorze Cross. Ofiara tam mieszkała.**

–Antonia Schifman... – powiedziałem z westchnieniem.

–Tak. Widzę, że został pan już poinformowany.

–Nie. Wiem bardzo niewiele. Opowie mi pan po drodze.

Chcę znać wszystkie szczegóły.

Zrobił ruch, jakby zamierzał otworzyć przede mną drzwi do samochodu, ale się zreflektował. Usiadł za kierownicą, a ja ulokowałem się na tylnym siedzeniu. Kiedy ruszyliśmy, Page rozluźnił się nieco i rozpoczął relację.

–Sprawa otrzymała kryptonim „Mary Smith”, gdyż redaktor miejscowej rubryki kulturalnej „LA Timesa” otrzymał w zeszłym tygodniu podpisany tym nazwiskiem e-mail od osoby, która przyznała się do popełnienia poprzedniego morderstwa.

Poczułem się, jakbym nagle dostał zęza.

–Ta sprawa ma już kryptonim?

–Tak, proszę pana.

–Więc to nie jest pojedynczy przypadek? – Uświadomiłem sobie, że mówię oburzonym tonem. Czyżby Burns coś przede mną zataił? A może sam nie wiedział wszystkiego?

–Nie. To już drugie morderstwo, doktorze. Zbyt wcześnie, żeby je zaklasyfikować, ale okoliczności wskazują na zaplanowaną zbrodnię i pojedynczego sprawcę, prawdopodobnie jakiegoś psychopatę, w obu przypadkach działającego według pewnego planu. Podejrzewamy, że zabójcą może być kobieta. Zatem Page sporo wiedział. Kiedy mówił, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że dałem się Burnswi nabrać. Dlaczego nie powiedział mi prawdy? Ledwie oddaliliśmy się od Disneylandu, a już sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż mi obiecywano.

–Sukinsyn – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. Miałem dość wykorzystywania mnie, możliwe, że miałem już także dość samego FBI. Ale może myślałem tak jedynie dlatego, że zepsuto mi wakacje.

Page zeszywniał.

–Jest jakiś problem?

Mógłbym sobie trochę przy nim pofolgować, ale nie byłem jeszcze gotów do zacieśniania więzi. Chciałem wywiązać się z mojego zadania przy minimum zaangażowania.

–Drobiazg. W każdym razie to nie dotyczy ciebie. Jedźmy na miejsce zbrodni. Proszono mnie, żebym je tylko obejrzał.

–Tak, proszę pana.

**Złapałem jego wzrok w lusterku wstecznym.**

**–Nie musisz do mnie mówić „proszę pana”. Nie jestem twoim tatą-powiedziałem i zaśmiałem się, na wypadek gdyby sądził, że nie żartuję.**

## **Rozdział 12**

**I znów to samo... Prezydent poprosił nas o pomoc... Chciałbym poznać twoją opinię na temat tego, co tam się właściwie stało. Moją opinię? Śmieszne! Moja opinia była taka, że jestem wykorzystywany, a to mi się nie podobało. Ale nienawidzę użalania się nad sobą.**

**Przejechaliśmy przez śródmieście Los Angeles autostradą z Santa Ana, a potem tą samą autostradą pojechaliśmy w stronę Hollywood. Agent Page prowadził z automatyczną doskonałością, niemal ocierając się o inne samochody przy wyprzedzaniu. Jeden z kierowców, trzymający przy uchu komórkę, zdjął drugą rękę z kierownicy, by nam pokazać środkowy palec.**

**Page w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Pędził na północ, opowiadając mi o dwóch makabrycznych morderstwach.**

**Antonia Schifman i jej kierowca, Bruno Capaletti, zostali zastrzeleni między 4.00 a 5.30 rano. Ogrodnik znalazł ich ciała około 7.15. Piękna twarz aktorki została pocięta jakimś ostrym narzędziem.**

**Nie zginęły pieniądze ani żadne cenne rzeczy. Bruno Capaletti miał w kieszeni prawie dwieście dolarów, a torebka Schifman leżała na siedzeniu obok niej. Były w niej karty kredytowe, diamentowe kolczyki i pieniądze.**

–Czy coś ich ze sobą łączyło? – spytałem. – Mówię o Schiffman i kierowcy. Czy coś na ten temat wiadomo?

–Jedynym filmem, przy którym woził ją wcześniej Capaletti, był *Banner Season*, ale przywoził wtedy również na plan Jeffa Bridgesa. Nadal jednak prowadzimy wywiad na jego temat. Oglądałeś *Banner Season*!

–Nie. Kto tam będzie? Mam na myśli miejsce zbrodni. Nasi ludzie, policja z Los Angeles, media? Może jeszcze ktoś, o kim powinienem wiedzieć, zanim się tam zjawimy?

–Jeszcze tam nie byłem – przyznał Page. – To wielka sensacja. Przecież chodzi o Antonię Schiffman. Świetna aktorka. Podobno była bardzo sympatyczna.

–Tak. Szkoda jej.

–Do tego miała dzieci... cztery małe córeczki. Andi, Elizabeth, Tię i Petrę – dodał Page, który najwyraźniej lubił popisywać się swoją wiedzą.

Parę minut później zjechał z autostrady na Sunset i ruszyliśmy na zachód. Obserwowałem, jak banalne domy śródmieścia Hollywood ustępują miejsca otoczonym bujną zielenią- i nie mniej banalnym – luksusowym rezydencjom Beverly Hills. Zwisające nad'nami gałęzie palm wyglądały jak spuszczone na kwintę nosy.

Z Sunset skręciliśmy w alejkę prowadzącą krętym kanionem w górę do osiedla Millera, skąd rozciągał się wspaniały widok na miasto, które zostało za nami. Przy jednej z bocznych uliczek Page zatrzymał samochód.

Wszędzie stały wozy radia i telewizji z antenami satelitarnymi na dachach. Kiedy się zbliżyliśmy, spostrzegłem emblematy CNN, KTLA, KYSR Star 98,7, Entertainment Tonight. Część reporterów stała plecami do budynku, przed kamerami, prawdopodobnie prowadząc sprawozdanie na żywo dla wiadomości Los Angeles i sieci ogólnokrajowych. Co za cyrk!

Po co mnie tu ściągnięto? Wolałbym zostać w Disneylandzie – wprawdzie także był cyrkiem, ale miłym i nie tak zwariowanym.

W każdym z tych miejsc miałem ochotę zatrzymać się na dłużej, lecz równie silnie ciągnęło mnie, żeby schodzić coraz niżej. Otoczyła mnie ramionami i popchnęła na łóżko.

–Jak to jest, że potrafisz być taka twarda i jednocześnie delikatna? – spytałem.

–To kobieca cecha, ale chyba to samo mogę powiedzieć

**o tobie. Też jesteś twardy i czuły.**

**Sekundę później wszedłem w nią. Siedziała na mnie, odrzuciwszy głowę do tyłu, zagryzając dolną wargę. Promień słońca, wpadający przez okno, powoli nasuwał się na jej twarz. Było cudownie.**

**Równocześnie przeżyliśmy orgazm – osiągnęliśmy pełnię, do której ludzie dążą, choć nie zawsze udaje im się ją osiągnąć. Leżała na mnie i oddychała coraz spokojniej, nasze ciała nadal były połączone – jak zwykle.**

**–Będziesz jutro zmęczony – zauważyła z uśmiechem.**

**–Skoro już jesteśmy przy tym temacie...**

**Roześmiała się.**

**–Obiecanki, cacanki.**

**–Zawsze dotrzymuję obietnic – zapewniłem ją.**

### **Rozdział 13**

**Idąc z Page'em długą, okrężną, wyłożoną białymi płytami kamiennymi alejką dojazdową ku głównemu budynkowi, kłamię pod nosem. Była to dwukondygnacyjna rezydencja w hiszpańskim stylu. Gęsta ściana zieleni nie pozwoliła mi widzieć fasady, ale musiała mieć przynajmniej półtora tysiąca metrów kwadratowych wewnętrznej powierzchni. Komu potrzeba aż tyle? Nasz dom w Waszyngtonie miał niecałe dwieście metrów i to nam całkowicie wystarczało.**

**Na piętrze znajdował się ciąg balkonów. Część z nich wychodziła na alejkę dojazdową, na której stała czarna limuzyna otoczona żółtą taśmą. Miejsce, w którym zginęli Antonia Schifman i Bruno Capaletti.**

**Odgrodzona przestrzeń obejmowała znaczną powierzchnię, do której prowadziła tylko jedna wytyczona przez policję ścieżka. Dwaj funkcjonariusze zapisywali nazwiska wchodzących.**

**Wokół wozu krążyli technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach, z ręcznymi mikroskopami USB i woreczkami na próbki. Inni robili zdjęcia polaroidami i aparatami cyfrowymi.**

**Druga grupa, rozsypana po otaczającym dom terenie, zbierała próbki z odleglejszych miejsc. Widok był imponujący, lecz**



jednocześnie przygnębiający. Panowała opinia, że najlepszy wydział medycyny sądowej ma policja w Tokio. U nas w kraju jedynie wydziały w Los Angeles i w Nowym Jorku mogły dorównać potencjałowi FBI.

–Mamy trochę szczęścia – stwierdził Page. – Wygląda na to, że lekarz sądowy zakończył już swoją pracę. – Wskazał na mocno zbudowaną siwiejącą kobietę, stojącą obok limuzyny i mówiącą do dyktafonu.

Zdziwiło mnie, że ciała jeszcze nie zostały zabrane, ale byłem z tego zadowolony. Dzięki temu mogłem przekazać więcej informacji Burnsowi. I prezydentowi. I żonie prezydenta. Doszedłem do wniosku, że to właśnie było powodem, dla którego do tej pory nie zabrano ciał. Umarli czekali na mnie.

Zwróciłem się do Page'a:

–Powiedz dowodzącemu akcją, żeby niczego na razie nie ruszano. Muszę najpierw wszystko dokładnie obejrzeć. Postaraj się także usunąć stąd część tych ludzi. Mogą zostać tylko ci od odcisków palców i zbieracze mikrośladów, nikt więcej. Pozostali niech sobie zrobią przerwę.

Po raz pierwszy tego dnia Page zareagował z opóźnieniem. Okazałem się apodyktycznym szefem, czego się pewnie po mnie nie spodziewał. Nie znaczy to wcale, że lubię podkreślać swoją ważność, lecz w tych okolicznościach nie mogłem zachować się inaczej. Nie wykonałbym dobrze mojego zadania wśród tego całego chaosu i rozgardiaszu.

–Kimkolwiek jest dowodzący, powiedz mu jeszcze jedno... – dodałem.

Page zawrócił.

–Słucham?

–Powiedz, że dopóki to jestem, ja wydaję rozkazy.

Rozdział 14

Przez cały czas dźwięczały mi w głowie słowa dyrektora Burnsa. „Zależy mi na twojej opinii o tym, co tam zaszło... Zdziesz na kolację z rodziną”.

Kto mógłby cokolwiek przełknąć po czymś takim?

W samochodzie panował straszliwy smród, gdyż oba ciała zaczęły się już rozkładać. Jedną ze sztuczek, których się nauczyłem, było zmuszenie się do wachania przez trzy minuty, aż nerwy węchowe przestaną reagować. Potem można już wytrzymać. Przeszedłszy tę próbę, uświadomiłem sobie, że wróciłem do zabójstw, czyli do tego, od czego zacząłem karierę. Skupiwszy się, przystąpiłem do oględzin.

**W pierwszej chwili doznałem wstrząsu, choć uprzedzono mnie, co zobaczę.**

**Twarz Antoni Schiffman była niemal całkowicie nierozpoznawalna. Lewej części, gdzie otrzymała postrzał, prawdopodobnie z bardzo bliskiej odległości, w ogóle nie było. To, co zostało – prawe oko, policzek i usta – było podżgane i pocięte. Mary Smith musiała być w szale, ale wyglądało na to, iż ów szal był zwrócony jedynie przeciw Antonii, nie zaś kierowcy. Ubranie aktorki było nienaruszone. Nic nie wskazywało na to, że atak miał seksualny charakter. Pod nosem ani w ustach nie było krwawej piany, co świadczyło o tym, że umarła**

natychmiast. Kto mógł dokonać tak brutalnego zabójstwa? Antonia Schifman była miła, miała dobrą prasę, wszyscy ją lubili. Ale czy rzeczywiście wszyscy? Dlaczego w takim razie zamordowano tę kobietę pod jej własnym domem, a ciało sprofanowano?

Agent Page zajął mi przez ramię.

–Co sądzisz o tym zmasakrowaniu twarzy? Czyżby to miała być krytyka chirurgii plastycznej?

Nie był to zbyt taktowny żarcik, poza tym chciałem zostać sam. Nie miałem jednak serca spławiać młodego agenta.

–Mam wrażenie, że nie – odparłem – ale nie zamierzam w tej chwili snuć żadnych przypuszczeń. Będziemy wiedzieli więcej, kiedy ciało zostanie zbadane i umyte. A teraz pozwól mi pracować, Page.

Zmasakrowaną twarz aktorki pokrywała brunatna warstwa zakrzepłej krwi. Czemu to wszystko służyło? Jak mam opowiedzieć prezydentowi, co spotkało jego przyjaciółkę?

Kierowca, Bruno Capaletti, leżał na kierownicy. Pojedynczy pocisk, wystrzelony z bliskiej odległości, trafił go w lewą skroń i rozwalił mu większą część czaszki. Jego krew na sąsiednim fotelu prawdopodobnie została rozsmarowana przez mordercę, który strzelił do Antonii z przedniego siedzenia. W kieszeni kurtki kierowcy znaleziono odrobinę kokainy. Czy to miało jakieś znaczenie? Pewnie nie, choć w tej chwili nie mogłem niczego wykluczyć.

Skończywszy oględziny, wycofałem się z wnętrza samochodu i zaczerpnąłem świeżego powietrza.

–W tym jest jakaś niespójność – powiedziałem sam do siebie.

–Dokładność obok nieskładności? – podsunął Page. – Opanowanie i zarazem nienormalność?

Spojrzałem na niego i uniosłem brwi. Zaskoczyła mnie jego przenikliwość.

–Tak. Właśnie to. – Morderstwo zostało dokładnie zaplanowane i dokonane w wozie, ale sposób, w jaki pocięto

twarz Schifman, może wskazywać, że zabójca się spieszył albo działał w panice.

Była również wizytówka. Na drzwiach samochodu widniał rząd dziecięcych nalepek, kolorowych obrazków z jednorożcami i tęczą. Takich samych, jakie pozostawiono w miejscu zeszłotygodniowego morderstwa.

**Każda z nalepek była oznaczona dużą literą: dwie literą A, jedna B. Co miały symbolizować?**

**Page już mi zrelacjonował wcześniejszy przypadek: przed sześcioma dniami w kinie Westwood została zastrzelona inna kobieta z branży filmowej – Patrice Bennett, znana producentka, mająca na swoim koncie wiele sukcesów. Nie było żadnych świadków. Wprawdzie nie użyto wtedy noża, ale naklejki pozostawione w miejscu zbrodni były takie same: dwie z literami A i jedna z B.**

**Kimkolwiek był sprawca, z całą pewnością chciał, by ten czyn został przypisany właśnie jemu. Żadne z tych morderstw nie było zaimprovizowane, ich scenariusze były starannie przemyślane. W dodatku zmieniały kształt.**

**–O czym myślisz? – spytał Page. – Nie masz mi za złe, że pytam? A może niepotrzebnie się wtrącam?**

**Zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, przeszkodziła nam agentka FBI. Była bardziej opalona i włosy miała jeszcze jaśniejsze niż Page – jeśli to w ogóle możliwe. Zastanawiałem się, czy nie zostali poskładani w tej samej fabryce.**

**–Do „LA Timesa” przyszedł następny e-mail – zameldowała. – Adresatem znów był redaktor Arnold Griner, a nadawcą ta sama Mary Smith.**

**–Czy gazeta już opublikowała te e-maile? – spytałem.**

**Pokręciła przecząco głową. – To dobrze. Postarajmy się, żeby tak było dalej. Jeśli się da, załóżcie szlaban na informację o nalepkach. O literach A i B również.**

**Spojrzałem na zegarek. Była już 17.30. Potrzebowałem jeszcze około godziny, a potem zamierzałem porozmawiać z Arnoldem Grinerem w „Timesie”. Musiałem również spotkać się**

przed końcem dnia z miejscową policją. Poza tym pewnie czyhał na mnie James Truscott. W domu często mi się zdarzało nie przyjść na kolację. Nana i dzieci byli do tego przyzwyczajeni, Jamilla z pewnością mnie zrozumie, ale ich pobłażliwość wcale mnie nie rozgrzeszała. Czas zerwać z jednym z moich najgorszych zwyczajów, jakim jest opuszczanie rodzinnych kolacji.

Tym razem jednak znów się na to zanosilo. Wyobraziłem sobie nieszczęśliwe rodziny Antonii Schifman i Patrice Bennett. Zadzwońm najpierw do Nany, do hotelu, a potem do Jamilli i zabrałem się do pracy.

## Część 2 Kocham Los Angeles

### Rozdział 15

–Dlaczego spośród wszystkich ludzi wybrała właśnie mnie? Dlaczego pańskim zdaniem pisze do mnie te straszne listy? To nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia. Czy widzi pan w tym jakiś sens? W zabijaniu matek? Może mi pan wierzyć, Hollywood zaczyna dostawać obłędu od tych mordstw. Wkrótce te koszmarne e-maile od Mary wyjdą na jaw. Arnold Griner już kilkakrotnie zadawał mi te pytania podczas naszej rozmowy. Spotkaliśmy się w samym sercu redakcji wiadomości „LA Timesa”, w boksie o kształcie litery L. Resztę ogromnej sali wypełniały oszklone boksy z biurkami.

Od czasu do czasu nad ścianką któregoś z nich pojawiała się czyjaś głowa, rzucano nam szybkie spojrzenie, po czym głowa znikala. Psy posokowe, powiedział o nich Griner, chichocząc. Siedział na brązowej, skórzanej kanapie, nerwowo zaciskając i rozluźniając leżące na kolanach ręce. Od czasu do czasu zapisywał coś w notatniku.

Rozmowa skupiała się na przeszłości Grinera: studia w Yale, potem staż w „Variety”, gdzie robił korekty i parzył kawę dla dziennikarzy z działu rozrywki. Do grupy reporterów piszących wszedł od czasu, gdy podczas przyjęcia dla bossów przemysłu filmowego udało mu się przeprowadzić wywiad z Tomem Cruise'em. Przed dwoma laty wydawca „LA Timesa” namówił

go do przejścia do siebie, oferując mu autorską kolumnę *W kularach filmu*. Zajmował się zakulisowymi historyjkami z życia Hollywood i „ostro krytycznymi” -jak sam mówił – recenzjami. Widać było, że ma o sobie wysokie mniemanie.

Nie dopatrzyłem się innych związków Grinera z ofiarami morderstw niż zawodowe. Mimo to trudno mi było uwierzyć, iż Mary Smith wybrała go na odbiorcę swoich e-maili przypadkowo.

Griner również w to nie wierzył i od samego początku rozmowy zasypywał mnie związanymi ze sprawą pytaniami. W końcu usiadłem obok niego na kanapie.

–Panie Griner, proszę się zrelaksować. Bardzo mi na tym zależy.

–Łatwo panu mówić – odburknął, ale zaraz się zmiętył. – Przepraszam, przepraszam. – Przyłożył palce do skroni i pomasaował sobie kąciki oczu. – Muszę przyznać, że od dziecka jestem bardzo nerwowy. Wychowałem się w Greenwich.

Spotykałem się już z podobnymi reakcjami – mieszaniną złości i strachu – które są efektem zaskoczenia lub szoku. Arnold Griner również przeżył szok. Kiedy znów zacząłem do niego mówić, moje słowa brzmiały tak cicho, że musiał się skupić, by mnie usłyszeć.

–Wiem, jak się pan czuje, ale czy naprawdę nie domyśla się pan, dlaczego został adresatem tych e-maili? Proszę sięgnąć pamięcią do swoich kontaktów z Patsy Bennett, Antonią Schifman czy nawet z kierowcą limuzyny, Brunem Capalettim. Wzruszył ramionami i przewrócił oczami, starając się uspokoić oddech.

–Bywaliśmy na tych samych przyjęciach... mam na myśli obie kobiety. Recenzowałem ich filmy. Ostatnia recenzja dotyczyła filmu *Canterbury Road* z Antonią Schifman, który zjechałem. Przykro mi to mówić, chociaż jej rola w tym filmie mi się podobała, co zresztą napisałem. Myśli pan, że to może mieć jakiś związek? Może zabójca czyta moją kolumnę? Albo zabój-

czyni. Wszystko to razem jest przedziwne. Jakim cudem zostałem w to wmieszany?

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, zasypał mnie kolejną serią pytań.

–Sądzi pan, że kierowca Antonii nie był ważny? Z e-maila wynika, że został zabity, bo stał na drodze do celu.

Najwyraźniej był ciekaw wszystkich nowych informacji, zarówno z osobistego, jak i zawodowego punktu widzenia – w końcu terenem jego działania było właśnie Hollywood. –Na razie nic na ten temat nie wiem – odparłem. – A co z Patsy Bennett? Kiedy ostatnio napisał pan cokolwiek o którymś z filmów jej produkcji? Ona nadal produkowała filmy, prawda?

Griner skinął głową, po czym westchnął teatralnie.

–Czy pańskim zdaniem powinienem przestać prowadzić moją kolumnę? Powinienem, prawda? Tak będzie lepiej. Moja rozmowa z nim przypominała mecz ping-ponga z dzieckiem cierpiącym na zaburzenia koncentracji. W końcu udało mi się zadać wszystkie moje pytania, ale zajęło to dwa razy więcej czasu, niż się spodziewałem. Griner wymagał nieustannego dodawania mu otuchy, ja zaś robiłem, co mogłem, starając się nie bagatelizować grożącego mu niebezpieczeństwa.

–Jeszcze jedno – powiedział, kiedy się żegnaliśmy. – Sądzi pan, że powinienem napisać o tym książkę? Czy to wszystko nie jest odrobinę paranoiczne?

Wyszedłem, nie zadając sobie trudu wyjaśnienia jego wątpliwości. Studiował w Yale, więc powinien umieć sam odpowiedzieć na swoje pytania.

## Rozdział 16

Przeszedłem do biurka Grinera, przy którym siedział Paul Lebleau, technik policyjny, mający za zadanie wyśledzić, skąd zostały wysłane e-maile Mary Smith.

Stukając w klawiaturę komputera dziennikarza, mówił równocześnie do mnie z szybkością karabinu maszynowego:

–Te e-maile przyszły z dwóch różnych proxy-serwerów.

Pierwszy z kawiarenki internetowej w Santa Monica, co oznacza, że Mary Smith może być jedną z kilkuset osób, które tego dnia odwiedziły tamten lokal. Ma dwa różne adresy, ale to ogólne adresy hotmailowe i niczego o niej nie mówią, z wyjątkiem tego, że pierwszy z nich wzięła z księgniarni na uniwersytecie w przeddzień nadania wcześniejszej wiadomości.

Musiałem się skupić, by nadążyć za potokiem jego słów.

–A co z drugim e-mailem? – spytałem.

–Wiadomo tylko tyle, że nadała go z innego miejsca.

–Czy nadszedł z okolicy Los Angeles?

–Jeszcze nie wiem.

–Kiedy będziesz to wiedział?

–Prawdopodobnie pod koniec dnia, ale nie sądzę, żeby to

**nam coś dało. – Pochylił się nad monitorem i spojrział na kilka linijek kodu. – Mary Smith dobrze wie, co robi.**



Znów to samo: „ona”. Czemu wszyscy używali rodzaju żeńskiego? Ja wprawdzie robiłem to samo, lecz jedynie dla wygody.

Wcale nie byłem pewny, że mordercą jest kobieta. Przynajmniej na razie. Listy do Grinera mogły pochodzić od jakiejś znanej osoby, która wybrała sobie takie pseudo. Tylko od kogo?

Rozdział 17

Jak ci się wypoczywa, Alex? Jesteś zadowolony z urlopu? Wziąłem ze sobą kopie obu psychopatycznych e-maili i poszedłem na spotkanie w komendzie policji. Biuro detektywów mieściło się przy ulicy North Los Angeles, zaledwie pół kilometra od budynku „Timesa”, co było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ dostanie się gdziekolwiek w tym mieście wymagało przynajmniej czterdziestu pięciu minut.

Wspaniale jest mieć wakacje. Podziwiam miasto, dzieciom też się bardzo podoba. Nana jest wprost zachwycona.

W drodze na policję przeczytałem powtórnie e-maile. Niezależnie od tego, kto je napisał – świadczyły o zbrodniczym umyśle ich autora.

Zacząłem od pierwszego, który opisywał ostatnie chwile życia Patsy Bennett. Był to mrozący krew w żyłach fragment dziennika psychopaty.

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Do: Patrice Bennett

To ja cię zabiłam.

Czy to nie jest kategoryczne stwierdzenie?

Myślę, że tak. A teraz drugie, które również mi się podoba:

Ktoś zupełnie przypadkowy znajdzie twoje ciało na balkonie kina w Westwood. Twoje, Patrice Bennett!

Właśnie tam dziś umarłaś, oglądając swój ostatni film, nawiasem mówiąc, nienadzwyczajny. *The Village*. Jakie miałaś o nim zdanie? Co cię sprowadziło do kina w dniu twojej śmierci?

Trzeba ci było zostać w domu, Patsy, z twoimi ukochanymi dziećmi. Tak powinna postępować dobra mama. Czy nie mam racji i? Nawet jeśli większość dnia poświęcasz czytaniu scenariuszy i omawianiu przez

**telefon projektów wytwórni.**

**Wiele czasu zajęło mi zbliżenie się do ciebie.**

**W wytwórni jesteś najważniejszą osobą, ja zaś jestem nikim, kimś, kto ogląda filmy na wideo, w Entertainment Tonight i Access Hollywood. Nie mogłam się nawet dostać za wielką, łukowato sklepioną bramę twojej wytwórni. „Przepraszamy, dalej nie wolno”. Mogłam tylko patrzeć każdego dnia, jak twój ciemnoniebieski aston martin wjeżdża w nią i wyjeżdża. Ale jestem cierpliwa.**

**Nauczyłam się czekać na spełnienie moich marzeń.**

**A propos czekania – twój wspaniały dom jest ledwie widoczny z ulicy. Kilkakrotnie obserwowałam twoje urocze dzieci. Wiedziałam, że z czasem znajdę jakiś sposób, by dostać się do twojego domu. Ale dziś sama wszystko odmieniałś.**

**Pojechałaś po południu do zwykłego kina – wspominałaś w kilku wywiadach, że czasem to robisz.**

**Może lubisz zapach prażonej kukurydzy? Dlaczego nie zabierałaś ze sobą swoich dziewczynek, Patsy?**

**Teraz widzisz, że trzeba było. Jak powiada j ą, życie jest mgnieniem.**

Z początku nie widziałam w tym sensu. Jesteś przecież bardzo zajęta Ważną Figurą. Ale potem zrozumiałam, w czym rzecz. Produkujesz filmy, więc musisz je oglądać, lecz masz także rodzinę, która co wieczór na ciebie czeka. Powinnaś być w domu na kolacji z Lynne i Laurie. Ile mają teraz lat?

Dwanaście i trzynaście? Lubią, kiedy jesteś w domu, i ty też to lubisz. Myślę, że to dobrze. Ale dziś wieczorem nie wrócisz na kolację. To smutne, kiedy o tym pomyśleć, a ja właśnie to robię.

Tak czy inaczej, siedziałaś na balkonie w dziewiątym rzędzie. Ja siedziałam w dwunastym. Czekałam, patrząc na tył twojej głowy i ciemno ufarbowane włosy. Wybierałam miejsce, gdzie wejdzie mój pocisk. Obmyślałam przebieg akcji i drogę ucieczki. Czyż nie tak robi zabójca w filmie? Z tą różnicą, że dzisiejsze filmy są ponure – ponuro głupie lub ponuro nudne. Nie wyjęłam pistoletu, dopóki film się nie zaczął. Bałam się, a to mi się nie podobało. To ty powinnaś się bać, Wielka Szycho. Ale ty nie wiedziałaś, co nastąpi, nie wiedziałaś, że tam jestem. Tacy ludzie jak ja są dla ciebie niezauważalni.

Siedziałam długo z wycelowanym w ciebie pistoletem, trzymając go na kolanach. Potem uznałam, że muszę znaleźć się bliżej ciebie. Chciałam zobaczyć twoje oczy w momencie, kiedy już będziesz wiedziała, że cię zastrzelę, kiedy zrozumiesz, że już nigdy nie ujrzysz Lynne i Laurie, nie zobaczysz żadnego filmu ani zielonego światła na skrzyżowaniu – i że przestaniesz być Ważną Figurą.

Ale kiedy zobaczyłam cię martwą, z rozszerzonymi strachem oczami, przeżyłam wstrząs. Co się stało

z twoją słynną arystokratyczną wyniosłością? Dlatego tak szybko wyszłam z kina, zostawiwszy cię „niedokończoną”.

Teraz już i tak wszystko ci jedno. Jaka pogoda jest tam, gdzie przebywasz, Patsy? Mam nadzieję, że jest gorąco. Gorąco jak

**w piekle – czyż nie tak się mówi?**

**Czy bardzo brak ci dzieci? Czy chciałabyś je przeprosić? Założę się, że tak. Będąc tobą, przeprosiłabym je. Ale ja nie jestem Ważną Figurą, tylko szarym człowiekiem.**

**Rozdział 18**

**Dochodziła dziewiąta, a sytuacja, mówiąc ogólnie, nie była najlepsza.**

**Uścisk dłoni detektyw Jeanne Galletty, policjantki z Los Angeles, był zdumiewająco delikatny. Wyglądała na osobę, która gdyby chciała, potrafiłaby zmiażdżyć komuś rękę. Pomarańczowy golf z krótkimi rękawami odsłaniał twarde, dobrze rozwinięte mięśnie. Mimo to była szczupła i miała wyrazistą twarz, która przyciągała uwagę.**

**Złapałem się na tym, że się na nią gapię, i uciekłem wzrokiem w bok.**

**–Czyżbym kazała panu czekać, agencie Cross? – zapytała.**

**–Niezbyt długo – odparłem. Bywałem już w jej położeniu.**

**Kiedy się prowadzi śledztwo w eksponowanej sprawie, wszyscy chcą zabrać człowiekowi trochę czasu. Poza tym mój dzień pracy już się kończył, a ona nie zmruży oka przez całą noc. Miała to jak w banku.**

**Wszystko zważyło się na jej głowę przed dwunastoma godzinami. Zaczęło się w komisariacie w Hollywood, ale seryjne morderstwa automatycznie wędrowały do jednostki specjalnej wydziału zabójstw w mieście. Teoretycznie „Mary Smith” nie powinna zostać zaliczona do seryjnych morderców bez przypisania jej przynajmniej czterech zabójstw, jednak policja Los**

Angeles postanowiła dla ostrożności odstąpić od tej reguły. Choć nikt mnie nie pytał o zdanie, uznałem tę decyzję za słuszną.

Media bardzo nagłośniły oba morderstwa, toteż nacisk na departament policji był już dość silny. Gdyby e-maile wysłane do „Timesa” ujrzały światło dzienne, ten nacisk stałby się jeszcze silniejszy.

Detektyw Galletta zaprowadziła mnie na górę, do małej salki konferencyjnej, zamienionej w centrum kryzysowe. Służyła jako zaimprovizowane biuro informacyjne, dostarczające materiałów dotyczących zabójstw.

Całą jedną ścianę zajmowały raporty policyjne, mapa miasta, szkice obu miejsc morderstw i dziesiątki fotografii ofiar. Stojący w kącie kosz na śmieci pełen był pustych kubków i zatłuszczonych pojemników po barowych daniach na wynos. Napisy firmowe wskazywały, że wojnę hamburgerową w tym komisariacie zdecydowanie wygrywała Wendy.

Przy wielkim drewnianym stole siedziało dwóch detektywów w koszulkach z krótkimi rękawami. Przed każdym z nich leżał stos papierów. Znajomy smutny widok.

–Musimy porozmawiać bez świadków – powiedziała do nich Galletta. W jej głosie nie było rozkazu. Prezentowała ten rodzaj bezpretensjonalnej pewności siebie, który nie wymaga pryncypialności. Obaj mężczyźni wynieśli się bez słowa.

–Od czego chciałabyś zacząć? – spytałem.

Galletta natychmiast przystąpiła do rzeczy.

–Co sądzisz o tej nalepce? – Wskazała na duże czarno-białe zdjęcie, przedstawiające tył kinowego fotela. Widniały na nim takie same dziecięce nalepki, jakie znaleziono na drzwiach limuzyny Antonii Schifman. Każda z nich miała literę A lub B. Jedna z nich przedstawiała kucyka z wybałuszonymi oczami, dwie pozostałe pluszowego misia na huśtawce. Co zabójczym miała do dzieci? I do matek?

–To się nie trzyma kupy – mruknąłem. – Podobnie jak cała reszta. Stylizowane e-maile. Strzały z bliskiej odległości.

Masakrowanie nożem. Wybieranie ofiar spośród znanych kobiet. Osoba, która te morderstwa popełnia, chce rozgłosu. Na możliwie największą skalę.

–Na to wygląda. Ale co oznaczają dziecięce nalepki?

Dlaczego nalepki? Dlaczego tego rodzaju? Co symbolizują litery A i B? Muszą coś znaczyć. W obu e-mailach Mary Smith

wspomina o biednych dzieciach ofiar. Dzieci są częścią tych puzzli. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie miałam do czynienia z czymś podobnym.

Zagryzła wargi i zapatrzyła się na podłogę. Czekałem, co jeszcze powie.

–Te morderstwa mają dwie wspólne cechy. Pierwsza to fakt, że ofiary są z branży filmowej, przynajmniej na razie. Druga, że obie były matkami. No i sprawa osieroconych dzieci. W żadnym z e-maili nie ma mowy o mężach. – Galletta mówiła powoli, z namysłem, podobnie jak czasem ja. – Albo sama jest matką, albo ma coś przeciwko matkom. Mamuniom. –Więc przypuszczasz, że Mary Smith jest kobietą? – spytałem.

Rozdział 19

Detektyw Galletta zakołysała się na piętach swoich nike, po czym spojrzała na mnie podejrzliwie.

–Więc nic nie wiesz o włosie? Kto cię zapoznawał ze sprawą?

Poczułem przyływ frustracji na myśl o zmarnowanym urlopie. Westchnąwszy, zapytałem:

–O jakim włosie?

Poinformowała mnie, że pod jedną z nalepek w kinie Westwood policja znalazła ludzki włos. Nie należał do Patrice Bennett, ale badania wskazywały na kobietę rasy kaukaskiej. Fakt, że znalazł się na gładkiej pionowej powierzchni pod nalepką, nadawał mu rangę dowodu rzeczowego, choć nie żelaznego.

Zestawiwszy tę nową informację z tym, co już wiedziałem, podzieliłem się z Galletta własną opinią na temat całej sprawy. Zawierała ona między innymi mój osobisty pogląd, iż jeszcze nie można definitywnie określić, jakiej płci był sprawca.

–Wszystko, co ci powiedziałem, traktuj z pewną rezerwą.

Nie jestem facetem, który połknął wszystkie rozumy.

Uśmiechnęła się lekko.

–Wezmę to pod uwagę, agencie Cross. Co jeszcze?

–Co zamierzasz zrobić z mediami?

Chciałem podkreślić, że to jej osobisty show. Miałem nadzieję, że ten dzień będzie moim ostatnim kontaktem ze sprawą morderstw. Jeśli się uda, nie będę musiał mówić jej tego wprost. Po prostu sobie pójdę.

–Oto mój plan kontaktów.

Włączyła zawieszony na ścianie telewizor. Skakała po kanałach, zatrzymując się *na tych, w których mówiono o zabójstwach*.

„Wstrząsające podwójne morderstwo aktorki Antonii Schifman i jej kierowcy...”.

„Przenosimy się na żywo do Beverly Hills...”.

„Były asystent Patrice Bennett na linii...”.

Wiele kanałów miało ogólnokrajowy zasięg, jak na przykład CNN czy E! Entertainment Television.

Galletta przycisnęła klawisz wyłączenia dźwięku.

–Oto gówno, którym karmią się media. W obu przypadkach przez dwadzieścia cztery godziny udzielałam prasie informacji, by zaspokoić ciekawość reporterów i utrzymać ich z dala od miejsc zbrodni. Nie udało mi się to, a wkrótce może być jeszcze gorzej. Sam tego doświadczyłeś. Masz jakąś radę dla mnie? Owszem, miałem. Przed paru laty dostaliśmy bolesną naukę, kiedy prasa i telewizja nagłośniły pewne szczegóły w sprawie snajpera z Waszyngtonu.

–Moja rada jest taka: nie próbuj panować nad treścią sprawozdań, bo to ci się nigdy nie uda – powiedziałem. – Jediną rzeczą, jaką możesz kontrolować, jest wypływ informacji z miejsc zbrodni. Załóż knebel wszystkim pracującym przy śledztwie. Nikt nie może udzielać wywiadów bez specjalnego pozwolenia. Może to, co powiem, wyda ci się zwariowane, ale posadź paru ludzi przy telefonie, żeby zadzwonili do wszystkich emerytowanych funkcjonariuszy, których znajdą, i poprosili ich, by nie komentowali niczego dla prasy. Absolutnie! Emerytowani policjanci stwarzają mnóstwo problemów. Niektórzy po prostu uwielbiają snuć swoje teorie przed kamerami. Znowu się uśmiechnęła.

–Czy jest coś, na czym się nie znasz?

Wzruszyłem ramionami.

–Wierz mi, że wszystkiego, co umiem, nauczyłem się w trudnych sytuacjach.

W trakcie rozmowy przechadzała się powoli pod wielką tablicą na ścianie, czytając wszystkie informacje. Tak właśnie

należało postępować. Gromadzić szczegóły w zakamarkach mózgu, żeby tkwiły tam dotąd, aż okażą się potrzebne. Zdążyłem już zauważyć, że ma intuicję. Cechował ją zdrowy sceptycyzm, ale potrafiła też słuchać. Łatwo było domyślić się, dlaczego tyle osiągnęła mimo stosunkowo młodego wieku. Ale czy nie przewróci się na tej ostatniej przeszkodzie?

–Przyszła mi do głowy jeszcze jedna rzecz – powiedziałem. – Mary Smith będzie prawdopodobnie obserwowała twoje poczynania. Radzę ci, nie dyskredytuj publicznie ani jej, ani tego, co robi – przynajmniej do czasu. Ona rozgrywa to na pokaz, dla mediów.

–Myślę, że masz rację.

Zatrzymała się i spojrzała na niemy ekran telewizora.

–Przypuszczam, że je to wszystko łyżeczką.

Pomyślałem to samo. Należało bardzo ostrożnie karmić potwora.

Nie potrafiłem jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to możliwe, żeby tym potworem była kobieta.

Rozdział 20

Zaraz po północy wróciłem do hotelu w Disneylandzie, gdzie czekały na mnie kolejne złe wiadomości. I wcale nie chodziło o to, że Jamilla odleciała do San Francisco. Liczyłem się z tym i czułem, że mam u niej przechlapane.

Kiedy wszedłem (Jo pokoju hotelowego, zastałem Nanę śpiącą na sofie. Trzymała w rękach szydełkową robótkę i spała spokojnie jak dziecko.

Nie chciałem jej przeszkadzać, ale sama się zbudziła. Zawsze tak było. W młodości, kiedy byłem chory albo miałem zły sen, wystarczyło, że stanąłem koło jej łóżka. Mówiła, że czuwa nade mną nawet wtedy, gdy śpi. Czy tej nocy też nade mną czuwała?

Przez ctfuższą cń\vi'fą patrzyfem na nią w ciszy. Me wiem, jaki stosunek do starszych ludzi mają inni, ale ja kochałem ją aż do bólu. Wychowywała mnie od czasu, gdy miałem dziesięć lat.

W końcu pochyliłtn się nad nią i pocałowałem ją w policzek.

–Odsłuchaaś moją wiadomość w poczcie głosowej? – spytałem.

Nana spojrzała z i-oztargnieniem na migającą czerwoną lampką w aparacie telefonicznym.

–Chyba nie – odparła z zawstydzieniem.

Położyła mi dłoĄ na ramieniu i dodała:



–Och, Alex. Była tu Christine. Zabrała małego Aleksa do Seattle. Nie ma go.

Mój mózg przez dobrą chwilą nie był w stanie przetworzyć tej informacji. Christine miała przyjechać po Aleksa dopiero za dwa dni. Wprawdzie sprawowała opiekę nad naszym synem, ale wycieczka do Disneylandu została z nią uzgodniona. Powiedziała nawet, że to dobry pomysł.

Usiadłem zrezygnowany na krawędzi sofy.

–Nie rozumiem tego. Dlaczego zabrała Aleksa? Co się stało? Powiedz mi wszystko.

Nana schowała robótkę do ozdobnej torebki.

–Byłam taka zła, że chętnie bym ją trzasnęła. Zachowywała się zupełnie inaczej niż zwykle. Wyobraź sobie, Alex, że krzyczała. Nakrzyczała na mnie, a nawet na Jannie.

–Co Christine tu robiła? Miała przyjechać dopiero...

–Zjawiała się wcześniej, by pobyć w rodzinie razem z tobą i małym Alekssem. Z nami wszystkimi. Kiedy się dowiedziała, że pracujesz, zmieniła się nie do poznania. Zrobiła się jadowita jak szerszeń. Nie dała sobie nic powiedzieć. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak rozwścieczonego.

To wszystko spadało na mnie zbyt szybko. Najgorsze, iż nie zdążyłem pobyć z synem, a teraz znów go nie było.

–Co z Alekssem? Jak zareagował?

–Był zmieszany, wydawało mi się, że jest smutny. Biedny mały. Pytał o ciebie, kiedy go zabierała. Powiedział, że przyrzekłeś *zabrać go na wakacje*. Czekał *na to* od dawna. Wszyscy czekaliśmy na to, Alex. Wiesz o tym.

Serce mi się ścisnęło, kiedy wyobraziłem sobie twarzączkę Aleksa. Miałem wrażenie, że oddała się ode mnie coraz bardziej – że tracę część mojego życia.

–A co na to Jannie i Damon? – zapytałem.

Westchnęła ciężko.

–Zachowywali się bardzo dzielnie, ale Jannie płakała do poduszki. Myślę, że Damon też, tylko on lepiej potrafi to ukryć. Biedactwa, przez cały wieczór mieli nieszczęśliwe miny.

Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

–Przykro mi, że mnie tu nie było – wymamrotałem w końcu.

Objęła dłonią mój podbródek i spojrzała mi w oczy. Nadchodzi najgorsze, pomyślałem. Przygotuj się.

–Jesteś dobrym człowiekiem, Alex. I dobrym ojcem. Nie zapominaj o tym, zwłaszcza teraz. Masz... masz do wykonania bardzo trudne zadanie.

Parę minut później wśliznąłem się do pokoju, w którym spali Jannie i Damon. Stałem długo, patrząc na nich z przyjemnością, bo leżeli tak, jakby znów byli małymi dziećmi. Nic nie mogło podnieść mnie bardziej na duchu niż ten widok. Moje bobaski, nieważne ile macie lat.

Jannie spała na brzegu łóżka, zwinięta kołdra leżała obok. Podszedłem i przykryłem ją.

Drgnąłem, usłyszawszy z tyłu szept Damona:

–Czy to ty, tato?

–O co chodzi, Day? – Usiadłszy na brzegu jego łóżka, poczochorałem go po plecach. Robiłem tak zawsze, od czasu gdy był jeszcze niemowlęciem. Nie przestałem, dopóki mnie sam o to nie poprosił.

–Będziesz jutro pracował? – zapytał. – Pewnie już jest jutro?

W jego głosie nie było złośliwości. Miał zbyt dobry charakter. Jeśli ja zasługiwałem na miano dobrego ojca, to on na pewno był dobrym synem.

–Nie – uspokoiłem go. – Jutro nie pracuję. Zapomniałeś, że mamy wakacje?

Rozdział 21

Drugi dzień z rzędu budził mnie natrętny sygnał telefonu. Tym razem dzwonił Fred van Allsburg, zastępca dyrektora FBI, szef terenowego oddziału w Los Angeles. Pamiętałem to nazwisko ze schematu organizacyjnego biura, lecz do tej pory nie spotkaliśmy się ani nie rozmawialiśmy. Mimo to potraktował mnie z pewnego rodzaju poufałością.

–Alex! Jak ci leci na wakacjach? – To były jego pierwsze słowa, gdy się odezwałem.

Czy już wszyscy wiedzieli, co porabiam?

–W porządku, dzięki – odparłem. – W czym ci mogę pomóc?

–To ja ci dziękuję za twoje wczorajsze współdziałanie w sprawie *Mary Smith*. *Zrobiliśmy duży* krok naprzód i nawiązaliśmy względnie dobrą współpracę z policją Los Angeles. Przejdę od razu do *rzeczy*. Chcielibyśmy, żebyś nas reprezentował do końca śledztwa. To głośna sprawa i bardzo dla nas ważna. Oczywiście również dla dyrektora. Wszystko wskazuje na to, niestety, że jeszcze na tym nie koniec.

Przypomniała mi się kwestia z trzeciej części *Ojca chrzest-*

**nego: „Kiedy sądziłem, że już mi się udało wywikłać, wciągnęli mnie z powrotem”.**

**Tym razem im się nie uda. Spałem niewiele, lecz kiedy się**

obudziłem, miałem dokładnie obmyślony plan całego dnia – który w żaden sposób nie wiązał się ani z Mary Smith, ani ze śledztwem w sprawie tych makabrycznych morderstw.

–Przykro mi, ale muszę odmówić. Mam zobowiązania rodzinne, których nie mogę odwołać.

–Rozumiem, naturalnie – odpowiedział zbyt szybko, by zabrzmiało to szczerze. – Może jednak dasz się na moment oderwać? Tylko na parę godzin.

–Przykro mi, ale nie dam. Nie teraz.

Van Altsburg ciężko westchnął na drugim końcu linii. Kiedy znów się odezwał, jego głos nabrał nowych tonów. Nie byłem pewny, czy się nie przesłyszałem, ale miałem wrażenie, że zabrzmiała w nim protekcjonalność.

–Czy wiesz, z czym mamy do czynienia, Alex? Oglądałeś poranne wiadomości?

–Próbuję trzymać się z dala od wiadomości. Pamiętaj, że mam urlop. Potrzebuję odpoczynku. Dopiero co rozwiązałem sprawę Wilka.

–Posłuchaj, Alex, obaj wiemy, że na tym, co się stało, ta sprawa się nie skończy. Giną ludzie. Ważni ludzie.

Ważni ludzie? Co to, do cholery, miało znaczyć? W dodatku – nie wiem, czy świadomie – każde zdanie zaczynał od mojego imienia. Rozumiałem jego sytuację, presję, jaką na niego wywierano, ale postanowiłem tym razem nie ulec.

–Przykro mi – powtórzyłem. – Moja odpowiedź brzmi nie!

–Alex, wolałbym, żebyśmy to załatwili między sobą. Nie ma potrzeby iść z tym do Rona Burnsa, prawda?

–Nie, nie ma...

–Dobrze, a więc... – zaczął, ale nie dałem mu skończyć.

–...bo w tym momencie wyłączam mój pager.

## Rozdział 22

Przyznaję, że kiedy odłożyłem słuchawkę, serce biło mi nieco szybciej, lecz poczułem ulgę. Przypuszczałem, że Ron Burns zgodzi się z moim stanowiskiem, chociaż zupełnie mnie to nie obchodziło.

Godzinę później byłem już ubrany i gotów do zwiedzania miasta.

–Kto chce zjeść śniadanie z Goofym?! – zawołałem.

Hotel proponował „śniadania firmowe”, co wydawało mi się dobrym sposobem powrotu do wakacyjnego trybu życia. Pewnie to oklepana metoda, ale czasem taka właśnie bywa najlepsza,

**bo nie odsłania perspektyw.**

**Kiedy Jannie i Damon weszli do saloniku apartamentu, mieli nieufne miny. Wyciągnąłem ku nim pięści z kciukami skierowanymi w górę.**

**–Wybierzcie którąś rękę – powiedziałem.**

**–Tato, nie jesteśmy już dziećmi – zaprotestowała Jannie. – Mam jedenaście lat. Zapomniałeś o tym?**

**Udałem zaskoczenie.**

**–Nie jesteście czym?**

**Roześmieli się oboje, a o to mi chodziło.**

**–To poważna sprawa – stwierdziłem. – Nie żartuję.**

**A teraz wybierajcie. Proszę!**

–O co tu chodzi? – spytał Damon.

Nie odpowiedziałem.

W końcu Jannie dotknęła mojej lewej dłoni. Damon wzruszył ramionami i wskazał na prawą.

–Wygrałeś. – Przekręciłem pięść i odgiąłem palce. Pochylili się, żeby zobaczyć, co mam w ręku.

–Twój pager? – zdziwił się Damon.

–Przed chwilą go wyłączyłem. Teraz wyjdę z Naną na korytarz, a ty ukryjesz to paskudztwo. Ukryj je dobrze. Nie chcę tego widzieć, dopóki nie wrócimy do Waszyngtonu. Oboje zaczęli gwizdać i klaskać. Nawet Nana wydała okrzyk radości. Wyglądało na to, że w końcu będziemy mieli wakacje.

### Rozdział 23

Może z tego całego strachu będzie jakaś korzyść? Było to całkiem możliwe. Arnold Griner wiedział, że kiedy ta makabra się skończy, będzie miał wyłączne prawo do własnej wersji dramatu. Nic zgodzi się na zwykły film telewizyjny. Stworzy sensacyjny serial w „LA Timesie”, a potem w postaci gotowego scenariusza sprzeda całość którejś z wytwórni. Jaki nada mu tytuł? „Hollywood w oblężeniu”? „Wojna z gwiazdami”? Oba złe. W każdym razie pomysł miał ręce i nogi.

Potrząsnąwszy głową, skupił uwagę na autostradzie do San Diego. Zażyty niedawno xanax sprawiał, że czuł się lekko zamroczony, więc popijał kawę, żeby kofeina zrównoważyła działanie leku. Nienawidził jazdy w porannym ruchu, zwłaszcza ostatnio. Zbliżała go do redakcji, biurka i jego komputera. Była etapem przejściowym od stanu umiarkowanego zdenerwowania do paraliżującego lęku i uczucia mdłości w żołądku.

Lepiej by się czuł, gdyby wiedział, że znów czeka na niego mrozący krew w żyłach e-mail. Najgorsza była niepewność.

Czy Mary znów się odezwie? Czy to nastąpi już dziś?

I najważniejsze: dlaczego pisze te listy właśnie do niego?

Przyjechał na Times Mirror Square dość wcześnie. Jego redakcja mieściła się w starszej części kompleksu budynków, w kamienicy z lat trzydziestych dwudziestego wieku, do której

przedtem – zanim to wszystko na niego spadło – czuł pewien sentyment.

Główne drzwi budynku były wykonane z brązu i z obu stron opatrzone imponującymi rzeźbami orłów. Tym razem nie wszedł przez nie, tylko skorzystał z tylnego wejścia. Ostrożność nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Zaczął się wspinać schodami

na trzecie piętro.

Gdy mijał piętro redakcji wiadomości, dołączyła do niego Jennie Bloom. Spośród wszystkich członków personelu, którzy nagle zaczęli się nim interesować, ona okazywała to najwyraźniej. Czy to nie było obrzydliwe?

–Hej, Arnold, jak leci? Dobrze się czujesz? O czym dziś piesz?

Grinerowi nie zabiło mocniej serce na jej widok.

–Jen, jeśli zależy ci na tym, żebym cię poderwał, to znaczy, że już nikt w Los Angeles nie chce cię przelecieć.

Jennie Bloom uśmiechnęła się lekko, lecz nie popuściła.

–Mówisz jak ktoś, kto ma duże doświadczenie w tych sprawach... – powiedziała. – W porządku, pomińmy grę wstępna. Dostałeś jakieś nowe e-maile? Chcesz, żeby ci pomóc? Jestem do twojej dyspozycji. Przyda ci się kobiecy punkt widzenia.

–Zostaw mnie teraz w spokoju, dobrze? Dam ci znać, jak przyjdzie coś nowego. – Odwrócił się szybko i odszedł.

–Nieprawda, nie dasz! – zawołała za nim.

–Masz rację, nie dam – odpowiedział, nie zatrzymując się.

Nawet takie denerwujące epizody przynosiły ulgę. Gdy tylko odwrócił się od Bloom, znów poczuł się zamknięty w klatce lęku – w kręgu pytań, na które nie znał odpowiedzi.

Dlaczego ja? Dlaczego Szalona Mary wybrała właśnie mnie? Dlaczego nie Jennie Bloom? Czy dziś nastąpi to samo? Czy znów zginie ktoś znany?

Jego obawy sprawdziły się.

## Rozdział 24

W słuchawce odezwał się spokojny, rzeczowy kobiecy głos:

–Tu dziewięć-jeden-jeden, w czym mogę pomóc?

–Mówi Arnold Griner z „Los Angeles Timesa”. Powinienem zadzwonić do detektyw Jeanne Galletty, ale nie mam... nie mogę znaleźć jej numeru. Przepraszam, jestem trochę roztrzęsiony. Nie mogę znaleźć nawet mojego rolodexa.

–Czy to pilna sprawa, proszę pana? Wzywa pan pomocy?

–Tak, to stanowczo pilna sprawa. Ktoś mógł zostać zamordowany. Nie wiem, kiedy to się stało, a nawet czy w ogóle się wydarzyło. Czy ktoś wzywał pogotowie do osoby o nazwisku Marti Lowenstein-Bell?

–Nie wolno mi udzielać takich informacji, proszę pana.

–Nieważne. Wyślijcie kogoś do rezydencji Lowenstein-

–Bell. Myślę, że została zamordowana. Jestem tego prawie pewny.

**–Skąd pan może być pewny?**

**–Po prostu jestem, rozumie pani? Wiem niemal na pewno, że popełniono tam morderstwo.**

**–Proszę podać adres.**

**–Adres? Jezu, nie znam adresu. Ciało powinno być w basenie.**

**–Jest pan tam na miejscu?**



–Nie. Nie. Proszę posłuchać, to jest... nie wiem, jak to wyjaśnić. Chodzi o sprawę Mary Smith. Zabójstwa wybitnych osobistości z Hollywood. Czy pani wie, o czym mówię?

–W porządku, proszę pana. Wiem, o co chodzi. Niech pan powtórzy nazwisko.

–Lowenstein-Bell. Imię: Marti. Wiem, że jej mąż nazywa się Michael Bell. Proszę poszukać pod tym nazwiskiem. Nie wiem w stu procentach, czy Marti nie żyje, ale otrzymałem taką wiadomość. Jestem dziennikarzem „LA Timesa”, nazywam się Arnold Griner. Detektyw Galletta mnie zna.

–Wiem już wszystko co trzeba, proszę pana. Proszę chwilę poczekać przy aparacie.

–Nie, ja nie...

## Rozdział 25

Dyspozytor policji Los Angeles odebrał telefon o 8.42 rano i natychmiast wysłał do rezydencji Lowenstein-Bell w Bel Air funkcjonariuszy, wozy patrolowe oraz ambulans.

Na numer 911 nadeszły dwa niezależne od siebie zawiadomienia w odstępie kilku minut. Pierwsze było z redakcji „Los Angeles Timesa”, drugie z samej rezydencji.

Pierwszymi policjantami, którzy zjawili się na miejscu, byli Jeff Campbell i Patrick Beneke. Jeszcze zanim tam dotarli, Campbell czuł, że to następne morderstwo znanej osobistości. Już sam adres był niezwykle jak na tego rodzaju alarm, a meldunek mówił o pojedynczej ofierze, którą miała być kobieta, i o ranach zadanych nożem. Rezydencja należała do znanego w hollywoodzkich kręgach artystycznych małżeństwa, co wróżyło zwiększone kłopoty dla policji.

Na podjeździe czekała niska ciemnowłosa kobieta w mundurku służącej, miętoszająca w rękach jakąś ścierkę lub ręcznik. Kiedy policjanci podjechali bliżej, ujrzeni, że chodzi w kółko i płacze.

–Tego tyłko brakowało – mruknął Beneke. – Jakiejś Carmelity, która nie zna angielskiego, wytrzeszcza oczy i zachowuje się *muy loco*.

Campbell zareagował na tę rasistowską uwagę młodszego stopniem funkcjonariusza jak zwykle.

## 81

–Zamknij się, do cholery, Beneke. Nie mam ochoty tego słuchać. Ona jest przerażona.

Gdy tylko wysiedli, kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć:

–*Aqui, aqui, aqui!* - Gestem ręki kazała im iść za sobą w stronę frontowych drzwi domu. – *Aquil Aquil!*

Rezydencja była ultranowoczesną budowlą, położoną wysoko w górach Santa Monica. Podchodząc do domu, Campbell dostrzegł za drzwiami z zielonego szkła duże patio, a jeszcze dalej odległą panoramę wybrzeża.

Na szkle drzwi wejściowych widniał jakiś jasny prostokąt. Sprawiał wrażenie czegoś całkowicie niepasującego do tego miejsca. Metka albo naklejka. Kalkomania dziecięca? Prostokąt był oznaczony dużą literą A.

Campbell poczuł na przedramieniu kurczowy uścisk ręki służącej.

–Proszę się uspokoić – powiedział. – *Uno momento, por favor. Como te llamas?*

Kobieta jakby go nie słyszała. Mówiła po hiszpańsku zbyt szybko, żeby mógł ją zrozumieć. Uparcie wskazywała ręką na dom.

–Wejźmy do środka – rzekł Beneke. – Tracimy z nią czas. Chce, żebyśmy dokonali *vida loca*.

Nadjechały dwa kolejne wozy patrolowe i ambulans. Jeden z sanitariuszy przeprowadził krótką rozmowę ze służącą.

–W basenie na patio – przetłumaczył. – Nie zauważyła nikogo kręcącego się w pobliżu rezydencji.

–Wie tyle co gówno – burknął Beneke.

–Obejźmy dom – powiedział Campbell. Wyciągnąwszy pistolety, zaczęli obaj okrążyć dom od północnej strony, a pozostali obchodzili go od południa, pokonując po drodze kilka ścian żywopłotów.

Przedzierając się przez gęste krzewy hortensji, Campbell poczuł znajomy przyływ adrenaliny. Wezwania na miejsca zbrodni zawsze tak na niego działały. Głowę miał jasną i myślał precyzyjnie, za to jego nogi były jak z waty.

Starął się przeniknąć wzrokiem obfitą roślinność, choć wiedział z doświadczenia, iż jest mało prawdopodobne, by zabójca był jeszcze na miejscu.

–Widzisz coś? – spytał szeptem swojego partnera, który miał dwadzieścia dziewięć lat, pozował na kalifornijskiego kowboja i był totalnym dupkiem.

–Widzę. Ścianę kwiatów – odparł Beneke. – Byliśmy tu pierwsi. Dlaczego pozwoliłeś tamtym pójść przed nami? Campbell stłumił w sobie gniewną reakcję.

–Miej oczy otwarte – polecił. – Morderca może jeszcze tu być.

–Liczę na to, *podjo*.

Wyszli z krzaków na rozległe patio, osłonięte tarasem na pierwszym piętrze. Niemal całą powierzchnię patio zajmował ogromny basen o czarnym dnie. Woda zdawała się dochodzić do krawędzi, a nawet przez nie przelewać.

–Jest tam... -jęknął Campbell.

Na powierzchni wody unosiło się ciało kobiety o bardzo jasnej karnacji, twarzą w dół, z rozkrzyżowanymi rękami. Kobieta miała na sobie jednoczęściowy seledynowy kostium. Długie blond włosy pływały wokół głowy.

Jeden z sanitariuszy wskoczył do basenu i przekręcił ciało na wznak. Przyłożył palce do szyi kobiety, ale Campbell wiedział, że nie znajdzie w niej pulsu.

–Niech to szlag trafi! – Skrzywił się i odwrócił głowę w bok, po czym zmusił się, by spojrzeć ponownie. Wstrzymał oddech, próbując zapanować nad sobą. Kto, do diabła, mógł coś takiego zrobić? Biedaczka była od szyi w górę straszliwie zmasakrowana. Jej twarz przypominała bryłę porzniętego mięsa. Woda wokół ciała była zabarwiona na różowo.

Beneke wszedł do wody, chcąc się przyjrzeć kobiecie z bliska.

–Ten sam morderca. Założę się o wszystko, że to ten sam wariat. – Pochylił się nad ciałem, by je pomóc wyciągnąć.

–Nie dotykaj jej! – warknął Campbell i zwrócił się do

sanitariusza, który nadal był w wodzie. – Wyjdź z basenu, słyszysz? Natychmiast!

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wiedzieli jednak, że ma rację. Nawet Beneke się nie odezwał. Nie należało ruszać ofiary, dopóki nie przybędzie zespół kryminalistyczny.

–Hej, koledzy!

Campbell spojrział w kierunku, z którego dochodził głos.  
Z okna na piętrze wychylał się policjant Jerry Tounley.  
–W gabinecie pani domu nic nie zostało ruszone i chyba nic nie zginęło, ale komputer jest włączony i ma otwartą pocztę elektroniczną! Wygląda na to, że ktoś przed opuszczeniem domu wysłał stąd wiadomość.

Rozdział 26

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Do: Marti Lowenstein-Bell

Obserwowałam cię, kiedy jedliście wczoraj wieczorem kolację. Ty i twoja wzorowa pięcioosobowa rodzina. Było miło i kameralnie, ale jak zawsze w stylu „mama wie najlepiej”. Dzięki twoim nieposzlakowanie czystym szklanym ścianom miałam ułatwione zadanie, kiedy was podglądałam.

Z przyjemnością patrzyłam, jak jesz swój ostatni posiłek z dziećmi.

Widziałam smaczne potrawy, przyrządzone przez twoją kucharkę i opiekunkę dzieci. Bawiliście się świetnie i nie mam o to pretensji. Chciałam, żebyś podczas tego swojego ostatniego wieczoru cieszyła się życiem. Szczególnie zależało mi na tym, żeby twoje dzieci zapamiętały ten wieczór. Ja też będę o nich pamiętała.

Nigdy nie zapomnę ich słodkich twarzyczek.

Nigdy nie zapomnę twoich dzieci, Marti.

Przyrzekam ci to.

Masz cudowny, wspaniały dom, Marti, jak

przystało na znaną scenarzystkę i reżysera. Czy zasługujesz na to? Jestem zdania, że tak.

Nie weszłam do domu wcześniej j, poczekałam, aż położysz dziewczynki do łóżeczek. Potem wśliznęłam się przez otwarte drzwi prowadzące na patio, które zawsze zostawiasz otwarte.

Nie potrafiłam oprzeć się chęci zobaczenia domu od środka, z twojej perspektywy.

Nadal jednak nie mogę zrozumieć, dlaczego wy, bogacze, czujecie się tak bezpiecznie w swoich rezydencjach. Wasze warowne zamki nie obronią was, jeśli będziecie lekkomyślni. A ty byłaś lekkomyślna. Nie zwracałaś na nic uwagi. Byłaś zbyt lekkomyślna tylko jako matka czy także jako gwiazda?

Przysłuchiwałam się, kiedy na górze układałaś dzieci do snu. To było wzruszające – przyznaję szczerze. Myślałaś prawdopodobnie, że będziesz ostatnią osobą, która je będzie tego dnia widziała, ale się pomyliłaś.

Kiedy wszyscy już spali, przyjrzałam się każdej z dziewczynek. Oddychały spokojnie, wyglądały jak aniołki, które nie mają żadnych trosk.

Nie musiałam im mówić, żeby się o nic nie martwiły, bo nic im nie groziło. Ale tobie tak.

Postanowiłam poczekać do rana, żeby zostać z tobą sam na sam, pani reżyser.

Było mi to na rękę. Twój mąż Michael zabrał rano dziewczynki do szkoły. Przypuszczam, że właśnie nadeszła jego kolej. Okazało się to korzystne dla wszystkich, a zwłaszcza dla niego. Dzięki temu przeżył, ty nie musiałaś patrzeć, jak umiera, ja zaś mogłam zabrać się za ciebie tak, jak to dawno temu zaplanowałam.

A oto, co się potem działo, Marti.

Twój ostatni dzień rozpoczął się jak zwykle.

Odbyłaś swoje codzienne ćwiczenia Pilates, a potem weszłaś do basenu. Przepłynęłaś jak zawsze pięćdziesiąt długości. Fajnie jest mieć taki duży basen. Do tego podgrzewany. Patrzyłam, jak pływasz tam i z powrotem w skrzącej się od słońca

niebieskiej wodzie. Stałam długo na brzegu, zanim mnie zauważyłaś.

Kiedy jednak w końcu mnie zobaczyłaś, musiałaś być zmęczona. Przypuszczam, że byłaś zbyt zmęczona, żeby krzyczeć. Odwróciłaś się tyłem, chcąc uciec, ale to mi nie przeszkodziło cię zastrzelić. A potem pociąć twoje piękne liczko na strzępy.

Powiem ci teraz, co mi się najbardziej w tym wszystkim podobało, Marti. Zaczęłam naprawdę lubić kancerowanie twarzy.

Pozwól, że zadam ci ostatnie pytanie: czy wiesz, dlaczego musiałaś umrzeć? Czy wiesz, co zrobiłaś, żeby na to zasłużyć?

Wiesz, Marti? Jesteś pewna, że wiesz?

Myślę, że nie.

Rozdział 27

Opowiadacz wiedział, że nie tak się to odbyło.

Nie miał oczywiście zamiaru mówić redaktorowi „LA Timesa” i policji o wszystkim, informował ich jedynie o tym, o czym chciał, żeby wiedzieli. Tylko o tym, co potwierdzało, że właśnie on był autorem tych wydarzeń.

To była piekielnie dobra historia – historia, którą sam wymyślił. Mary Smith! Klasyczny filmowy horror, który dział się naprawdę.

Któregoś dnia usłyszał opowiadkę, którą nazywano „testem psychopaty”. Jej zadaniem było określenie, czy badany ma umysłowość psychopaty. Jeśli się odpowiedziało prawidłowo, wynik był pozytywny. Treść opowiadki była następująca: *kobieta poznaje na pogrzebie swojej matki faceta i momentalnie się w nim zakochuje. Nie zna jego nazwiska, telefonu ani w ogóle nie ma jego żadnych danych. Kilka dni później zabija swoją siostrę.*

Pytanie testowe: dlaczego ta kobieta zabiła swoją siostrę?

Prawidłowa odpowiedź oznaczała, że badany ma umysłowość psychopaty.

Opowiadacz błyskawicznie rozwiązał test. Kobieta zabiła siostrę, bo miała nadzieję, że facet, w którym się zakochała, zjawi się na jej pogrzebie.

Tak czy inaczej, po zabiciu Marti Lowenstein-Bell był cały w skowronkach, wiedział jednak, że musi się kontrolować. Należało zachowywać pozory, poszedł więc do pracy. Chodził po korytarzach biurowca w Pasadenie, spotykając dziesiątki współpracowników i rozmawiając z nimi na tematy, które go absolutnie nie obchodziły, zwłaszcza tego dnia. Miał ochotę powiedzieć im, czego niedawno dokonał, a także o swoim sekretnym życiu, o którym żaden z nich nie wiedział, o tym, jaki jest sprytny i mądry, jakim genialnym jest planistą, strategiem i zabójcą.

Chryste, jak oni uwielbiali doczepiać do wszystkiego to słowo. Wszystko było dla nich zabójcze. Zabójczo się ktoś uśmiechał, zabójczo pachniał, zabójcze było jakieś działanie – lecz w rzeczywistości były to tylko puste słowa.

Ci wszyscy ludzie byli mięczakami. Nie mieli pojęcia, co to jest prawdziwe zabijanie. Tylko on wiedział.

Dowiedział się jeszcze jednego: że lubi zabijać – bardziej niż przypuszczał – i że jest w tym dobry.

Poczuł nagłą chęć, by wyjąć pistolet – tu, w biurze –

i zacząć strzelać do wszystkiego, co się rusza i hałasuje.

Ale to była jedynie chwilowa zachcianka, nieszkodliwe marzenie na jawie. Nic nie mogło się mierzyć z jego prawdziwą akcją. Z akcją „Mary”.

## Rozdział 28

–Dzwonili z twojego biura w FBI tyle razy, że w końcu przestałam podnosić słuchawkę. Boże, jak można być tak natrętnym? – powiedziała moja cioteczna babka Tia, kiedy już nazachwycała się kolorowym szalem, który przywieźliśmy jej z Kalifornii w podziękę za opiekowanie się naszym domem. Siedząca obok niej Nana przeglądała gruby plik korespondencji.

W kuchni była jeszcze nasza kotka Ruda, która wydawała mi się dużo grubsza niż wtedy, gdy ją zostawialiśmy. Ocierała się o moje nogi, jakby chciała powiedzieć: „Byłam na was wściekła, kiedy mnie zostawiliście, ale teraz się cieszę, że jesteście z powrotem. Tia jest dobrą kucharką”.

Ja też byłem zadowolony, że wróciliśmy. Pozostali chyba również. Zabranie przez Christine małego Aleksa do Seattle w znacznym stopniu przyczyniło się do szybszego zakończenia naszych wakacji. Moja rozmowa z nią odbyła się w bardzo napiętej atmosferze, gdyż oboje z trudem powstrzymywaliśmy się, by nie wybuchnąć – i w efekcie nie doprowadziła do

niczego.

**Martwił mnie stan psychiczny Christine, zmienność jej nastrojów oraz niekonsekwencje, które ostatnio zauważyłem w jej postępowaniu. Zastanawiałem się, jak wyglądają jej stosunki**



z Aleksem, kiedy mnie nie ma w pobliżu. Alex nigdy się przede mną nie użalał, ale dzieci rzadko się skarżą.

Siedziałem razem z ciotką i Natią w kuchni mojego mieszkania w stolicy i czułem się, jakbym nie miał ani jednego dnia urlopu. Był czwartek – postanowiłem, że do poniedziałku nie będę zaprzętał sobie głowy pracą. Moje postanowienie trwało pełne pięć minut.

Z przyzwyczajenia poszedłem do mojego gabinetu na mansardzie. Przerzucając stos korespondencji, nacisnąłem klawisz odtwarzania na automatycznej sekretarce.

To był fatalny błąd. Czekало na mnie dziewięć nowych wiadomości. Pierwsza była od Tony'ego Woodsa z biura.

„Cześć, Alex. Próbowałem wielokrotnie złapać cię pagerem, ale bez skutku. Zadzwoń do mnie, do biura dyrektora Burnsa, kiedy tylko będziesz mógł. Przeproś w moim imieniu opiekunkę domu za nękanie jej telefonami. Podejrzewa, że na ciebie poluję, i wcale się nie myli. Zadzwoń!”

Uśmiechnąłem się blado, a tymczasem sekretarka zaczęła odczytywać następną wiadomość:

„Alex, tu jeszcze raz Tony Woods. Zadzwoń, kiedy tylko będziesz mógł. W Kalifornii dokonano trzeciego morderstwa. Sprawa zaczyna się wymykać spod kontroli. W Los Angeles panuje histeria.»LA Times«złamał obietnicę milczenia na temat e-maili od Mary Smith. Zadzwoń do mnie, Alex. To bardzo pilne”.

Tony wiedział, co robi, nie podając mi więcej szczegółów. Spodziewał się lakonicznością wzbudzić moją ciekawość. Udało mu się.

## Rozdział 29

Byłem niemal pewny, że trzecia ofiara jest również hollywoodzką matką. Zastanawiałem się, czy metody Mary choć trochę się zmieniły. Dlaczego „Times” ujawnił e-maile? Z wiadomości telewizyjnych i Internetu mogłem poznać jedynie część faktów.

Jeśli chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, powinienem zadzwonić do biura.

Nie, upomniałem sam siebie. Nie zabieram się do pracy przed poniedziałkiem. Żadnych zbrodni, żadnych Mary Smith. Sekretarka znów bipnęła, po czym usłyszałem głos Rona Burnsa. Mówił krótko i rzeczowo, jak zwykle:

„Alex, dzwonił Fred van Allsburg z Los Angeles. Nie będę przytaczał treści rozmowy, muszę ci jednak zadać kilka pytań. To

**ważne. A przy okazji – witaj w Waszyngtonie, witaj w domu".  
Następna wiadomość była znów od Burnsa. Mówił starannie  
modulowanym głosem:**

**„Alex, w przyszłym tygodniu czeka nas konferencja telefo-  
niczna, a nie chcę, żebyś był nieprzygotowany. Jeśli będzie  
trzeba, zadzwoń do mnie nawet podczas weekendu. Chciałbym  
też, żebyś porozmawiał z detektyw Gallettą z Los Angeles.  
Wie coś, o czym powinieneś się dowiedzieć. Jeżeli nie masz  
numeru jej telefonu, Tony ci go poda".**

Nie brzmiało to zbyt dobrze. Ron Burns nie prosił mnie o dalsze zajmowanie się tą sprawą – on mi rozkazywał. Boże, miałem już tego wszystkiego dość. Miałem dość makabrycznych morderstw – popełnianych jedno po drugim. Zgodnie z danymi posiadanymi przez biuro, w Stanach Zjednoczonych działało aktualnie ponad trzystu seryjnych morderców. Czy oczekiwano ode mnie, psiakrew, żebym ich wszystkich wyłapał? Kliknąłem klawisz przerwy na sekretarce, żeby odetchnąć i zapytać samego siebie, jaki stosunek mam do tego wszystkiego. Oczywiście pomyślałem także o Mary Smith. Zaprzętała moje myśli, intrygowała mnie, drażniła moje ego. Czy to możliwe, żeby seryjnym mordercą była kobieta? Zabijającym wyłącznie kobiety, w dodatku matki? Ale z jakiego powodu? Czy kobieta byłaby do tego zdolna? Wydawało mi się, że nie. Nie mogłem sobie tego wyobrazić, co wcale nie znaczyło, iż była to nieprawda. Zastanawiałem się, czy i tym razem Arnold Griner dostał e-mailową wiadomość. Jaką rolę w tym wszystkim grał? Czy Mary Smith miała już na oku następną ofiarę? Co ją popychało do tych zbrodni?

Pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć, zmobilizowały mnie do działania. Wyobraziłem sobie, że wkrótce jakaś kolejna niczego niespodziewająca się kobieta w Los Angeles, jakaś matka, straci życie, osierocając męża i dzieci. Sam kiedyś znalazłem się w takiej sytuacji i byłem niemal pewny, że Burns, dzwoniąc do mnie, dobrze o tym pamiętał.

Blisko dziesięć lat wcześniej Maria, moja żona, została zastrzelona z przejeżdżającego samochodu. Umarła w moich ramionach. Nikogo nie skazano ani nawet nie aresztowano. W najważniejszej dla mnie sprawie zawiodłem. Jej śmierć była taka bezsensowna. A teraz cała seria podobnych wypadków w Los Angeles... Niepotrzebny mi był mój doktorat z psychologii, by wiedzieć, że Mary Smith rzuciła mi wyzwanie – zarówno w aspekcie osobistym, jak i zawodowym.

Może tylko wybadam grunt, pomyślałem. Poza tym Burns

miał rację – nie mogłem zjawić się w poniedziałek rano w biurze bez przygotowania.

Psiakrew, Alex, zaczynasz mięknać.

Podniosłem słuchawkę i zdziwiłem się, słysząc na linii głos Damona. I nie tylko jego.

–Ja też do ciebie tęskniłam. Przysięgam, że cały czas

myślałam o tobie. – Śmiech nastolatki. – Przywiozłeś mi coś z Kalifornii, Day? Uszy Myszki Miki? A może coś innego? Zmusiłem się, by po cichu odłożyć słuchawkę.

Ja też do ciebie tęskniłam? Co to za dziewczyna? I od kiedy Day zaczął mieć tajemnice? Łudziłem się, myśląc, że kiedy w życiu mojego syna ktoś się pojawi, zechce mi się zwierzyć. Okazało się to tylko moją głupią nadzieją. Ja też miałem kiedyś trzynaście lat. Co właściwie sobie roilem?

Przeżywał właśnie jedną z najwspanialszych chwil swojego nastoletniego życia. Miał ich przed sobą jeszcze ze dwa miliony. Postanowiłem dać mu pięć minut, a potem kazać skończyć rozmowę. Tymczasem wróciłem do automatycznej sekretarki, na której błyskała jeszcze jedna nieodczytana wiadomość. To, co usłyszałem, było niewiarygodne.

### Rozdział 30

„Alex, mówi Ben Abajian, jest czwartek, trzynasta trzydzieści tutejszego czasu. Obawiam się, że przynoszę złe wieści. Adwokat Christine złożył wniosek o przeniesienie do Seattle ostatecznej rozprawy o przyznanie opieki nad dzieckiem. Są jeszcze inne kwestie, ale wolałbym porozmawiać o nich bezpośrednio. Zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz mógł”.

Serce zaczęło mi bić niespokojnie. Ben Abajian był moim adwokatem w Seattle. Zaangażowałem go, gdy tylko Christine przeprowadziła się tam z małym Alekssem. Od tej pory rozmawiałem z nim kilkadziesiąt razy – oczywiście na mój koszt.

Był doskonałym prawnikiem i przyzwoitym facetem, więc taka wiadomość nie wróżyła niczego dobrego. Przypuszczałem, że Christine po swoim zinterpretowała to, co się stało w Kalifornii, i pobiegła z tym prosto do swojego adwokata.

Dzięki różnicy czasu udało mi się jeszcze zastać Bena Abajiana w biurze. Starał się znaleźć czynniki przemawiające na moją korzyść, ale z jego tonu wywnioskowałem, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej.

–Alex, musisz uzbroić się w cierpliwość, ponieważ Christine wystąpiła również z wnioskiem o prawo do wyłączności

sprawowania opieki nad Alekssem juniorem do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia przez sąd. Sędzina się na to zgodziła.

Przykro mi, że muszę ci o tym donieść.

Zacisnąłem palce na słuchawce. Trudno to było przyjąć do wiadomości, a co dopiero znaleźć odpowiedź. Christine nigdy dotąd się tak pieniacko nie zachowywała. Teraz jednak chciała mi odebrać nawet prawo do widywania się z moim synem. Co więcej, udało jej się to, przynajmniej na razie.

–Alex, jesteś tam?

–Jestem, Ben. Przepraszam. Pozwól mi się przez chwilę zastanowić.

Odjąłem słuchawkę od ucha i wziąłem głęboki oddech.

Narzekanie lub gniew w niczym by mi nie pomogły, choć żadna z przemawiających przeciwko mnie okoliczności nie powstała z mojej winy.

Podniosłem z powrotem słuchawkę.

–Jaka była podstawa wniosku? – Pytanie było retoryczne, bo w gruncie rzeczy znałem odpowiedź, a przynajmniej domyślałem się.

–Troska o życie małego Aleksa. Podkreślono, że będąc z nim w Kalifornii, wykonywałeś niebezpieczne zadanie policyjne. Postawiono zarzut, iż nadużyłeś twoich uprawnień, kiedy był pod twoją opieką w Disneylandzie.

–Ben, to są bzdury, całkowite przekręcanie faktów. Policja Los Angeles poprosiła mnie jedynie o opinię w sprawie tamtejszych morderstw.

–Tak przypuszczałem – odparł. – Jej adwokatem jest Annę BiUingsley. Ma zwyczaj wyolbrzymiania argumentów świadczących o winie przeciwnika, nawet we wstępnej fazie. Nie przejmuj się tym. Są też pewne sprzyjające okoliczności. Przede wszystkim wcześniejsza data rozprawy. Dzięki temu Christine będzie miała mniej czasu na umocnienie swojej pozycji po wstępnej decyzji sędziny, która właśnie z tego względu prawdopodobnie nie weźmie jej pod uwagę. Tak więc im wcześniej, tym lepiej. Mamy trochę szczęścia.

–Doskonale – mruknąłem. – Rzeczywiście mamy szczęście.

Ben kazał mi napisać szczegółowy raport z mojego pobytu z rodziną w Kalifornii. Odkąd go zaangażowałem, za jego radą prowadziłem dzienniczek, w którym notowałem, ile czasu spędziłem z Alekssem, uwagi dotyczące jego rozwoju oraz moje

zastrzeżenia w stosunku do Christine. Fakt, iż sprzątnęła mi Aleksa sprzed nosa dwa dni wcześniej, niż się umawialiśmy, był znamieny. Zmiany jej nastrojów bardzo mnie niepokoiły. Czy to, co ostatnio zrobiła, też było wynikiem tych zmian?

–Jest jeszcze jedno – rzekł Ben. – Ale to ci się może nie spodobać.

–Wymień cokolwiek, co mi się w tym wszystkim podoba, a podwoję twoje honorarium.

–Cóż... naszym najsilniejszym argumentem jest przywiązanie Aleksa do jego przyrodniego rodzeństwa.

–Jannie i Damon nie będą świadkami – oświadczyłem kategorycznie. – Nie pozwolę na to, Ben.

Iluż to już widziałem dorosłych świadków, wypatroszonych przez adwokatów na sali sądowej? Zbyt wielu, by choć przez sekundę się wahać, czy postawić moje dzieci za barierką.

–Nie, oczywiście, że nie – zapewnił mnie Ben. – Ale ich obecność na rozprawie miałaby pozytywny wpływ na wynik. Chcesz, żeby Alex do ciebie wrócił, prawda? Czyż nie to jest naszym celem? Jeśli w ogóle odsuniesz od tego swoje dzieci, nie ma sensu, żebym tracił czas.

Rozglądałem się po pokoju, jakbym szukał jakiejś proroczej odpowiedzi.

–Muszę to przemyśleć – powiedziałem w końcu. – Zadzwoń do ciebie.

–Pamiętaj o konieczności stworzenia właściwego obrazu, Alex. To nie będzie przyjemne, ale w ostatecznym rozrachunku może okazać się skuteczne. Możemy wygrać tę sprawę. Wygramy ją.

Był spokojny i zrównoważony. Nie miałem do niego preten-

sji, iż się nie przejmuję tym wszystkim tak samo jak ja – nie byłem jednak w nastroju do rzeczowej dyskusji.

–Możemy o tym porozmawiać jutro z samego rana? – spytałem.

–Oczywiście. Ale nie trać nadziei. Kiedy staniemy przed sędzią, musisz być głęboko przekonany, że jesteś najodpowiedniejszym opiekunem dla swojego syna. Nie musimy w tym celu mieszać Christine z błotem, ale nie możesz wyglądać ani czuć się przegrany, rozumiesz?

–Nie czuję się przegrany. W najmniejszym stopniu. Nie mogę stracić syna, Ben.

Nie stracę Aleksa.

–Zrobię wszystko, co się da, żeby tak się nie stało. Porozmawiamy jutro. Zadzwoń do domu albo do biura. Masz numer mojej komórki?

–Mam.

Nie pamiętam nawet, czy się z nim pożegnałem ani czy wyłączyłem telefon, zanim cisnąłem nim o ścianę.

Rozdział 31

–Co tam się dzieje?! – zawołała z dołu Nana. – Wszystko w porządku, Alex? Co się stało?

Spojrzałem na rozbity telefon na podłodze i skonstatowałem, iż jestem całkowicie wytrącony z równowagi.

–Nic takiego – odpowiedziałem. – Coś mi upadło.

Poczułem wyrzuty sumienia z powodu tego drobnego kłamstwa, ale w tym momencie nie byłem w stanie z nikim rozmawiać. Nawet z Naną. Zamknąłem oczy i oparłem głowę na rękach. Przeklęta Christine. Co ją napadło? To, co zrobiła, było nie w porządku i powinna zdawać sobie z tego sprawę.

Co więcej, trudno było wymyślić gorszy sposób rozwiązania problemu. Przecież to ona zdecydowała się odejść, twierdząc, iż nie nadaje się na matkę. Tak właśnie mi powiedziała: „Nie nadaję się”. I to ona zmieniła potem zdanie. W moim przypadku nic się nie zmieniło. Chciałem Aleksa od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłem, a teraz nawet jeszcze bardziej.

Ujrzałem w wyobraźni jego nieśmiały uśmiech i cwaniackie puszczanie oka – sztuczka, której się ostatnio nauczył. Usłyszałem jego głos. Zapragnąłem objąć go ramionami i nigdy nie wypuścić.

To było absolutnie nie fair. Byłem wściekły na Christine, może nawet odrobinę jej nienawidziłem. Skoro chciała wojny,

byłem gotów z nią walczyć, lecz to, że w ogóle zaczęła tę wojnę, było obłąkane.

Odetchnij głęboko, nakazałem sobie.

Do tej pory zawsze potrafiłem zachować spokój w trudnych sytuacjach. Tego wymagał mój zawód. Nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, iż zostałem ukarany właśnie za wybór zawodu – za to, że jestem gliną.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, lecz gdy w końcu zszedłem z poddasza, w domu panowała cisza i ciemność. Jannie i Damon spali w swoich pokojach, mimo to wszedłem i pocałowałem ich na dobranoc. Zdjąłem Jannie z głowy mysie uszy i położyłem je na nocnym stoliku. Potem poszedłem na tylną werandę, otworzyłem wieko pianina i usiadłem przy nim. Zwykle muzyka ma na mnie kojący wpływ, pomaga mi przezwyciężyć kłopoty lub chwilowo o nich zapomnieć. Tym razem jednak mój blues brzmiał gniewnie i złowieszczo. Przeszedłem na Brahmsa, lecz i to nie pomogło. Moje pianissimo brzmiało jak forte, a arpeggia przypominały tupot nóg biegających tam i z powrotem po schodach. Przerwałem w połowie frazy, nie zdejmując rąk z klawiatury.

W zaległej na werandzie ciszy usłyszałem własny gwałtowny wdech – mimowolny pojedynczy spazm.

Co będzie, jeśli stracę Aleksa?

### Rozdział 32

Spośród wszystkich złych rzeczy, które mogłyby mnie spotkać, nie wyobrażałem sobie niczego gorszego.

Parę dni później poleciliśmy wszyscy do Seattle na przesłuchanie w sprawie o przyznanie opieki nad Alekssem. Cała rodzina Crossów udała się znów na zachód, tym razem jednak nie na wakacje.

Rankiem następnego dnia po przylocie Jannie, Damon i Nana usiedli za mną na ławie w sądzie. Przestaliśmy rozmawiać, czekając w napięciu na rozpoczęcie przesłuchania, lecz świadomość, iż mam ich przy sobie, miała dla mnie większe znaczenie, niż przypuszczałem.

Po raz dziesiąty wygładziłem leżące przede mną dokumenty. Udawałem, że jestem spokojny, ale w rzeczywistości byłem kłębkim nerwów.

Obaj z Benem Abajianem siedzieliśmy po lewej stronie sali przy stole dla pozwanych. Sala – o ścianach wyłożonych drewnianą okleiną w kolorze miodu i standardowym współczesnym umeblowaniu – choć bezosobowa, była na swój



**sposób przytulna. Nie miała okien, lecz to niczego nie psuło, bo Seattle objawiło tego dnia swoje mroczne, deszczowe oblicze. Nie wiem, czego oczekiwałem od Christine, kiedy weszła do sali – może jakiegoś znaku, że jest to dla niej równie ciężkie**

przeżycie jak dla mnie. Ale nie sprawiała wrażenia osoby, którą by coś gnębiło. Emanował z niej spokój. Miała włosy zebrane we francuski warkocz, a granatowy kostium i szara jedwabna bluzka z wysokim kołnierzykiem nadawały jej bardzo konserwatywny wygląd – i zarazem bardzo majestatyczny.

Jakby była jeszcze jednym prawnikiem w sali.

Nasze oczy na moment się spotkały. Kiwnęła głową, nie pokazując po sobie żadnych emocji. Na moment przypomniał mi się wzrok, jakim patrzyła na mnie u Kinkeada, w naszej ulubionej restauracji w Waszyngtonie, gdy siedzieliśmy naprzeciw siebie przy kolacji. Aż trudno było uwierzyć, iż oczy, które spojrzały na mnie teraz w sali sądowej, należą do tej samej osoby.

Rzuciła krótkie pozdrowienie Jannie, Damonowi i Nanie.

Dzieci zachowały się z uprzejmą rezerwą, co mi się bardzo podobało. Tylko Nana była odrobinę nieprzyjazna. Śledziła każdy krok Christine, idącej do stolika powodów.

–Rozczarowałaś mnie – mamrotała pod nosem. – Kim ty jesteś, Christine? Powinnaś być mądrzejsza. Powinnaś wiedzieć, że nie wolno unieszczęśliwiać dziecka.

W tym momencie Christine odwróciła się i spojrzała na nią.

Na jej twarzy malował się lęk, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widziałem.

Czego się bała?

Rozdział 33

Pani Billingsley usiadła z lewej strony Christine, a Ben po mojej prawej, uniemożliwiając nam kontakt wzrokowy. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż nie miałem w tej chwili ochoty na nią patrzeć. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuł równie wielką wściekłość – zwłaszcza na kogoś, kto niegdyś był mi bliski.

Do czego zmierzasz, Christine? Jaka właściwie jesteś?

Rozpoczęło się przesłuchanie. Annę Billingsley wstała, by odczytać starannie przygotowany wniosek powództwa. Szumiało mi w głowie, myślami byłem gdzie indziej i dopiero zdanie „urodzony w niewoli” przywróciło mnie do rzeczywistości. Billingsley mówiła o okolicznościach, w jakich urodził się mały Alex. Christine podczas wspólnych wakacji na Jamajce została uprowadzona, co stało się początkiem końca naszego związku.

W miarę jak Billingsley rozwijała temat, zacząłem dostrzegać jej „zmijowatość” – którą już wcześniej zauważył Ben. Pomarszczona twarz i krótko przycięte siwe włosy sprawiały, że

**wywierała wrażenie na słuchaczach. Kluczowe słowa swojego przemówienia wypowiadała z naciskiem, zachowując przez cały czas perfekcyjną dykcję.**

**–Wysoki Sądzie, będziemy tu mówili o licznych niebezpieczeństwach, na jakie narażony był syn pani Johnson i ona**

sama w czasie krótkiego, burzliwego związku z panem Crossem, którego życie upływa w kręgu najstraszliwszych zbrodni i który w ciągu ostatnich lat wyraźnie udowodnił, że nie potrafi dbać o swoich bliskich.

I tak to szło – jedno agresywne stwierdzenie po drugim.

Rzuciłem krótkie spojrzenie na Christine, patrzyła jednak prosto przed siebie. Czy rzeczywiście zgadzała się ze słowami Annę Billingsley? Co chciała osiągnąć? Z wyrazu jej twarzy nie mogłem niczego wyczytać.

Kiedy pani adwokat skończyła się pastwić nad moją osobą, przestała chodzić tam i z powrotem i usiadła na swoim miejscu. Ben podczas swojego wstępnego przemówienia nie odstepił ode mnie ani o krok.

–Wysoki Sądzie, nie zajmę wiele czasu na tym etapie.

Wysoki Sąd zapoznał się ze sprawą i zna główne czynniki.

Wynika z nich, iż ziarna dzisiejszego spotkania zostały zasiane w dniu, w którym pani Johnson opuściła swego nowo narodzonego syna. Wysoki Sąd wie również, iż doktor Cross otaczał małego Aleksa miłością i przez półtora roku zapewniał swojemu synowi opiekę, jakiej mogłoby mu pozazdrościć każde dziecko. Wiadomo również, iż najsilniejsze są więzi powstające między mieszkającym pod jednym dachem rodzeństwem, a właśnie w takim domu żył mały Alex w Waszyngtonie, w otoczeniu jedynej rodziny, jaką znał do ubiegłego roku.

Wiemy wszyscy, iż najważniejszymi przesłankami przy określaniu, co dla dziecka będzie najlepsze w przypadku separacji rodziców, jest ich pozycja społeczna i szansa zapewnienia dziecku sukcesu w dalszym życiu. Ośmielę się twierdzić, ufając, że wszyscy się ze mną zgodzą, iż dom z ojcem, babcią, bratem, siostrą oraz licznymi kuzynami i ciociami zapewnia dziecku lepsze warunki rozwoju niż wychowanie przez samą matkę, mieszkającą cztery i pół tysiąca kilometrów od własnej nielicznej rodziny, matkę, która już dwa razy zmieniała zdanie na temat swojego zaangażowania w wychowanie dziecka, o które toczy się spór. Nie mówię tego w zamiarze oczernienia pani

Johnson. Potrafi być dobrą i godną szacunku matką, kiedy chce. Mówię to po to, by uwypuklić wywodzący się ze zdrowego rozsądku wniosek, iż synowi mojego klienta – jak i każdemu innemu dziecku – lepiej będzie się powodziło u tego z rodziców, którego zaangażowanie w opiekę nad nim nigdy się nie zmieniało i nie grozi zmianami w przyszłości.

Podczas wstępnych spotkań z Benem uzgodniliśmy, iż będzie się starał ostrożnie dobierać słowa. Wiedziałem, co powie, ale na tej sali, w obecności Christine, jego przemowa zabrzmiała agresywnie, podobnie jak to, co wcześniej powiedziała o mnie Annę Billingsley.

Czułem się odrobinę winny. Niezależnie od tego, jakim błotem zamierzała mnie obrzucić w dalszej części rozprawy adwokatka Christine, czułem się odpowiedzialny za swoje własne poczynania, a nawet za poczynania mojego adwokata. To była moja norma moralna, rezultat wychowania Nany. Jedno nie uległo zmianie: moja determinacja, by zabrać syna z powrotem do Waszyngtonu. Ale przysłuchując się mowie Bena Abajiana, doszedłem do wniosku, że po tej rozprawie nie będzie triumfatora. Co najwyżej jedna ze stron może okazać się mniej przegrana.

Prosiłem Boga, by przegranym nie był mały Alex.

#### Rozdział 34

–Pani Johnson, czy zechce nam pani powiedzieć własnymi słowami, dlaczego pani się tu dziś znalazła?

Zastanawiałem się, czy ktokolwiek zauważył, jak bardzo Christine jest zdenerwowana. Zajmując miejsce dla świadka, splotła palce obu dłoni, mimo to widać było, iż drżały. Kiedy na nią patrzyłem, czułem ból. Było mi przykro widzieć ją w takim stanie, nawet w sytuacji, do której sama doprowadziła. Ale na pytania Annę Billingsley odpowiadała pewnym głosem i wydawała się całkowicie spokojna.

–Doszłam do wniosku, iż czas zapewnić mojemu synowi stałe miejsce pobytu i ciągłość życia domowego. Chcę mu dać stabilizację, której potrzebuje. Przede wszystkim jednak chcę, żeby był bezpieczny.

Billingsley siedziała nieruchomo na krześle. Jej twarz wyrażała ogromną pewność siebie – prawdziwą lub może udawaną.

–Zechce pani opowiedzieć nam o przyczynach, które doprowadziły do rozpadu związku z panem Crossem?

Christine opuściła głowę i przez moment milczała. Nie chciało mi się wierzyć, że mogła grać. To właśnie jej szczerłość

**była jednym z powodów, dla których się w niej zakochałem.**

**–Wkrótce po zajściu w ciążę zostałam uprowadzona i trzymana przez dziesięć miesięcy jako zakładniczka – powiedziała,**

podnosząc z powrotem głowę. – Ludziom, którzy mnie porwali, chodziło o Aleksa. Kiedy ten koszmar się skończył, doszłam do wniosku, że nie potrafią dalej być z moim mężem. Chciałam tego, lecz po prostu nie byłam w stanie.

–Pytam dla protokołu: czy mówiąc o Aleksie, ma pani na myśli pana Crossa?

A więc już nie agenta ani doktora Crossa, tylko pana Crossa. Christine, zamrugawszy oczami, odpowiedziała:

–Tak, Wysoki Sądzie.

–Dziękuję, Christine. Cofnijmy się teraz nieco w przeszłość. Pani syn urodził się na Jamajce, gdy pani była zakładniczką, prawda?

–Tak.

–Czy urodził się w szpitalu albo pod okiem lekarza?

–Nie. To się odbyło w szałasie, w dżungli. Przyprowadzili jakąś kobietą, ale ona nic mówiła po angielsku albo nic chciała ze mną rozmawiać. Nie miałam żadnej opieki przedporodowej. Dzięki Bogu Alex urodził się zdrowy. Potem byliśmy przetrzymywani w więziennej celi.

Annę Billingslcy podniosła się i przemierzywszy salę, wręczyła Christine chusteczkę.

–Pani Johnson, czy to uprowadzenie było pierwszym przypadkiem przemocy, z jakim się pani zetknęła podczas związku z panem Crossem?

–Sprzeciw! – Ben zerwał się na nogi.

–Ujmę to inaczej, Wysoki Sądzie. – Pani Billingslcy z zatroskanym wyrazem twarzy spojrzała na Christine. – Czy przed urodzeniem syna dotknęły panią kiedykolwiek przypadki przemocy, związane z pracą pana Crossa?

–Kilkakrotnie – odparła bez wahania Christine. – Pierwszy raz wkrótce po naszym poznaniu się. Mój ówczesny mąż został zastrzelony przez mężczyznę, którego Alex ścigał w związku z innym morderstwem. Wiem, że później, kiedy Alex junior mieszkał z ojcem w Waszyngtonie, przynajmniej raz został wywieziony z domu w środku nocy ze względu na

bezpieczeństwo. Zabrano wtedy wszystkie dzieci Crossa, gdyż seryjny morderca chciał go zabić.

Billingsley czekała, stojąc przy stole powodów. Kiedy Christine skończyła, wyjęła z koperty plik fotografii.

–Wysoki Sądzie, wnoszę o dołączenie tych zdjęć do materiału dowodowego. Przedstawiają one dom pana Crossa podczas

jednej z owych nagłych nocnych ewakuacji. Widać na nich wyraźnie, jak syn mojej klientki jest wynoszony przez osobę niebędącą członkiem rodziny.

Miałem ochotę wykrzyknąć mój sprzeciw wobec tego, co nazwała „materiałem dowodowym”. Osobą wynoszącą wówczas Aleksa był mój przyjaciel John Sampson, a nie jakiś bezimienny funkcjonariusz policji. Christine wynajęła prywatnego detektywa, który czekał przed domem, by zrobić to zdjęcie. Nikomu nic nie groziło, gdyż byliśmy przewidujący i działaliśmy szybko. Ale zdjęcia ukazywały nagie fakty.

Od tej chwili zaczęło być coraz gorzej.

Annę Billingsley przeprowadziła Christine przez serię pytań związanych z moją pracą, tak przemyślnie skonstruowanych, iż zawierając w sobie niemal gotowe odpowiedzi, stwarzały kompletnie nieprawdziwy obraz sytuacji. Spektakl zakończyła nasza wyprawa do Disneylandu, przedstawionego przez adwokatkę jako pole minowe dla małego Aleksa, którego „porzuciłem”, by uganiać się po południowej Kalifornii za psychopata, mogącym w tym czasie zagrozić mojej rodzinie.

## Rozdział 35

W końcu przyszła kolej na mnie.

Przesłuchanie mnie przez Bena na miejscu dla świadka było ze względu na wysokość stawki najcięższą próbą, jaką przeszedłem w życiu. Poinstruował mnie, żebym nie zwracał się wprost do sędziny, choć było to trudne, gdyż miałem świadomość, iż w jej rękach spoczywa los mojego syna.

Sędzina June Mayfield. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat i miała trwałą ondulację z salonu kosmetycznego, która bardziej pasowałaby do Ameryki Środkowej lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku niż do Seattle w pierwszych latach nowego tysiąclecia. Nawet jej nazwisko wydało mi się staroświeckie. Siedząc na krześle dla świadka, zastanawiałem, czy ma dzieci, czy była rozwiedziona i czy doświadczyła na własnej skórze podobnych kolei losu co my.

–Nie jestem tu po to, by wygłaszać o kimkolwiek negatywne opinie – zacząłem z namysłem, kiedy Ben mnie zapytał, czy mam jakieś zastrzeżenia do Christine jako matki. – Będę mówił wyłącznie o tym, co jest najlepsze dla Aleksa. Nic innego się nie liczy.

Skinął głową z aprobatą i wydał wargi, co znaczyło, iż odpowiedziałem, jak należało, A może zrobił to dla sędziny?

–Naturalnie – powiedział. – W takim razie może zechce



pan łaskawie wytłumaczyć Wysokiemu Sądowi, jak doszło do tego, że Alex junior mieszkał z panem przez pierwsze półtora roku swojego życia?

Siedząc na miejscu dla świadka, miałem bezpośrednią łączność wzrokową z Christine. Pomyślałem sobie, że to dobrze. Nie chciałem mówić o niczym, czego nie mógłbym jej powiedzieć prosto w oczy.

Wyjaśniłem, że po tym, co się zdarzyło na Jamajce, Christine nie czuła się na siłach pozostać ze mną ani wychowywać dziecka. Nie musiałem niczego retuszować. Postanowiła odejść i kropka. Powiedziała mi sama, że „nie czuje się na siłach” wychowywać Aleksa. Użyła dokładnie takiego sformułowania. Nigdy nie zapomnę tych słów.

–Ile czasu upłynęło od chwili, gdy pani Johnson porzuciła...

–Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Adwokat podpowiada świadkowi sformułowania.

–Odrzucony – orzekła sędzina Mayfield.

Pomyślałem sobie, że mimo odrzucenia sprzeciwu nie powinienem się zbyt wiele spodziewać, ale przyjemnie było to usłyszeć.

Ben podjął przerwany temat:

–Ile czasu upłynęło od chwili, gdy pani Johnson porzuciła dziecko, do jej odwiedzin u niego?

Nie musiałem się zastanawiać.

–Siedem miesięcy.

–Przez siedem miesięcy nie chciała oglądać syna? Co pan o tym sądzi?

–Zaskoczyło mnie, że w ogóle się odezwała. W ciągu tego czasu przyzwyczaiłem się do myśli, że już nigdy nie wróci.

Mały Alex również. – Była to prawda, lecz trudno mi było o tym mówić w obecności obcych osób. – Całą naszą rodzinę zaskoczyło zarówno jej odejście, jak i nagły powrót.

–A kiedy znów się odezwała?

–Gdy oświadczyła, iż chce, by mały Alex zamieszkał z nią w Seattle. Wynajęła wtedy adwokata w Waszyngtonie.

–Ile czasu upłynęło między tymi dwoma wydarzeniami?

–Następne sześć miesięcy.

–Aż tyle? A więc porzuca syna, odwiedza go dopiero siedem miesięcy później, znów go opuszcza, a potem wraca, oświadczając, że chce go wychowywać. Czy tak to się odbyło? Westchnąłem.

**–Mniej więcej tak.**

**–Doktorze Cross, proszę nam szczerze powiedzieć, dlaczego pan chce, by mu przyznano prawo opieki nad synem. Nad tą odpowiedzią również nie musiałem się zastanawiać.**

**–Ponieważ go bardzo kocham. Chcę, by dorastał wraz ze swoim bratem i siostrą... i z babcią, która mnie samego wychowywała od czasu, gdy miałem dziesięć lat. Myślę, że Jannie i Damon są moim najlepszym świadectwem. Udowodniłem, iż mimo wszelkich moich niedoskonałości potrafiłem wychować wspaniałe i szczęśliwe dzieci.**

**Spojrzałem na Jannie, Damona i Nanę. Uśmiechnęli się do mnie, ale po chwili Jannie zaczęła płakać. Musiałem znów skierować wzrok na Bena, bo nie byłem pewny, czy sam nic pójdę w jej ślady.**

**Zauważyłem, iż nawet sędzina Mayfield miała wzruszoną minę, gdy spojrzała na dzieci.**

**–Kocham moje dzieci bardziej niż cokolwiek na świecie – powiedziałem. – Bez małego Aleksa nasza rodzina jest niekompletna. On jest częścią nas. Wszyscy bardzo go kochamy i nie zostawilibyśmy go nie tylko na sześć miesięcy, ale nawet na sześć minut.**

**Kątem oka zauważyłem, że Nana kiwa potakująco głową. Wyglądała na osobę o wiele bardziej doświadczoną niż sędzina Mayfield, zwłaszcza w kwestiach wychowywania dzieci.**

**–Mów dalej, Alex – szepnął Ben. – Dobrze ci idzie.**

**–Gdyby to ode mnie zależało, Christine nigdy nie wyjechałaby z Waszyngtonu. Ali zasługuje na to, by mieć przy sobie nas oboje. Skoro jednak okazało się to niemożliwe, powinien mieć wokół siebie jak najwięcej członków rodziny.**

Nie twierdzą, że w Seattle będzie mu źle, ale jesteśmy tu po to, by się zastanowić, co byłoby dla niego najlepsze. I jak powiedziałem, choć nie wiem, ile to warte, kocham go z całego serca. Jest moim najlepszym kumplem. – Po tych słowach głos mi się załamał, choć wcale nie zamierzałem w ten sposób zrobić wrażenia na sędzinie.

Przesłuchanie trwało przez całe popołudnie i rano następnego dnia i było chwilami bardzo nieprzyjemne. Po końcowych wystąpieniach obu adwokatów wyszliśmy na korytarz, by poczekać na orzeczenie sędziny Mayfield.

–Byłeś wspaniały, tato. – Jannie chwyciła mnie za łokieć i przytuliła głowę do mojego ramienia. – Jesteś wspaniały. Czuję, że Alex wróci do nas.

Objąłem ją drugą ręką.

–Przepraszam, że was tu ściągnąłem. Ale cieszę się, że jesteście ze mną.

W tym momencie podszedł do nas urzędnik sądowy, żeby wezwać wszystkich na salę. Z jego obojętnej miny nie można było niczego wywnioskować.

Wchodząc do sali, Ben powiedział cicho:

–To będzie tylko formalność. Prawdopodobnie sędzina musi się jeszcze nad tym zastanowić, a wynik poznamy za dwa do sześciu tygodni. Zgłoszę wniosek, by na ten okres sąd uchylił decyzję o przyznaniu Christine wyłącznego prawa do opieki nad dzieckiem. Jestem pewien, że sędzina się na to zgodzi. *Doskonale się spisałeś, Alex. Możesz się teraz odprężyć.* Wszystko będzie dobrze.

## Rozdział 36

Gdy tylko znaleźliśmy się z powrotem w sali, weszła sędzina. Usiadła na krześle, poprawiła spódnicę, po czym nie tracąc czasu, przeszła do rzeczy.

–Po przeanalizowaniu zeznań i zapoznaniu się z materiałami dowodowymi podjęłam decyzję. Wystarczy mi to, co usłyszałam.

Mój adwokat zerknął na mnie z ukosa. Nie wiedziałem, co to spojrzenie miało znaczyć.

–Ben? – szepnąłem pytająco.

–Sąd orzeka na korzyść powódki – oświadczyła sędzina Mayfield. – Prawo do opieki nad dzieckiem przyznaję pani Johnson, której adwokata zobowiązuję do ustalenia uzgodnionego przez obie strony terminarza odwiedzin. Zanim spotkamy się z powrotem w tej sali, zalecam obecność arbitra przy

**wszelkich rozmowach związanych z ustalaniem terminarza. Zdjęła okulary i przetarła oczy, jakby zrujnowanie mi życia bardzo ją wyczerpało. Potem podjęła przerwany wątek:  
–Postanawiam, iż doktor Cross ma prawo widywania syna przynajmniej przez czterdzieści pięć dni w roku. Ze względu na znaczne odległości między obydwoimi domami musicie się państwo dobrze zastanowić, jak najlepiej rozwiązać problem tych spotkań. To wszystko.**

Po tych słowach wstała i opuściła salę.

Ben położył mi dłoń na ramieniu.

–Alex, zupełnie nie wiem, co powiedzieć... Jestem zaszokowany. Od pięciu lat nie spotkałem się z przypadkiem natychmiastowego orzeczenia. Tak mi przykro.

Słowa Bena z trudem do mnie docierały. Ledwie zdawałem sobie sprawę z obecności otaczającej mnie rodziny. Patrzyłem na Christine i Annę Billingsley, które przechodziły obok nas, zmierzając ku wyjściu.

–Co się z tobą stało?! – wybuchnąłem. Nagle zawiodły mnie wszystkie mechanizmy samokontroli, widocznie w ostatnich dniach zbyt często ich używałem. – Czy o to ci chodziło? Żeby mnie ukarać? Ukarać moją rodzinę? Dlaczego to zrobiłaś, Christine?

Stojąca obok mnie Nana dodała:

–Jesteś okrutna i samolubna. Żal mi ciebie.

Christine odwróciła się od nas i przyspieszyła kroku, nie odpowiadając ani słowem. Dochodząc do drzwi, zgarbiła się nagle i uniosła dłoń do ust. Wydawało mi się, że się rozplakała, lecz nie byłem tego pewny. Pani Billingsley wzięła ją pod ramię i wyprowadziła na korytarz.

Nie mogłem tego zrozumieć. Zwyciężyła, a tymczasem zachowywała się, jakby przegrała. Czy tak właśnie się poczuła? Czy dlatego płakała? Co się działo w jej głowie?

Otępiały wyszedłem na korytarz. Nana trzymała mnie za rękę z jednej strony, Jannie z drugiej. Christine już odeszła, ale czekał na mnie ktoś, kogo nie chciałem widzieć.

James Truscott i jego fotografka, którzy ni stąd, ni zowąd znaleźli się w gmachu sądu w Seattle. Czego tu szukali – tak daleko od Waszyngtonu? Co ten dziennikarzyna zamierzał napisać?

–Ciężki miał pan dzień, doktorze Cross! – wykrzyknął. –

Ma pan ochotę skomentować wyrok?

Minąłem go, idąc z rodziną, lecz fotografka zdążyła nam zrobić kilka zdjęć, łącznie z indywidualnymi ujęciami Damona i Jannie.

Zawróciłem i stanąłem naprzeciw niego.

–Nie publikuj zdjęć mojej rodziny – warknąłem.

–Bo co? – spytał wyzywająco, opierając ręce na biodrach.

–Bo sobie tego nie życzę. Nie zamieścisz w swoim magazynie żadnego zdjęcia mojej rodziny.

Wyrwałem z rąk kobiety aparat i odszedłem, zabierając go

ze sobą.

## Rozdział 37

Tego samego dnia po południu Opowiadacz jechał na północ autostradą 405 do San Diego. Wszystkie samochody poruszały się z umiarkowaną prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, co nie wymagało skupionej uwagi. Układał w myśli swoją „listę znienawidzonych” – osób, które chciałby zabić w najbliższej przyszłości, a przynajmniej do momentu, gdy będzie musiał zakończyć swoją działalność z uwagi na możliwość wpadki.

Skończyć! Równie nagle jak zaczął. Koniec. Ani kroku dalej. Zapisał to w małym notesiku, który zawsze trzymał w kieszeni przednich drzwi. Trudno było pisać w trakcie jazdy, więc samochód nieco zboczył ze swojego pasa.

Nagle ktoś z jego prawej strony włączył klakson i trąbił nieprzerwanie przez kilka sekund.

Opowiadacz zobaczył czarny kabriolet lexus, a w nim kolorowego kretyna, pokazującego mu środkowy palec i wrzeszczącego: „Pierdolę cię, dupku, pierdolę, pierdolę!”.

Nie mógł się opanować – kiedy ujrzał czerwoną ze złości twarz faceta, wybuchnął śmiechem.

Facet nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Gdyby wiedział, kogo zaczepia! To było zabawne. Opowiadacz pochylił się ku prawemu oknu, żeby tamten lepiej widział jego rozbawienie.

–Myślisz, że to śmieszne, gnojku?! Myślisz, że to śmieszne?! – wrzeszczał kretyn.

Opowiadacz śmiał się dalej, ignorując zirytowanego debila, którego istnienie nie było nawet szczytną kłopotą. Debil jednak istniał i powoli zaczynał wyprowadzać go z równowagi. Było to z jego strony bardzo nierozważne.

Opowiadacz schował się za lexusem, jakby chciał dać jego kierowcy do zrozumienia, iż został skarcony i okazał skruchę. Na drugim zjeździe czarny lexus opuścił autostradę. Opowiadacz skręcił za nim.

Tego nie było w scenariuszu. Musiał improwizować.

Kabriolet ruszył w stronę Hollywood Hills, skręcił w boczną drogę, po czym znów zaczął wspinać się w górę po stromym wzniesieniu.

Opowiadacz zastanawiał się, czy tamten go zauważył. By się upewnić, włączył klakson i nie przestawał trąbić przez kilkadziesiąt metrów. Doszedł do wniosku, że kierowca lexusa powinien już być mocno przestraszony. Sam na jego miejscu byłby przestraszony, gdyby wiedział, kogo zdenerwował na autostradzie. Przyspieszywszy, zrównał się z kabrioletem. Nadchodził najcudowniejszy moment. Wszystkie okna w samochodzie były otwarte, wiatr przewiewał na wskroś kabinę.

Kierowca lexusa spojrzał na niego. Nie przeklinał już ani nic robił obscenicznych gestów. 1 kto teraz okazywał skruchę? Kto okazywał szacunek?

Prawa ręka Opowiadacza powędrowała w górę. Wycelował, wystrzelił cztery pociski w twarz mężczyzny siedzącego w czarnym kabrioletcie, a potem patrzył, jak samochód zbacza z drogi, wpada na ścianę skalną, odbija się od niej, z powrotem wraca na drogę i ponownie uderza w skały.

Koniec epizodu – denerwujący sukinsyn już nie żył. Zasłużył na to. Sam był sobie winien. Szkoda, że to wcześniej czy później musi się urwać. Ale tak było w planie. Pomysł całej akcji zakładał właśnie takie zakończenie.

## Rozdział 38

Detektyw Jeanne Galletta wcisnęła do deski pedał gazu swojego dwuletniego thunderbirda. Czasem jeździła nim z taką prędkością, lecz nigdy ulicami Los Angeles. Syrena na dachu samochodu wyła, witryny sklepów na Van Nuys zlały się w zamazane wstęgi.

Przed kafejką internetową stały dwa czarno-białe wozy patrolowe, po przeciwnej stronie ulicy zaczął się już zbierać tłum

gapiów. Była pewna, że wkrótce zjawią się helikoptery telewizyjne i fotoreporterzy redakcji wiadomości.

–Jaka jest sytuacja? – spytała pierwszego napotkanego funkcjonariusza, który bez szczególnego entuzjazmu starał się zapanować nad tłumem.

–Pod kontrolą – odparł. – Podeszliśmy po cichu od frontu i od tyłu. Kilku naszych chłopaków siedzi na dachu. W środku są ze dwa tuziny klientów i personel. Jeśli ta kobieta była tam jeszcze w momencie, kiedy przybyliśmy, nie mogła się potem wymknąć.

Znow, jeśli" – pomyślała Galletta. W każdym razie to już było coś. Możliwe, że Mary Smith nadal jest wewnątrz. Oznaczałoby to koniec koszmaru. Boże, proszę, żeby tam jeszcze była...

–W porządku. Dwa dodatkowe zespoły do środka, jak



tylko przyjadą, dwa do nadzorowania tłumu. Pilnujcie frontu, tyłu i dachu.

–To nie są moi ludzie...

–Nie interesuje mnie, czyi to są ludzie. Wykonaj rozkaz.-

Zatrzymała się i spojrzała policjantowi w oczy. – Czy wyraziłam się jasno? Wiesz, co masz robić?

–Tak, oczywiście.

Galletta weszła do środka. Wnętrze kafejki miało kształt dużego prostokąta z barem kawowym z przodu i rzędem komputerów wzdłuż tylnej ściany. Każdy z nich znajdował się w małym boksie, odgrodzonym od pozostałych bocznymi ściankami, sięgającymi do ramion.

Wszyscy klienci siedzieli teraz na krzesłach i kanapkach przy kilku stolikach, pilnowani przez policjanta. Galletta szybko przyjrzała się ich twarzom.

Studenci, japiszony, starsi obywatele i kilku obszarpańców w hipisowskim stylu. Jeden z funkcjonariuszy zameldował jej, że wszyscy zostali zrewidowani, lecz u żadnego nie znaleziono broni. To jednak niczego nie przesądzało. Ponieważ nie mieli rysopisu poszukiwanej osoby, podejrzanymi byli wszyscy. Kierownikiem lokalu był nerwowy facet w rogowych okularach, który wyglądał na zbyt młodego, żeby pić alkohol, o twarzy pokrytej najgorszym rodzajem trądziku, jaki Jeanne Galletta widziała od szkolnych czasów. Na przypiętej do jego piersi miniaturowej płycie kompaktowej widniało nazwisko Brett, wykaligrafowane fosforyzującym czerwonym tuszem. Zaprowadził Gallettę do jednego z boksów na tyłach sali.

–Znaleźliśmy to tutaj – powiedział.

–Czy tędy da się wyjść? – spytała, wskazując na wąski korytarzyk po lewej stronie.

Skinął głową i dodał:

–Policja już tam jest. Zablokowali to wyjście.

–Czy zapisujecie, kto korzysta z komputerów?

Wskazał palcem na czytnik kart kredytowych.

–Każdy, kto to robił, musiał się nim posłużyć. Nic wiem,

jak wydobyć z niego informację, ale postaram się tego dowiedzieć.

–Sami się tym zajmijmy – odparła Galletta. – Dla ciebie mam inne zadanie. Postaraj się, żeby wszystkim było jak najprzyjemniej. Szczerze mówiąc, cała ta zabawa może trochę potrwać. Ale jeśli ktoś będzie chciał się czegoś napić, niech to

**będzie kawa bezkofeinowa.**

**Mrugnęła do niego i zmusiła się do uśmiechu, co biedaka odrobinę uspokoiło.**

**–Poproś policjanta Hatfielda, żeby tu przyszedł. – Poznała kiedyś Bobby'ego Hatfielda i zapamiętała jego nazwisko, bo brzmiało tak samo jak nazwisko jednego z członków Righteous Brothers.**

**Usiadła przed komputerem i naciągnęła lateksowe rękawiczki.**

**–Czego zdążyliście się dowiedzieć? – spytała Hatfielda, kiedy do niej przyszedł.**

**–Wiadomość zaadresowano do tego samego faceta z „Timesa”, Arnolda Grinera. Możliwe, że ktoś dowiedział się o poprzednich e-mailach i podszył się, sądzą jednak, że to ona. Słyszałaś o Carmen D'Abruzzi?**

**–Tej od kuchni? Naturalnie. Czasem ją oglądam, choć sama nie gotuję.**

**Restauracja D'Abruzzi była modnym hollywoodzkim lokalem – miejscem spotkań towarzyskich, gdzie się jadało wykwintne kolacje. Oprócz tego Carmen d'Abruzzi prowadziła bardzo popularny program telewizyjny, w którym gotowała dla swojego pięknego męża i dwojga idealnych dzieci. Wszystko w tym programie było jak na gust Galletty zbyt wzorowe, mimo to od czasu do czasu go oglądała.**

**Pokręciła głową.**

**–Psiakrew. D'Abruzzi jest w typie kobiet, które wybiera zabójca. Czy już ją znaleźliście?**

**–Będziesz zaskoczona – rzekł Hatfield. – Nic jej się nie przydarzyło. Jest może trochę przestraszona, ale poza tym czuje**

się dobrze. Jej rodzina również. Wysłaliśmy wóz patrolowy, żeby pilnował jej domu. Zwróć uwagę, że ktokolwiek napisał ten e-mail, wcale go nie wysłał, nawet go nie dokończył.

Galletta gwałtownie poderwała głowę.

–Co takiego?! Ona go w ogóle nie wysłała?

–Może coś ją przestraszyło... albo nie mogła się skupić i po prostu wyszła. Może nie smakuje jej tutejsza kawa. Nie mam pojęcia.

Galletta wstała i powtórnie rozejrzała się po twarzach zatrzymanych.

–A może wciąż jeszcze tu jest?

–Naprawdę tak myślisz?

–Nie, psiakrew. Nie jest głupia. Mimo to chcę porozmawiać z każdym z tych palantów. Knajpa jest zamknięta aż do odwołania. Zrób wstępną selekcję, ale nikt stąd nie może wyjść, dopóki go osobiście nie przesłucham, rozumiesz? Absolutnie nikt, pod żadnym pozorem. Nawet gdyby miał zaświadczenie od mamusi.

–Tak jest, oczywiście – odparł Hatfield. – Rozumiem.

Kiedy odchodził, usłyszała, jak mruknął do siebie coś w rodzaju: „Uspokój się”. To było typowe. Policjanci mężczyźni reagowali na rozkazy od mężczyzn zupełnie inaczej niż na wydawane im przez kobiety. Wzruszyła ramionami i skupiła się na niedokończonym e-mailu na monitorze komputera.

Dlaczego nie został dokończony? O co tu chodzi?

Rozdział 39

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Do: Carmen D'Abruzzi

Wyszłaś wczoraj ze swojej restauracji o trzeciej nad ranem, prawda? Pracowita, pracowita dziewczyna! Potem poszłaś sama przez dwie długie przecznice do swojego samochodu. Tak ci się przynajmniej zdawało, prawda? Że byłaś sama.

Było jednak inaczej, Carmen. Szłam za tobą po chodniku. Nawet nie musiałam być ostrożna.

Ułatwiłaś mi to. To nie było roztropne. Byłaś zajęta wyłącznie sobą. Ja, ja i tylko ja.

Może nie oglądasz wiadomości. Może cię nie interesują. Może nie obchodzi cię, co się wokół dzieje ani to, że jest ktoś, kto poluje na takich ludzi jak ty. Zachowujesz się, jakbyś sama chciała,

**żebym cię zabiła. To dobrze, bo właśnie zamierzam to zrobić.**

**Obserwuję cię, próbuję się w ciebie wczuć.**

**Zastanawiam się, czy kiedykolwiek powiedziałaś swoim ukochanym dzieciom, że kiedy przechodzi się przez ulicę, należy rozejrzeć się w obie strony.**

Nie dałaś wczoraj dobrego przykładu Anthony'emu i Martinie. Ani razu się nie rozejrzałaś.

A to bardzo źle wróży wam wszystkim – całej waszej cholernej wzorowej rodzinie z twojego programu o gotowaniu.

Nie wyobrażasz sobie, że twoje dzieci mogą znaleźć się któregoś dnia na krawężniku bez ciebie, prawda? Otóż będą musiały wziąć tę ważną lekcję bezpieczeństwa od kogoś innego.

Kiedy otrzymałaś

#### Rozdział 40

List urywał się właśnie tak – w połowie zdania.

Gdyby nawet było inaczej i tak komplikował sprawę. Carmen D'Abruzzi nie została zabita, a oni mieli kolejny kłopot – bo nie wiadomo było, czy to wkrótce nie nastąpi. Należało się z tym liczyć.

Jeanne Galletta zamknęła oczy, próbując się zastanowić, co znaleziony w kafejce internetowej list mógł oznaczać. Czyżby Mary Smith pisała swoje e-maile wcześniej, a wysyłała je dopiero po dokonaniu zbrodni?

Ale dlaczego go tu zostawiła? Czyżby zrobiła to celowo?

Czy to ona go napisała? Całkiem możliwe, że nie.

Pytania się mnożyły, ale brakowało na nie odpowiedzi. Gdyby udało się znaleźć choć jedną...

Przyszedł jej na myśl Alex Cross i fragment z jego książki: „Zadawaj pytania tak długo, aż znajdziesz kluczowe – takie, które trafi w sedno sprawy. Potem rozwijaj to pytanie – dopiero wówczas zaczniesz znajdować odpowiedzi”.

Kluczowe pytanie! Jak ono brzmiało?

W ciągu sześciu następnych godzin nie udało jej się na nie wpaść. Wkrótce po zmierzchu zwolniła ostatniego porannego klienta kafejki. Pięciu świadków dało pięć różnych opisów

osoby, która siedziała przy komputerze z niedokończonym e-mailem; pozostali w ogóle jej nie zauważyli.

Żaden z ludzi, z którymi rozmawiała, nie wydał jej się bardziej podejrzany od reszty, jednak wszyscy, w sumie dwudziestu sześciu, wymagali sprawdzenia. Wiązała się z tym przerażająca ilość papierkowej roboty.

Jak się należało spodziewać, karta kredytowa Mary Smith była kradziona. Należała do Debbie Green, osiemdziesięciolet-

niej kobiety z Sherman Oaks, która nawet nie wiedziała, że jej już nie ma. Nic więcej nie zostało tą kartą zapłacone, nie było żadnych innych śladów. Jak na wariatkę, Mary Smith była bardzo ostrożna i dobrze zorganizowana.

Galletta poprosiła kierownika kafejki o mocną kawę z ekspresu. Potem pojedzie do biura i przejrzy zgromadzone tego dnia materiały. Sąsiad przyrzekł zaopiekować się jej psem. W chińskiej knajpce po drodze do biura przed dwudziestoma minutami był napad. Życie jest piękne, prawda? Nie! Zastanawiała się, czy wróci przed północą do domu, a jeśli wróci, czy uda jej się zasnąć.

Prawdopodobnie nie.

Jak brzmiało kluczowe pytanie, które należało zadać?

Czy Cross nie jest za bardzo pewny siebie?

Rozdział 41

–Ona nigdy nie wiedziała, czego chce. I chyba dalej nie wie. Lubilem Christine, ale po tym, co się zdarzyło na Jamajce, stała się całkiem inna. Musi pójść swoją drogą a ty swoją. Sampson i ja zaszyliśmy się u Zinny<sup>^</sup>ego, w naszej ulubionej knajpce w sąsiedztwie. Z szafy grającej płynęły dźwięki *IDone Got Wise* B. B. Kinga. Tego wieczoru nie mogłem słuchać niczego prócz bluesa.

Ponury wygląd wnętrza rekompensował z nawiązką barman Raphael, który nas znał i doskonale wiedział, czego nam trzeba. Patrząc na stojącą przede mną szklankę szkockiej, zastanawiałem się, czy to moja trzecia, czy czwarta. Czułem się zmęczony. Przypomniałem sobie kwestię z jednego filmu z Indianą Jonesem: „To nie wina wieku, skarbie, tylko przebytej drogi”.

–Tu nie chodzi o Christine, John. – Spojrzałem z ukosa na Sampsona. – Chodzi o małego Aleksa.

–Twój problem tkwi tutaj – poklepał mnie po czole. –

W twojej głowie, przyjacielu. Posłuchaj, co ci teraz powiem. Począł, aż przybiorę skupiony wyraz twarzy, po czym powoli podniósł wzrok na sufit. Zamknął oczy i skrzywił się.

–Cholera, zapomniałem, co zamierzałem ci powiedzieć.

Fatalnie. Chciałem poprawić ci samopoczucie.

Mimo woli uśmiechnąłem się. Sampson zawsze wiedział,

jak rozładować moje napięcie. Tak było zawsze, odkąd mieliśmy po dziesięć lat i przyjaźniliśmy się, dorastając razem w Waszyngtonie.

–W takim razie pocieszmy się inaczej. – Skinął na Raphaela, żeby nam nalał następne dwie szklanki.

–W miłości nie ma żadnej gwarancji – mruknąłem pod nosem, właściwie sam do siebie. – Nigdy nie wiadomo, co się stanie.

–Racja – zgodził się ze mną Sampson. – Gdybyś mi powiedział, że będę miał kiedyś dziecko, roześmiałbym ci się w twarz, a tymczasem jestem teraz ojcem trzymiesięcznego szczyła. To szaleństwo. Ale przecież wszystko może się jeszcze zmienić, ot tak. – Pstryknął palcami, co zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. Sampson miał największe dłonie, jakie kiedykolwiek widziałem. Sam mam prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów i choć jestem wysportowany, nie należę do szczupłych mężczyzn, ale przy nim wyglądam jak mikrus. – Nie ma dwóch zdań, że Billie i ja zgadzamy się ze sobą – mówił dalej w charakterystyczny dla siebie, rozwlekły sposób. – Co wcale nie znaczy, że kiedyś wszystko nie weźmie w łeb. Za dziesięć lat może będzie wyrzucała moje rzeczy przez okno. Nigdy nie wiadomo. Chociaż nie... moja dziewczyna nigdy mi tego nie zrobi. Billie nie jest taka – stwierdził, po czym obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Przez parę minut nie rozmawialiśmy, sącząc whisky. Nastrój robił się coraz bardziej ponury.

–Kiedy znów zobaczysz małego Aleksa? – spytał w końcu. – Ali. Podoba mi się to imię.

–W przyszłym tygodniu. Gdy polecę do Seattle, żeby ustalić terminy odwiedzin.

Nienawidziłem tego słowa. Odwiedziny. Czy tylko na tyle będę miał swojego syna? Za każdym razem, kiedy wypowiadałem głośno to słowo, miałem ochotę rozbić coś pięścią. Wszystko jedno co: lampę, okno, szklankę...

–Psiakrew, jak ja mam to wytrzymać? – spytałem Samp-

sona. – Jak mam stanąć twarzą w twarz z Christine... z Alekssem... i zachowywać się, jakby nic się nie stało? Kiedy go widzę, serce mi pęka. Gdybym nawet udawał, że wszystko jest w porządku, dzieci nie dadzą się oszukać.

–Będzie mu dobrze – uspokajał mnie Sampson. – W żadnym wypadku nie wolno ci zmarnować życia Jannie i Damono-

wi, Alex. Spójrz na nas. Czy uważasz, że źle cię wychowano?

Czy sądzisz, że mnie źle wychowano?

Uśmiechnąłem się do niego.

–Nie znasz lepszych przykładów?

Sampson puścił to mimo uszu.

–Żaden z nas nie miał wielkich szans, ale mimo to wyrosliśmy na ludzi. O ile wiem, nie szprycujesz się, nie przepadasz bez śladu i nie bijesz dzieci. A ja skończyłem jako drugi najlepszy gliniarz w waszyngtońskiej policji. – Uderzył się w czoło. – Chwileczkę, od kiedy ty stałeś się zaoranym federalnym biurokratą, ja jestem pierwszy.

Ogarnęła mnie nagle przemożna tęsknota za małym Alekssem i jednocześnie uczucie wdzięczności dla Johna za jego przyjaźń.

–Dzięki, że się ze mną spotkałeś – powiedziałem.

Objął mnie ramieniem i przygarnął do siebie.

–Czy mam kogoś innego?

Rozdział 42

Ocknąłem się gwałtownie, widząc nad sobą zakłopotaną twarz stewardesy. Przypomniałem sobie, że to już następny dzień, a ja jestem na pokładzie samolotu lecącego do Los Angeles. Pytający wyraz twarzy dziewczyny wskazywał, że czeka na moją reakcję.

–Słucham? – wymamrotałem.

–Zechce pan złożyć stoliczek i podnieść pionowo oparcie?

Za chwilę lądujemy.

Przed zaśnięciem myślałem o Jamesie Truscocie i o tym, jak nagle wkroczył w moje życie. Przypadek? Mało prawdopodobne. Zadzwoiłem więc do zaprzyjaźnionej archiwistki, znajomej jeszcze z Quantico, z prośbą o bardziej szczegółowe informacje na temat Truscotta. Monnie Donnelley obiecała mi, że wkrótce będę o nim wiedział więcej, niż potrzebuję.

Schowałem moje dokumenty. Zostawianie ich na wierzchu, tak jak to teraz zrobiłem, było niezbyt roztropne i nigdy mi się nie zdarzało – podobnie jak spanie w samolocie. Miałem wrażenie, że cały mój świat jest wywrócony do góry nogami. Przynajmniej do pewnego stopnia.

W ciągu paru ostatnich dni moja teczka dotycząca Mary Smith znacznie pogrubiała. Zastanawiał mnie ten ostatni fałszywy alarm. Nie byłem nawet przekonany, czy kryła się za nim Mary Smith.



Przeglądając sprawozdania z morderstw, stworzyłem sobie obraz osoby o wciąż rosnącej pewności siebie, coraz zuchwalszej i coraz ciaśniej osaczającej swoje ofiary. Pierwsze morderstwo, Patrice Bennett, zostało popełnione w publicznym miejscu. Drugie, Antonii Schifman, przed jej domem. W trzecim przypadku Mary Smith – zanim zabiła Marti Lowenstein-Bell w basenie – spędziła część nocy w jej domu.

Tak czy inaczej znów znalazłem się w Los Angeles. Wysiadłem z samolotu i wynająłem samochód, choć mogłem poprosić agenta Page'a, żeby po mnie przyjechał.

Budynek oddziału biura w Los Angeles mógł zawstydić stołeczną centralę. Zamiast klaustrofobicznego labiryntu korytarzy, do którego byłem przyzwyczajony na wschodzie, dziewięć pięter miało otwarte, rozległe pomieszczenia, a szklane zewnętrzne ściany wpuszczały do środka rzekę naturalnego światła. Z pokoju na piętnastym piętrze, które mi oddano do wyłącznej dyspozycji, miałem wspaniałą widok na Muzeum Getty'ego i panoramę miasta. W większości biur terenowych mógłbym uważać się za szczęściarza, gdybym dostał krzesło i osobne biurko.

Dziesięć minut po moim przybyciu zaczął koło mnie krążyć agent Page. Wiedziałem, że jest bystry i ambitny i że po zdobyciu doświadczenia będzie wartościowym pracownikiem, ale akurat teraz nie bardzo chciałem, żeby ktoś mi zaglądał przez ramię. Wystarczył dyrektor Burns, nie mówiąc już o Jamesie Truscocie. Czy ten pismak zamierzał być moim Boswellem? A może grał inną rolę?

Page spytał, czy mi czegoś nie potrzeba. W odpowiedzi pokazałem mu teczkę.

–Nie uaktualniano jej przynajmniej od dwudziestu czterech godzin. Chcę wiedzieć o wszystkim, o czym wie detektyw Galletta z departamentu policji. Chcę wiedzieć więcej niż ona. Czy mógłbyś...

–Już się robi – odparł i po chwili zniknął.

Zadanie, które mu dałem do wykonania, wcale nie było

lipne. Rzeczywiście chciałem być na bieżąco, a dodatkową korzyścią było to, iż przy okazji mogłem się go na jakiś czas pozbyć.

Wziąłem czystą kartkę i napisałem na niej kilka pytań, które przyszły mi do głowy w drodze z lotniska.

*M. Lowenstein-Bell - jakim sposobem ktoś obcy mógł się*

**dostać do domu?**

**Czy morderca ma listę wybrańców, których zamierza zaatakować? Czy zabija w ustalonej kolejności? Czy istniały inne powiązania między ofiarami prócz tych, które znamy? Czy w ogóle musiały istnieć takie powiązania?**

Podstawowym aksjomatem mojej profesji jest: „jak” plus „dlaczego” równa się „kto”. Jeśli chciałem się dowiedzieć, kim jest Mary Smith, powinienem zastanowić się nad różnymi kombinacjami podobieństw i rozbieżności wszystkich okoliczności towarzyszących tym zabójstwom. A to wymagało między innymi złożenia przeze mnie wizyty w rezydencji Lowenstein-Bell.

**Dopisałem na kartce: *Nadawca e-maili?/Sprawca?***

Wracałem ciągle do tego samego punktu. W jakim stopniu osoba pisząca e-maile przejawiała cechy mordercy? Na ile uczciwe – z braku lepszego słowa – były listy Mary Smith? Jaka część z nich – jeśli w ogóle – była celową zmyłką? Wiedziałem, że dopóki nie znajdę odpowiedzi na te pytania, muszę postępować, jakbym ścigał dwóch podejrzanych. Przy odrobinie *szczęścia moje pierwsze zaplanowane na ten dzień spotkanie* powinno rzucić nieco światła na zagadkę e-maili. ***Narzędzia zbrodni?*** - zanotowałem na kartce następne pytanie.

Większość morderców piętnujących swoje ofiary używa dwóch rodzajów narzędzi. Mary Smith również.

Podstawą było narzędzie zadające śmierć. W przypadku Mary Smith był nim pistolet. Wiedzieliśmy, że do wszystkich morderstw użyła tego samego. Co do noża, nie byliśmy tego tacy pewni.

Należało też zwrócić uwagę na samochód. Każdy inny sposób dostania się na miejsce i odwrotu wydawał się mało prawdopodobny.

Do tego dochodziły „narzędzia”, które zaspokajały jakieś wynaturzone potrzeby emocjonalne zabójczym. Dziecięce nalepki z literami A i B oraz e-maile. Jedne i drugie były dla niej ważniejsze niż broń. Stanowiły jej osobisty komunikat: „Byłam tutaj” lub „To ja”. Albo – co mogło nastęrczyć nam większych kłopotów – „Taką chcę wam się wydawać”.

W każdym razie był w tym pewien rodzaj szyderczej prowokacji – coś, co można było rozumieć jako: „Zyg-zyg – spróbujcie mnie złapać”.

Tę ostatnią myśl również zapisałem.

Następnie zapisałem coś, co od dawna leżało mi na żołądku: *James Truscott. Pojawił się przed sześcioma tygodniami. Kim jest ten człowiek i jaką gra w tym wszystkim rolę?*

Spojrzałem na zegarek. Jeśli nie chciałem się spóźnić na moje pierwsze spotkanie, powinienem już wyjść. Korzystanie ze służbowego samochodu równało się dodatkowej osobie patrzącej mi przez ramię. Nie życzyłem sobie tego, więc wynająłem wóz na lotnisku.

Wyszedłem, nie mówiąc nikomu, dokąd jadę. Skoro znów zamieniłem się w detektywa kryminalnego, zamierzałem działać stosownie do mojej roli.

#### Rozdział 43

Czekała mnie prawdziwa robota policyjna, do której zabrałem się z nową energią i zapalem, mimo iż czułem się wypompowany. Miałem się spotkać z profesorem Deborah Papadakis, która zaprosiła mnie do swojego wypełnionego książkami gabinetu na Uniwersytecie Kalifornijskim. Gabinet mieścił się w budynku imienia Johna Rolfe'a i miał na drzwiach numer 22. Kiedy wszedłem, pani profesor zdjęła z jedyne gościnne krzesła stos manuskryptów i położyła go na podłodze.

–Widzę, że ma pani bardzo dużo pracy. Dziękuję, że mimo to zgodziła się pani na spotkanie – powiedziałem.

–Będzie mi miło, jeśli zdołam w czymś pomóc. – Poprosiła mnie, żebym usiadł. – Nie spotkałam się z podobnym zainteresowaniem naszym językiem i literaturą chyba od... sama nie wiem, możliwe, że od czasów Rodneya Kinga. To smutne.

Westchnęła, ale zaraz potrząsnęła głową i dodała szybko:

–Chociaż to niezupełnie to samo, prawda? W każdym razie wydaje mi się dosyć niezwykle. Zajmuję się kaczej krót-

**kimi opowiadaniami i esejami autobiograficznymi. Nie czytuję ani prawdziwych historii kryminalnych, ani polycieści tego rodzaju. Owszem, sięgam czasem po Waltera Mosleya, ale on jest socjologiem.**

**–Może będzie pani mogła coś powiedzieć na temat tych**

tekstów. – Wręczyłem jej kopie e-maili od Mary Smith. – Jeszcze raz przypomnę, że konieczne jest zachowanie całkowitej dyskrecji. – Musiałem to powiedzieć, by chronić własną skórę, nie miałem oficjalnej zgody na udostępnianie komukolwiek treści tych e-maili.

Profesor Papadakis naląła mi kubek kawy ze starego ekspresu. Czekałem, popijając ją, podczas gdy ona czytała e-maile. Kiedy skończyła, przeczytała je jeszcze raz.

Jej gabinet był uroczą dziuplą. Wychodził na dziedziniec i ogród pełen rzeźb, gdzie studenci czytali, pisali lub po prostu rozkoszowali się wspaniałą południowokalifornijską pogodą. Inne gabinety miały okna od strony ulicy. Pani Papadakis, laureatka nagrody O. Henry'ego, za swoim staroświeckim sosnowym biurkiem sprawiała wrażenie osoby, która ma pewną misję do spełnienia. Podczas czytania, prócz okazjonalnych „hmm”, w ogóle się nie odzywała. W końcu podniosła głowę i spojrzała na mnie. Spostrzegłem, że pobladła.

–A więc – zaczęła, biorąc głęboki oddech – ponieważ pierwsze wrażenia bywają najcelniejsze, rozpocznę od nich. Wzięła do ręki czerwony ołówek, a ja obszedłem biurko i stanąłem za nią, żeby móc patrzeć nad jej ramieniem na tekst.

–Proszę spojrzeć na to... i na to. Frazy: „to ja cię zabiłam” i „obserwowałam cię, kiedy jadłaś wczoraj wieczorem kolację”. Przyciągają uwagę, a przynajmniej taką mają spełniać rolę.

–Czy pozwalają na wyciągnięcie jakichś wniosków? – Miałem na temat listów Mary Smith własne zdanie, chciałem jednak poznać jej opinię.

Zakołysała głową z boku na bok.

–Są bardzo sugestywne, lecz chyba mniej spontaniczne. Widać w tym warsztat. Autorka starannie dobiera słowa. Z pewnością nie jest to strumień świadomości.

–Czy zauważyła pani coś jeszcze w tych tekstach? Pani spostrzeżenia mogą być bardzo pomocne.

–Widzę w nich próbę... odcięcia się, że tak to określe, od własnej brutalności.

Spojrzała na mnie z wahaniem, jakby obawiała się, że się z nią nie zgodzę. Nie przypuszczałem, że może być tak niepewna siebie. Sprawiała wrażenie osoby autorytatywnej.

–Może z wyjątkiem fragmentów, kiedy mówi o dzieciach – dodała.

–Proszę mówić dalej, pani profesor – zachęciłem ją. –

To ważne. Co pani zauważyła?

–Fragmenty, w których ta kobieta opisuje, co zrobiła, są bardzo deklaratywne. Proste zdania, wyraźnie od siebie oddzielone. Może to być świadomy wybór stylu, lecz równie dobrze może przemawiać za jakimś podświadomym unikiem. Spotykam się z tym u pisarzy, którzy boją się swojego własnego tekstu. Gdyby ta osoba była moją studentką, poradziłabym jej pociągnąć niektóre wątki, pozwolić im się rozwinąć. – Wzruszyła ramionami. – Nie jestem oczywiście psychiatrą.

–Za to jest pani wspaniałym filologiem – powiedziałem. – Jestem pod wrażeniem, pani profesor. Wiele mi pani wyjaśniła. Deborah Papadakis zbyła ten komplement machnięciem ręki.

–Czy jeszcze w czymś mogłabym pomóc? To naprawdę fascynujące. Wstyd mi to mówić, ale chyba powoduje mną chorobliwa ciekawość.

Obserwowałem jej twarz. Milczała przez chwilę, lecz po namyśle zdecydowała się nie kontynuować tego tematu.

–O czym pani pomyślała? – spytałem. – Śmiało, proszę się nie obawiać. Nic ma złych odpowiedzi.

Odłożyła czerwony ołówek na biurko.

–Problem polega na tym, iż nie wiemy, czy mamy do czynienia z rzeczywistą osobą, czy z charakteryzacją. Innymi słowy, czy odcięcie, które tu dostrzegam, ma swoje źródło w podświadomości autora, czy też jest zamierzoną konstrukcją stylistyczną. Nie można wykluczyć żadnej z tych możliwości. Nie wiemy, jaka jest prawda.

To samo pytanie sam sobie wielokrotnie zadawałem. Pani profesor nie odpowiedziała na nie, ale utwierdziła mnie w przekonaniu, że jest słuszne.

–Mam nadzieję, że moja ocena nie skieruje śledztwa na fałszywy tor – dodała po chwili. – Mogę się mylić, a nie chciałabym wprowadzić pana w błąd. To zbyt poważna sprawa.

–Proszę się nie martwić – odparłem. – Pani opinia jest jednym z wielu czynników, które weźmiemy pod uwagę. Tak czy inaczej ta zagadka jest niezwykle złożona pod każdym względem: psychologicznym i literackim.

–Musi pan żałować, iż przejechał taki kawał drogi po taki malutki okruszek informacji. Ja na pańskim miejscu bym żałowała.

–Tego rodzaju wywiady są najprzyjemniejszą częścią naszej pracy – zapewniłem ją zgodnie z prawdą.

Następne spotkanie nie miało już być takie miłe.

#### Rozdział 44

Przed bramą posiadłości Lowenstein-Bell w Bel Air zatrzymał mnie uzbrojony ochroniarz. Dwaj kolejni w cywilnych ubraniach po raz drugi sprawdzili moją tożsamość na początku alejki dojazdowej. W końcu pozwolono mi podejść wijącą się alejką pod dom, położony niedaleko hotelu Bel Air, w którym raz byłem i który uznałem za jedno z najbardziej zacisznych i uroczych miejsc, jakie widziałem w życiu.

Gdy zadzwoniłem, drzwi otworzył mi sam Michael Bell.

Ściany domu w przeważającej części wykonano ze szkła, toteż zobaczyłem go znacznie wcześniej. Powolny chód i powłóczenie nogami wiele mówiły o jego stanie psychicznym.

Kiedy ma się do czynienia z członkami rodziny dotkniętej morderstwem, często trzeba dokonywać ekwilibrystycznych wyczynów. Czas, w którym zdobycie informacji jest najpilniej potrzebne, jest jednocześnie czasem, w którym pogrążeni w żalu ludzie nie bardzo chcą mówić o tym, co się stało. Nigdy nie udało mi się znaleźć odpowiedniego sposobu ich przesłuchiwania.

W dżinsach, sandałach, wypłowiałej koszuli w szkocką kratę,

z gęstą blond brodą – pan Bell zupełnie nie wyglądał na mieszkańca Beverly Hills. Już prędzej mogłem go sobie wyobrazić jako drwala albo byłego członka Nirvany czy Pearl Jam.

Wiedziałem z akt, iż oboje z żoną wybudowali swój dom zaledwie przed paru laty.

Jego apatyczny głos i pasywne zachowanie świadczyły

o świeżej żałobie, mimo to zaprosił mnie uprzejmie, bym wszedł do domu.

–Napije się pan czegoś? – zapytał. – Mamy mrożoną herbatę. Co pan na to, agencie Cross?

–Dziękuję, ale nie – odparłem.

Obok stała kobieta w średnim wieku – służąca lub opiekunka dzieci – czekając na moją decyzję. Domyśliłem się, że to Lupę San Remo, która znalazła ciało w basenie.

–*Nada, Lupę, gracias* - powiedział do niej pan Bell. – *Quisieramos cenar a las siete, porfavor.*

Poszedłem za nim przez otwarty krużganek, gdzie na jednym z ogromnych foteli siedziały trzy małe blondyneczki: Cassie, Anna i Zoey, pięcio-, siedmio- i ośmiolatka – tyle wiedziałem z akt. Na wielkim ekranie telewizora plazmowego widniała zatrzymana scena z filmu *Odkrycia kapitana Nemo*.

Czułem się źle w tym domu, wiedziałem, że jestem intruzem. Zastanawiałem się, czy Mary Smith rzeczywiście współczuła dzieciom swoich ofiar. A jeśli tak – to dlaczego? Jakie motywy kierowały tą szaloną kobietą? Czemu zabiła matkę tych dziewczynek?

–Moje drogie, idę teraz na parę minut do salonu. Oglądajcie dalej beze mnie. – Michael Bell przycisnął guzik pilota i gdy akcja filmu potoczyła się dalej, zwiększył głośność. Poznałem głos Ellen DeGeneres, gdyż oglądałem *Kapitana Nemo* dziesiątki razy z Jannie, która uwielbiała Dony.

–Możemy porozmawiać tutaj – oświadczył gospodarz, kiedy weszliśmy do łukowato sklepionego salonu. Trzy przeszklone ściany ukazywały zachwycający widok wybrzeża, a bliżej basen, w którym znaleziono zwłoki Marti, żony gospodarza.



Michael Bell usiadł na pokrytej kremowym aksamitem sofie, lyłem do basenu.

–Przedtem uwielbiałem ten widok – powiedział cicho. – Marti też.

–Może wolałby pan porozmawiać gdzieś indziej? – spytałem ze zrozumieniem.

–Proszę się o mnie nie martwić – odparł. – Staram się żyć normalnie. Ze względu na dziewczynki. A także ze względu na samego siebie. Nie musimy się przenosić. Chce mnie pan o coś zapytać?

–Wiem, że został pan już przesłuchany przez policję Los Angeles. Wiem też, że jest pan poza wszelkimi podejrzeniami, więc postaram się, żeby moja wizyta trwała jak najkrócej.

–Doceniam pański takt. Nieważne, ile czasu to zajmie... proszę pytać. Chciałbym przyczynić się do schwytania osoby, która zamordowała moją żonę. Potrzebna mi świadomość, że coś robię, że pomagam.

Usiadłem na sofie naprzeciw niego. Dzielił nas wielki blok wypolerowanego marmuru.

–Może zacznę od prostych pytań. Czy według pana żona miała jakichś wrogów? Czy przyszedł panu ktoś taki do głowy, gdy to się stało?

Pogłaskał się po brodzie i przetarł oczy.

–Sam się nad tym zastanawiałem, proszę mi wierzyć. Ale Marti była jedną z najpopularniejszych i najbardziej lubianych osób w mieście. Może pan to sprawdzić. Wszyscy ją uwielbiali, co tu się raczej rzadko zdarza.

Przerwał, jego twarz wykrzywił grymas bólu. Sprawiał wrażenie, jakby był bliski załamania. „Wszyscy ją uwielbiali”.

Czas przeszły.

Ramiona mu opadły. Znowu przetarł oczy zaciśniętą pięścią.

–Przepraszam. Próbuję sobie wmówić, że to już zamknięta sprawa, ale okazuje się, że nie.

–Czas leczy rany.

Chciałem mu powiedzieć coś więcej. Chciałem mu powiedzieć, iż wiem, jak to jest, kiedy się traci żonę w taki sposób. Jakiś czas temu byłem w takiej samej sytuacji. Wiedziałem, iż jeśli jego odczucia przypominały moje, nie było na świecie osoby, która mogłaby go pocieszyć. Tym bardziej obcy, na domiar złego policjant. Cokolwiek pocieszającego mógłbym mu teraz powie-

dzieć, byłoby to podszyte moją osobistą stratą, nie powiedziałem mu więc o Marii ani o tym, w jaki sposób została zamordowana.

–Tato?

Na progu ukazała się Zoey, jego najstarsza córka. Stojąc pod wysokim łukiem przejścia pomiędzy salonem a korytarzem, wydawała się mała i samotna. Sprawiała wrażenie przestraszonej.

–Tak, skarbie? – powiedział Michael Bell. – Już dobrze.

Chodź do mnie na sekundę. – Otworzył ramiona, a ona ruszyła ku niemu, obchodząc z daleka sofę, na której siedziałem.

Wpadła w jego objęcia i oboje zaczęli płakać. – Już dobrze –

powtórzył Bell, głaszcząc małą po główce. – Kocham cię, córka. Jesteś wspaniałą dziewczynką.

–Ja też cię kocham, tato – wyszeptała Zoey.

–Odłożmy naszą rozmowę na kiedy indziej – zaproponowałem.

–Pańskie zeznanie jest w aktach. W gruncie rzeczy nic więcej mi nie potrzeba.

Przytuliwszy główką córki do swojej twarzy, spojrzał na mnie z wdzięcznością. Dziewczynka przylgnęła do niego. Widząc łączącą ich więź, pomyślałem o Jannie.

–Proszę mnie powiadomić, gdybym mógł w czymkolwiek pomóc – rzekł. – Zależy mi na tym.

–Pozwoli pan, że obejdę dom dokoła? To mi się może przydać.

–Oczywiście.

Kiedy wychodziłem, zatrzymałem się jeszcze na progu i powiedziałem coś, co samo cisnęło mi się na usta:

–Myślę, że postępuje pan właściwie. Dzieci pomogą panu przetrwać. Niech pan się ich trzyma.

–Tak właśnie robię. One są wszystkim, co mi zostało.

Dziękuję. Jest pan bardzo taktowny.

Po tych słowach rozstaliśmy się. Byłem prawie pewien, iż wiedział, że moja rada nie jest radą gliniarza, ale męża i ojca. Poczulem nagłą niechęć do przebywania w tym domu dłużej, niż to było konieczne.

#### Rozdział 45

Gdybym zamierzał poznać wszystkie szczegóły, musiałbym spędzić w domu Lowenstein-Bell kilka godzin. Nie chciałem jednak zakłócać spokoju tej rodziny, postanowiłem więc skrócić oględziny miejsca zbrodni. Może piętnaście, dwadzieścia minut mi wystarczy.

Zacząłem od wspaniałego basenu. Stałem przy jego głębszym końcu, patrząc na wymalowane na dnie niebieskie linie. Według oceny biegłych Mary Smith zastrzeliła Marti Lowenstein-Bell właśnie z tego miejsca, trafiając pojedynczą kulą w sklepienie czaszki, a potem przyciągnęła jej ciało do brzegu siatkowym podbierakiem na długim kiju.

Stała dokładnie w tym miejscu co ja teraz, masakrując nożem twarz zastrzelonej kobiety bez wyjmowania jej ciała z wody. Ruchy noża musiały być szybkie i bezładne, bo rany układały się w tuziny krzyżujących się cięć. Jakby zamierzała unicestwić Marti Lowenstein-Bell.

Są ludzie, którzy wierzą, że przez przekreślenie krzyżykiem czyjejs twarzy na fotografii można się uwolnić od tej osoby. Mary Smith zniszczyła w ten sposób kilka fotografii rodzinnych w gabinecie na piętrze.

Spojrzałem na okna, za którymi według szkicu układu pomieszczeń, zawartego w aktach, powinien znajdować się gabinet pani domu.

Najkrótsza droga od basenu do gabinetu prowadziła przez salon, a potem schodami z piaskowca do głównego korytarza. Mary Smith weszła do domu w dniu poprzedzającym morderstwo. Jak to możliwe? O której godzinie? A przede wszystkim dlaczego? Co nią kierowało?

Kiedy znów przechodziłem przez dom, Michael Bell siedział ze swoimi córeczkami przed telewizorem. Wszyscy czworo apatycznie oglądali film. Nie zwrócili na mnie uwagi, kiedy ich mijalem, ja zaś nie miałem zamiaru im przeszkadzać. Przypomniało mi się, jak obejmowałem Jannic i Damona w Seattle po przegraniu sprawy o małego Aleksa.

**Korytarz na piętrze miał formę pomostu z drewna i szkła, opartego na podporach, i dzielił dom na dwie części. Ruszyłem przypuszczalną trasą Mary Smith schodami na górę, a potem korytarzem do odgradzonego skrzydła, w którym bez trudu odnalazłem gabinet.**

**Był to jedyny pokój, którego drzwi były zamknięte.**

**Wewnątrz na ścianie widniały rzucające się w oczy puste miejsca, gdzie pewnie musiały wisieć rodzinne fotografie.**

**Wszystkie inne rzeczy wydawały się nienaruszone.**

**Morderca robi się coraz śmielszy, podejmuje coraz większe ryzyko, pomyślałem. Najwyraźniej ma obsesję na punkcie rodziny. Jego ofiary mają określone cechy.**

**Moja uwaga przeniosła się na skórzane krzesło z wysokim oparciem, stojące przed dwudziestocdnocalowym pionowym monitorem. To było miejsce pracy ofiary i zapewne właśnie na tym krześle usiadła Mary Smith, aby wysłać e-mail do Arnolda Grinera z „LA Timesa”.**

**Z gabinetu widać było taras i położony pod nim basen. Pisząc e-mail, Mary Smith mogła patrzeć na pływające twarzą w dół zwłoki Marti. Czy czuła odrazę? Czy ją drażniły? A może czuła satysfakcję, siedząc na krześle Marti i patrząc na jej trupa?**

**Nagle mnie olśniło: zniszczenie fotografii w tym domu; ostami, niedokończony e-mail w kawiarni; to, co profesor Papadakis nazwała „odcięciem się”. Zaświtała mi myśl, która**

jeszcze rano nie przyszłaby mi do głowy: Mary Smith nienawidziła swoich ofiar.

Im bardziej wydłużała się seria morderstw, tym wyraźniejszy stawał się obraz z przeszłości, gnębiący zbrojczynię. Jakaś część jej osobowości, którą odrzucała, coraz wyraźniej dawała o sobie znać. Jej reakcją było przerzucenie winy na inną osobę. Mary Smith traci nad sobą kontrolę, stwierdziłem ze zgrozą. Zaraz jednak się poprawiłem: morderca traci nad sobą kontrolę.

#### Rozdział 46

W nocy leżałem na plecach na hotelowym łóżku, a w głowie miałem kłębowisko myśli, z których żadna nie była warta złamanego szeląga.

Mary Smith. Jej dewiacja. Jej niekonsekwencja. Motywy morderstw. Jak dotąd, brak jakichkolwiek sensownych tropów. Jamilla. Również zagadka. Nie zbliżyłem się nawet o krok do jej rozwiązania.

Moja rodzina w Waszyngtonie. Kiedy w końcu będę mógł się nią zająć?

Christine i Alex junior. Najsmutniejsze z tego wszystkiego. Uświadomiłem sobie, że ostatnio żadnej z moich osobistych spraw nie poświęciłem tyle uwagi, ile wymagała. Miałem wrażenie, że wszystko przychodzi mi z trudem. Pomogłem wielu ludziom wyjść z depresji, nie umiałem natomiast pomóc sam sobie, z czego wynikało, że nikt nie potrafi być dobrym lekarzem dla samego siebie.

Monnie Donneley zgodnie z obietnicą dostarczyła mi garść informacji na temat Jamesa Truscotta. Nie znalazłem w nich niczego zaskakującego. Ambitny, czasem bezwzględny, lecz poza tym był szanowanym członkiem środowiska dziennikarskiego. Nic nie świadczyło o tym, że mógłby mieć jakiś związek ze sprawą Mary Smith.

Spojrząwszy na zegarek, zakląłem pod nosem, po czym zatelefonowałem do domu. Miałem nadzieję, iż złapię Jannie i Damona, zanim pójda spać.

–Halo? Tu dom Crossów. Jannie Cross przy telefonie.

Uśmiechnąłem się do siebie.

–Czy to sklep z uściskami i pocałunkami? Chcę złożyć zamówienie.

–Cześć, tato. Wiedziałaś, że zadzwonisz.

–Czy jestem aż tak przewidywalny? Nie szkodzi. Pewnie

**szukujecie się już do łóżek. Poproś Damona, żeby podszedł do drugiego telefonu.**

**–Już jestem, tato. Domyśliłem się, że to ty. W pewnej mierze jesteś przewidywalny. Ale to dobrze.**

**Prędko nadrobiliśmy zaległości kontaktowe. Damon próbował mnie namówić, żebym mu kupił płytę CD z poradami dla rodziców, którą sprzedawano tylko dorosłym. Nie padło ani słowo na temat jego tajemniczej dziewczyny. Jannie przygotowywała się do swojego pierwszego konkursu z wiedzy ogólnej i chciała wiedzieć, czy mógłbym podłączyć jej przyjaciół do wykrywacza kłamstw.**

**–Oczywiście, ale najpierw podłączę ciebie i Damona – odparłem.**

**Potem powiedziała coś, co mnie zaniepokoiło.**

**–Znowu był tu ten Truscott. Nana go zwymyślała i przegoniła. Powiedziała, że jest „zakałą dziennikarstwa”.**

**Po skończeniu rozmowy z dziećmi porozmawiałem jeszcze chwilę z Naną, a potem zamówiłem w recepcji ranne budzenie. Na koniec zadzwoniłem do Jamilli w San Francisco. Uświadomiłem sobie, że odbywam rozmowy w pewnej określonej kolejności – zostawiając te najtrudniejsze na sam koniec. Poza tym musiałem wziąć pod uwagę różnicę czasu.**

**–Sprawa Mary Smith jest już znana w całym kraju – poinformowała mnie Jamilia. – Mówi się u nas, że policja Los Angeles nie robi żadnych postępów.**

–Porozmawiajmy o czymś innym, nie o pracy – poprosiłem. – Co u ciebie?

–Muszę lecieć, Alex. Umówiłam się z kimś... to tylko przyjaciel – dodała nieco zbyt szybko. – Nie martw się. – Zabrzmiało to jednak jak coś zupełnie przeciwnego: „Powinieneś się martwić”.

–Oczywiście. Leć.

–Zadzwoisz do mnie? – spytała. – Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść. Zadzwoń jutro, dobrze? Obiecałem, że zadzwonię, po czym odłożyłem słuchawkę. To tylko przyjaciel, pomyślałem. Została mi ostatnia rozmowa. Ta najtrudniejsza. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer, który znałem na pamięć.

–Halo?

–To ja, Alex.

Christine milczała. Kolejna niezrozumiała reakcja.

–Cześć – odpowiedziała w końcu.

–Mogę porozmawiać z małym Alekssem?

–Oczywiście. Zaczekaj chwilę, zaraz po niego pójde. Przed chwilą skończył kolację i teraz jest w swoim pokoju.

Usłyszałem jakieś szmery, a potem daleki głos Christine: „To tatuś”. Słowo to wzbudziło we mnie uczucie ciepła i jednocześnie żalu.

–Cześć, tato. – Ton radosnego podniecenia w głosie Aleksa sprawił, że znowu poczułem mieszaninę różnych doznań, lecz najbardziej dojmujące było uczucie tęsknoty. Widziałem jego małą uśmiechniętą twarzyczkę, oddaloną ode mnie o tysiące kilometrów.

–Hej, szkrabie. Co u ciebie słychać?

Jak każdy trzylatek, Alex nie był zbyt szybkim rozmówcą telefonicznym. Rozmowa nie mogła ciągnąć się w nieskończoność. Po jednej ze szczególnie długich przerw znów usłyszałem w tle głos Christine:

–Powiedz pa-pa.

–Pa-pa.

–Wkrótce się zobaczymy – obiecałem synkowi. – Kocham cię, kolego.

–Kocham cię, tato.

Usłyszałem nieprzyjazne kliknięcie – mały Alex odłożył słuchawkę. Znowu byłem w bezosobowym pokoju hotelowym, sam, ze sprawą Mary Smith na głowie, tęskniąc do ludzi, których

**tak bardzo kochałem. Ale co to mogło zmienić?**



## Część 3

### Żonglowanie

#### Rozdział 47

Mary Smith siedziała na ławce w parku, a jej ukochana mała Ashley bawiła się obok w ogródku jordanowskim. Bardzo dobrze! Kiedy mała się zmęczy, Mary będzie mogła odebrać Brendana i Adama z ich zajęć; na szczęście miała jeszcze dość czasu, żeby ochłonąć po kolejnym trudnym dniu.

Spojrzała na leżący na kolanach nowy notatnik, dumna z jego ładnej płóciennej okładki i drogiego, czerpanego papieru.

Pisanie dziennika było jedynym szaleństwem, na jakie sobie pozwalała. Starła się każdego dnia choć trochę napisać. Może kiedy dzieci dorosną, przeczytają go i dowiedzą się, że była czymś więcej niż tylko Kucharką, Służącą i Szoferem. Tymczasem nawet dziennik był tego dnia przeciw niej. Napisała bezmyślnie na pierwszej stronie: *pomidory, marchew, płatki, sok, pieluszki*. Precz z tym!

Ostrożnie wydarła stronę. Wiedziała, że to głupie, lecz dziennik był dla niej świętą księgą, a nie listą zakupów.

Nagle zorientowała się, że Ashley gdzieś zniknęła. Boże, gdzie ona się podziała? Przed sekundą jeszcze tu była, a teraz jej nie widać.

Czy rzeczywiście przed sekundą? Mary zmartwiała. Może to było dłużej?

–Ashley! Skarbie!

151

Przebiegła prędko wzrokiem mały, przepelniony ogródek jordanowski. Kilka jasnowłosych dziewczynek bujało się na huśtawkach, lecz Ashley wśród nich nie było. Cały ogródek otaczał żelazny płot. Jak daleko jej córeczka mogła odejść? Mary pobiegła do furtki.

–Przepraszam, czy ktoś nie widział małej dziewczynki?

Blondynka w dżinsach i czerwonej koszulce.

Nikt jej nie zauważył.

Boże, nie! Wszystko, byle nie to.

W tym momencie dostrzegła małą. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Ashley ukryła się za drzewem w rogu ogródka.

Mary uśmiechnęła się blado, zawstydzona, że tak prędko wpadła w panikę. Boże, co się ze mną dzieje?

Podbiegła do dziewczynki.

–Co tu robisz, kochanie?

–Bawię się w chowanego, mamo.

–Z kim, na miłość boską? – Starła się panować nad

głosem, bo ludzie zaczęli się jej przyglądać.

–Z tobą.

Mała uśmiechnęła się tak słodko, że serce Mary zmiękło jak wosk. Pochyliła się nad córeczką i szepnęła jej do uszka:

–Ashley, nie możesz tak uciekać. Jeśli ty mnie nie widzisz, ja nie widzę ciebie, rozumiesz?

–Rozumiem.

–No dobrze, spróbuj teraz poćwiczyć na drabinkach.

Usadowiła się na innej ławce, z dala od ciekawskich oczu.

Młoda kobieta, czytająca „LA Timesa”, uśmiechnęła się do niej.

–Dzień dobry.

–Pani nie jest z tych okolic, prawda? – spytała Mary, taksując ją szybkim spojrzeniem.

–Skąd pani to przyszło do głowy? – odparła kobieta lekko urażonym tonem.

–Obcy zawsze rozpozna obcego – stwierdziła Mary. –

Ja jestem z Vermontu.

Kobieta znowu się uśmiechnęła.

## 152

–A ja z Baltimore – powiedziała, przykładając rękę do piersi. – Słyszałam, że tu, w Kalifornii, wszyscy są bardzo uprzejmi. Zatrzymują samochody, żeby przepuścić człowieka przez ulicę. W Baltimore jest inaczej.

–To prawda.

–Ale za to nie zdarzają się tam takie rzeczy... – dodała młoda kobieta, wskazując na pierwszą stronę „Timesa”, na której widniał tytuł:

**ŚLEDZTWO W SPRAWIE MORDERSTW**

## W HOLLYWOOD TRWA

–Słyszała pani o tym? – spytała. – Na pewno tak.

–Trudno się na to nie natknąć.

–To mnie przygnębia. Wiem, że sama powinnam się bać, ale tak mi żal tamtych rodzin...

Mary pokiwała głową.

–Mnie też. Czy to nie potworne? Biedne, biedne dzieci, Chciałoby się usiąść i zapłakać.

Rozdział 48

Zgodnie ze statystykami, które przeglądałem przy moim biurku, osiemdziesiąt dziewięć procent kobiet – seryjnych morderców – zabiło swoje ofiary za pomocą trucizny, przez uduszenie lub śmiertelnym zastrzykiem. Mniej niż dziesięć procent wybrało broń palną, natomiast ani jedna nie użyła noża. Czyżby Mary Smith była wyjątkiem potwierdzającym regułę? Miałem wrażenie, że nie, ale byłem odosobniony w mojej opinii.

Patrzyłem na leżące przede mną na biurku wycinki i fotografie – elementy wielu innych puzzli.

Aileen Wuornos używała pistoletu. W latach 1989-1990 zabiła na Florydzie co najmniej siedmiu mężczyzn. Gdy ją aresztowano, została przez media ochrzczona pierwszą seryjną morderczynią w Ameryce. Była prawdopodobnie najbardziej znaną, z pewnością jednak nie była pierwszą. Według statystyk połowa z nich to morderczynie mężów – czarne wdowy – albo kobiety, które chciały się na kimś zemścić. Większość z nich była spokrewniona ze swoimi ofiarami.

Bobbie Sue Terrell, pielęgniarka, która wstrzyknęła dwunastu swoim pacjentom śmiertelną dawkę insuliny.

Dorothea Montawo Puentę otruła dziewięciu pensjonariuszy

domu opieki, by dobrać się do ich czeków ubezpieczenia społecznego.

Do pokoju wetknęła głowę Maureen, sekretarka biura terenowego.

–Przynieść panu coś do jedzenia z Burger Kinga?

Spojrzawszy w okno, zorientowałem się, że zapadł już zmierzch. Poczułem głód.

–Jeśli będą mieli sandwicze z grillowanym kurczakiem, to poproszę jeden. I sok pomarańczowy.

Roześmiała się.

–Może być tylko hamburger albo cheeseburger.

Odkąd moje życie osobiste legło w gruzach, starałem się nie jeść byle czego. Od dawna nie żywiłem się poza domem. Tylko tego brakowało, żeby wysiadł mi żołądek. Powiedziałem Maureen, że zjem coś później.

Po chwili zawisnął nad moim biurkiem agent Page.

–Jak ci idzie? – spytał. – Doszedłeś do czegoś?

Rozpostarłem ramiona, pokazując mu tym gestem ogrom zgromadzonych na biurku informacji.

–Ona do niczego nie pasuje – mruknąłem.

–To samo pewnie można byłoby powiedzieć o połowie seryjnych morderczyń w okresach ich aktywności – stwierdził Page.

Coraz bardziej mnie zdumiewał.

–A co słyhać u twoich przyjaciół w policji? Mają coś nowego?

–Owszem – odparł. – Eksperci od balistyki ustalili, jakiego pistoletu używała. Posłuchaj tylko, to prawdziwy zabytek: walther PPK. Za każdym razem ten sam. Jutro rano jest na ten temat odprawa. Jeśli nie chcesz na niej być, mogę cię zastąpić.

Była to zaskakująca wiadomość. Zdziwił mnie wiek broni.

–Wiedzą dokładnie, ile ten pistolet ma lat?

–Powiedzieli, że przynajmniej dwadzieścia. To utrudni śledztwo, prawda? Nie da się pójść tym tropem.

–Sądysz, że właśnie dlatego użyła takiej starej broni? Żeby trudniej było dojść, skąd pochodzi? – zapytałem.

Page natychmiast wymienił tuzin innych możliwości.

–Zgodzisz się chyba ze mną, że ona nie jest profesjonalistką, prawda? Może ma ten pistolet od dawna. Może zabija od dłuższego czasu. Może go znalazła. Może należał do jej ojca.

Byłem pełen podziwu dla mojego młodego kolegi. Jego bystry umysł błyskawicznie podsunął mu cały szereg trafnych przypuszczeń.

–Ile masz lat? – spytałem.

Spojrzał na mnie z ukosa.

–Nie sądzę, żeby to było istotne.

–Wyluzuj – powiedziałem. – To nie jest rozmowa kwalifikacyjna. Pytam ze zwykłej ciekawości. Jesteś bystrzejszy niż ci, którzy ostatnio opuszczają Quantico.

–Mam dwadzieścia sześć lat – poinformował mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

–Jesteś dobry, Page, chociaż wyglądasz, jakby interesowały cię tylko rozrywki.

Nie zmienił wyrazu twarzy.

–Mam też i swoje rozrywki. – Naśladując slang surferów, dodał: – Wiem, koleś, jakie masz o mnie zdanie, ale ponieważ nie udało mi się zdobyć stypendium na akademii surfingu, poświęciłem się bez reszty pracy tutaj.

Roześmiałem się.

–Trudno mi sobie wyobrazić, jak wskakujesz na deskę, Page.

–Postaraj się, koleś – odparł.

## Rozdział 49

Około piątej następnego dnia salka odpraw policji Los Angeles pękała w szwach. Stałem na przodzie, oparty o ścianę, i czekałem, aż detektyw Jeanne Galletta rozpocznie ten cyrk. Weszła energicznym krokiem w towarzystwie Freda van Allsburga z mojego biura, Alana Shrewsbury'ego, komendanta policji Los Angeles, oraz jeszcze jednego mężczyzny, którego nie znałem. Na tle tej grupy wyglądała jak księżniczka, w dodatku była jedyną osobą poniżej pięćdziesiątki.

–Jak się nazywa ten facet w niebieskim garniturze? – spytałem stojącego obok mnie oficera policji.

–Michael Corbin.

–Kto to taki?

–Zastępca burmistrza. Szpaner. Bezużyteczny jak sutki u byka.

Byłem zadowolony, że nie muszę występować na zebraniu, ale miałem się na baczności. Na konferencjach w sprawach morderstw znanych osób często bywali politycy. Miałem nadzieję, że tu, w Los Angeles, nie będą usiłowali grać większych ważniaków niż zwykle.

Galletta skinęła mi przyjaźnie głową, po czym oświadczyła:

**–Wszyscy już są, więc zacznijmy.**

**Sala natychmiast się uciszyła. Zastępca burmistrza uścisnął**

van Allsburgowi rękę i wyszedł bocznymi drzwiami. O co w tym wszystkim chodziło? Po co ten facet się tu zjawiał?

–Podsumujmy najpierw to, co mamy – powiedziała Galletta.

Dokonała szybkiego przeglądu wspólnych elementów wszystkich morderstw. Należał do nich walther PPK, dziecięce nalepki z literami A i B oraz okoliczność, iż ofiarami były „wzorowe matki” – fakt, który szczególnie podkreślała prasa. Jeden z tabloidów nazwał te zbrodnie „morderstwami żon Stepforda”. Galletta przypomniała nam, że dokładne brzmienie e-maili, które Mary wysłała do redakcji „LA Timesa”, opatrzone jest klauzulą tajności.

Padło kilka pytań.

Czy policja Los Angeles albo FBI podejrzewają istnienie związku pomiędzy morderstwami Mary Smith a innymi, które popełniono w okolicy? Nie.

Skąd wiadomo, że mordercą jest jedna osoba? Nie wiadomo tego na sto procent, lecz wszystko na to wskazuje.

Co pozwala przypuszczać, że zabójcą jest kobieta? Pod jedną z nalepek na krześle w kinie Westwood został znaleziony kobiecy włos, najprawdopodobniej należący do morderczyni.

–Poproszę teraz agenta Crossa, by w ogólnych zarysach przedstawił nam kierunek śledztwa FBI – oświadczyła Galletta. – Doktor Cross przybył do nas z Waszyngtonu, gdzie rozwiązał szereg spraw, między innymi zdemaskował również takich seryjnych morderców jak Gary Soneji i Kyle Craig...

Spoczęło na mnie około stu par oczu. Myślałem, że jestem tutaj w charakterze obserwatora, a tymczasem znalazłem się w centrum uwagi. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu marnować okazji, no i przede wszystkim czasu zebranych.

–Zacznę od tego, iż nie jestem do końca przekonany, że Mary Smith jest kobietą – powiedziałem.

Taka bomba powinna obudzić nawet tylne rzędy.

Rozdział 50

I rzeczywiście tak się stało.

–Nie twierdzą, że mordercą jest mężczyzna, lecz nie wykluczam tej ewentualności. Myślę, iż wy również nie powinniście. Tak czy inaczej – dodałem, podnosząc głos, by słyhać mnie było wśród lekkiego gwaru – jest parę rzeczy, które mogę o tej osobie powiedzieć. Dla wygody będę nadal używał rodzaju żeńskiego. Prawdopodobnie jest biała, w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat. Jeździ własnym samochodem,

lakim, który nie rzuca się w oczy. Jest wykształcona, ale raczej nic pracuje w swoim zawodzie. Może wykonuje jakąś pracę niewymagającą kwalifikacji.

Powiedziałem jeszcze trochę na ten temat, po czym zadano mi kilka pytań. Kiedy skończyłem na nie odpowiadać, Galletta poprosiła specjalistę od broni o przedstawienie ekspertyzy i na koniec sama zabrała głos.

–Jest jeszcze jedna rzecz – oświadczyła. – Kileen, usiądź, proszę. Dziękuję, Gerry. Nie skończyłam jeszcze. Powiem wam, kiedy to nastąpi. – Poczekała, aż wszyscy się uciszą, po czym podjęła: – Nie muszę wam mówić o skali rozgłosu medialnego, jaką ma ta sprawa. Chcę, żeby każdy z was myślał i działał tak, jakby przez cały czas śledziła go kamera, co jest bardzo prawdopodobne i równie groźne jak rak



w ostatnim stadium. Wszystkich obowiązuje standardowa procedura operacyjna.

Zauważyłem, iż w trakcie swojego przemówienia zerka na van Allsburga. Tematem ich spotkania za zamkniętymi drzwiami z zastępcą burmistrza była zapewne owa procedura. Przypomniałem sobie, że to rok wyborów, więc burmistrzowi potrzebne było powodzenie naszego śledztwa, w dodatku osiągnięte w jak najkrótszym czasie. Wątpiłem, czy to się uda.

–W porządku, na tym koniec – powiedziała Galletta i sala ożyła. Spotkawszy mój wzrok, wskazała mi ruchem głowy tylne drzwi pokoju konferencyjnego.

Przepychając się przez tłum, zastanawiałem się, o czym chce ze mną porozmawiać.

–Jak się posuwa sprawa? – spytałem, kiedy drzwi się za nami zamknęły.

–Co ty, do cholery, sobie myślisz? – warknęła.

Zamrugalem oczami.

–O czym ty, do cholery, mówisz?

–Zaprzeczasz mi, twierdzisz, że Mary Smith jest mężczyzną, podważasz przyjętą hipotezę. Chcę, żeby moi ludzie wiedzieli, czego mają szukać, więc mnie wcześniej informuj, zanim zaczniesz publicznie wygłaszać swoje opinie, wzięte z sufitu.

–Wzięte z sufitu? Być może, ale rozmawialiśmy już na ten temat. Powiedziałem ci przecież, że to tylko moja intuicja.

–Owszem, ale odrzuciliśmy twój pogląd.

–Nie. To ty go odrzuciłaś, Jeanne. Wiem, że jesteś pod naciskiem...

–Tak, psia krew. Jesteśmy w Los Angeles, a nie w Waszyngtonie. Nie wiesz, jaka to różnica.

–Wiem, jaka to różnica. Na przyszłość, jeśli będziesz chciała, żebym wystąpił na odprawie, powiedz mi o tym wcześniej. I przypomnij sobie, co niedawno powiedziałaś o zdemaskowaniu przeze mnie Gary'ego Soneji i Kyle'a Craiga.

Staralem się mówić spokojnie, nawet pojednawczo, nie mia-

lem jednak zamiaru kłaść uszu po sobie, kiedy ktoś się na mnie wydierał.

Jeanne zacisnęła zęby i przez sekundę patrzyła na podłogę.

–W porządku. Przepraszam.

–Wyjaśnijmy to do końca: wcale nie chcę przez to powiedzieć, że musisz ze mną cokolwiek uzgadniać. Sprawę prowa-

**dzisz ty, ale przy takim stopniu jej skomplikowania nie jesteś w stanie nad wszystkim panować.**

**–Wiem, wiem. – Odetchnęła głęboko, co wynikało raczej z potrzeby przewentylowania płuc niż z poczucia ulgi. Uśmiechnęła się. – Co powiesz na sushi? Musisz przecież jeść, prawda? Przymierzam, że nie będziemy rozmawiali o pracy.**

**–Dzięki, ale dla mnie ten dzień jeszcze się nie skończył – odparłem. – Muszę wrócić do biura. Jeanne, jestem prawie pewien, że zabójcą nie jest kobieta. Innym razem coś przekąsimy, zgoda?**

**–Innym razem – powiedziała, po czym wyszła z pokoju takim samym szybkim krokiem, jakim wkroczyła na salę odpraw.**

## **Rozdział 51**

**Przez kilka następnych godzin byłem skoncentrowany na pracy; udało mi się osiągnąć bardzo produktywny stan, jaki życzylibym sobie osiągnąć za każdym razem, kiedy siadałem za biurkiem.**

**Sprawdziłem kilka moich hipotez w systemie VICAP, szukając jakiegokolwiek przypadku podobnego do ostatniej fali morderstw w Los Angeles. Nie trafiłem na żaden, który wykazywałby choćby dalekie podobieństwo.**

**Miałem już zakończyć poszukiwania, gdy moją uwagę zwrócił przypadek potrójnego morderstwa, które miało miejsce przed sześcioma miesiącami.**

**Wprawdzie miejscem zbrodni był Nowy Jork, nie Los Angeles, ale została popełniona w kinie, a to, co na ten temat wiadano, było bardzo intrygujące.**

**Po pierwsze sprawca nie został wykryty, a nowojorska policja, podobnie jak policja w Los Angeles, nie znalazła nawet najsłabszego tropu.**

**Po drugie zabójstwo w Nowym Jorku również brakowało jakichkolwiek motywów. To ostatnie było znamienne. Może seria morderstw popełnionych w Los Angeles zaczęła się znacznie wcześniej, niż sądzono? A może zabójca pochodził z Nowego Jorku?**

Wywołałem na monitorze policyjne dane na ten temat i przeczytałem je dokładnie. Zabity został młody człowiek, niejaki Jacob Reiser, i dwóch pracowników kina Sutton. Z raportu wynikało, że pracownicy natknęli się na mordercę przypadkiem, zaraz po zabiciu przez niego pierwszej ofiary. Reiser pochodził z Brooklynu, miał dwadzieścia lat i był studentem wydziału filmowego Uniwersytetu Nowojorskiego.

Zwróciłem uwagę na fragment raportu dotyczący broni użytej przez mordercę. Po zbadaniu pocisków wyjętych z ciał zabitych biegli orzekli, że zostały wystrzelone z pistoletu Walther PPK. Pistoletem użytym przy zabójstwach w Los Angeles również był Walther PPK starego typu.

Zaintrygowało mnie jeszcze jedno: morderstwo w Nowym Jorku miało miejsce w męskiej toalecie.

## Rozdział 52

Zgromadziłem wystarczająco dużo punktów hotelowych, żeby do końca życia móc mieszkać w hotelach za darmo. Rzecz w tym, że nie miałem ochoty już nigdy więcej mieszkać w hotelu. Zachodnie Los Angeles nie zapewniało także żadnej rozrywki. Leżałem na łóżku, kartkując któryś raz z rzędu notatki, obok mnie stał talerz z na pół zjedzoną kanapką z kurczakiem i ciepła woda sodowa.

Na szczęście odezwał się telefon. Dzwoniła Nana.

–Myślałem właśnie o twoich kotletach wieprzowych i chlebie z mąki kukurydzianej – powiedziałem jej. – I oto jesteś.

–Dlaczego zawsze mi się podlizujesz, Alex? – spytała. –

A przynajmniej się starasz. Chcesz powiedzieć, że nie wrócisz do domu przed weekendem?

–Całkiem możliwe.

–Alex...

–Wrócę do domu. Możesz mi wierzyć, że niczego bardziej nie pragnę, niż mieć tę sprawę za sobą. Na razie jednak będę musiał jeszcze trochę powędrować.

–Alex, zastanów się i powiedz mi dokładnie, jak długo będziesz jeszcze siedział w tej Kalifornii. Wygląda na to, że twoje nowe zadanie jest gorsze niż poprzednie.

Okazało się, że okres ochronny ustanowiony dla mnie po

przegranym procesie o Aleksa już się skończył. Nana wróciła do dawnego zwyczaju mówienia mi bez ogródek, co o mnie myśli. Oczywiście miała rację.

–Co u dzieci? – zapytałem pod koniec rozmowy. –

Pozwolisz mi z nimi porozmawiać? I przestaniesz mi wreszcie prawić kazania, stara kobieto?

–*Są zdrowe i czują się świetnie. Nawiasem mówiąc, ja też.*

–Czy coś się stało? – spytałem.

–Nie. Miałam drobne zawroty głowy. Nic wielkiego. Kayla Coles zbadała mnie dziś i powiedziała, że wszystko w porządku. Mogę przelecieć następne kilkanaście tysięcy kilometrów.

–Za dobrze cię znam, żeby nie wiedzieć, iż to były poważne zawroty. Czy i tym razem zemdlałaś?

–Nie zemdlałam – odparła takim tonem, jakby moje podejrzenie było najśmieszniejszą rzeczą, jaką usłyszała w życiu. – Jestem po prostu starą kobietą, Alex. Rozmawialiśmy już o tym. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego nie wyglądam na swój wiek. Kiedy jednak poprosiłem ją, żeby mi dała numer telefonu Kayli Coles, zdecydowanie odmówiła. Musiałem poczekać, aż Damon przejmie słuchawkę, po czym kazałem mu pójść do mojego biurka i znaleźć numer Kayli w rolodexie.

–Jak naprawdę czuje się Nana? – zapytałem go. – Musisz się nią zaopiekować, Day.

–Wygląda dobrze, tato. Nie przyznała się nam, co jej było. W każdym razie poszła do sklepu i zrobiła nam kolację. Trudno powiedzieć, czy czuje się dobrze, czy źle. *Wiesz, jaka ona jest* W tej chwili odkurza cały dom.

–Robi to na pokaz. Idź ją wyręczyć. Pomóż swojej babci.

–Nie umiem odkurzać.

–Czas, żebyś się nauczył.

Skończywszy rozmawiać z dziećmi, zadzwoniłem do Kayli Coles, ale trafiłem na automatyczną sekretarkę. Zatelefonowałem więc do Sampsona i poprosiłem go, by wpadł do mojego domu i zobaczył, co się dzieje z Naną, która jego również od czasu do czasu wychowywała.

- Nie ma problemu – odparł. – Pojadę tam jutro przed śniadaniem i powiem, że jeszcze nic nie jadłem, dobrze?
- Doskonały pretekst do wizyty. I podwójna korzyść.
- Domyśli się, o co naprawdę chodzi.
- Oczywiście, że się domyśli. Mimo że jesteś bardzo wiarygodnym głodomorem.
- A jak ty się czujesz? – zapytał. – Brzmisz, jakbyś był w niezbyt dobrej formie.
- Nic mi nie jest. Po prostu diabelnie dużo się tu ostatnio dzieje. To mocno zagmatwana sprawa, John. No i za bardzo nagłośniona. Spotkałem też parę razy tego namolnego dziennikarza, Truscotta. Słyszałem, że wrócił już na wschód.
- Potrzebujesz pomocy? Mogę wpaść do Los Angeles. Zostało mi trochę urlopu.
- Tylko tego brakowało, żeby twoja żona się na mnie wkurzyła. Ale tak czy inaczej, dzięki. Będę o tym pamiętał... jeśli kiedykolwiek wpadniemy na trop Mary Smith. Największe sukcesy w mojej pracy osiągnąłem we współdziałaniu z Sampsonem. Mieć go u swojego boku – tego najbardziej mi brakowało po odejściu z policji. Jednak jeszcze z niego nie zrezygnowałem. Miałem co do niego pewien pomysł. Kiedy przyjdzie właściwy czas, wykorzystam Sampsona.

### *Rozdział 53*

Następny dzień spędziłem w terenowym biurze FBI, pracując od siódmej do siódmej. Czułem się, jakbym wędrował przez szczególnie długi, ciemny i odrażający tunel, który dopiero na końcu obiecywał ewentualne światelko. Od rana czekałem z niecierpliwością na Jamillę, która miała przylecieć do Los Angeles. Uparła się, żebym nie przyjeżdżał po nią na lotnisko, wobec tego umówiliśmy się u Blissa na La Cienega. Kiedy wszedłem do restauracji, zastałem ją przy barze. Miała na sobie džinsy, czarny sweter z golfem i czarne buty z ostrymi szpicami i stalowymi obcasami, a obok stała jej torba podróżna. Stałem za nią i pocałowałem ją w szyję. Nie mogłem się oprzeć.

–Jak się masz, kochanie – wymruczałem. – Ślicznie pachniesz. A wyglądasz jeszcze lepiej. – To była prawda. Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

–Cześć, Alex. Cieszę się, że przyszedłeś.

–Czyżbyś w to wątpiła?

–Cóż, hm, chyba tak – odparła. – Pamiętasz, jak to było, kiedy ostatnio przyleciałam do Kalifornii?

Oboje byliśmy głodni, więc usiedliśmy przy stoliku i zamó-

**wiliśmy przystawkę – tuzin małży na muszlach oraz tradycyjną sałatkę pomidorową, które podzieliliśmy między siebie. Jamilla je jak atleta w okresie treningu, co mi się zawsze podobało.**

–Co nowego w sprawie zabójstw? – spytała, kiedy sprzątnęliśmy pomidory i małe. – Czy to prawda, że ona już od pierwszego morderstwa wysyłała e-maile?

Zaskoczony, zamrugalem oczami. „LA Times” od początku zachowywał się dwuznacznie.

–Skąd o tym wiesz? Gdzie to usłyszałaś?

–Krażą takie pogłoski, Alex. Opinia publiczna nie musi wiedzieć o wzmożonym stopniu czujności służb bezpieczeństwa, ale wszyscy inni wiedzą. Dotarło to nawet do San Francisco.

–Co jeszcze słyszałaś o wzmożonym stopniu czujności?

–Słyszałam, że detektyw prowadzący sprawę, Jeanne Galletta, jest bardzo dobra. Mam na myśli jej kwalifikacje.

–Przyznaję, że zna się na rzeczy, ale nie może się równać z Jamillą Hughes.

Nie zareagowała na ten komplement. Ale chyba rozumiała moje intencje. Wyglądała bardzo kusząco w świetle świec – przynajmniej w moich oczach. To był doskonały pomysł: kolacja z Jam w dobrej restauracji, wyłączony telefon komórkowy...

Zamówiliśmy butelkę jej ulubionego wina Pinot Noir z Oregonu i gdy tylko nam nalano, podniosłem do góry swój kieliszek.

–Ostatnio wszystko trochę się skomplikowało, Jam. Cieszę się, że wtedy do mnie przyjechałaś. I że przyjechałaś dzisiaj.

Wypiła łyk wina, po czym położyła mi dłoń na przegubie.

–Alex, muszę ci coś wyznać. To ważne. Posłuchaj i nic nie mów, dobrze?

W jej wzroku było coś, co mi się nie podobało. Poczułem ucisk w żołądku.

–Dobrze – odpowiedziałem.

–Pozwól, że cię o coś spytam – zaczęła, uciekając spojrzeniem w bok. – Czy uważasz, że powinniśmy być sobie wierni?

Nareszcie wyszło szydło z worka.

–Cóż, nie spotykałem się z nikim, odkąd zaczęliśmy być

ze sobą – odparłem. – To tyle, jeśli chodzi o mnie. A ty się z kimś spotykasz? Domyślam się, że tak.

Westchnęła, po czym skinęła głową. Była zawsze szczera i bezpośrednia – taki miała charakter. To mi się od początku w niej podobało. Aż do dziś.

–Spotykasz się z nim? – spytałem. Poczułem w całym

ciele napięcie. Spodziewałem się czegoś takiego na początku naszej znajomości, ale nie teraz. Może byłem zbyt pewny siebie albo zbyt ufny. To był mój stale powtarzający się błąd. Jamilla milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

–Tak, Alex – przyznała w końcu.

–Jak go poznałeś? – zapytałem, lecz natychmiast się zreflektowałem. – Stop, Jam. Nie musisz odpowiadać na to pytanie.

Miałem jednak wrażenie, że chciała na nie odpowiedzieć.

–Johnny jest prawnikiem. Prokuratorem. Poznałam go w trakcie jednej z moich spraw. Spotkałam się z nim tylko dwa razy. W obu przypadkach towarzysko.

Korciło mnie, by pytać dalej, lecz się powstrzymałem. Nie miałem do tego prawa. Sam byłem winien tego, co się stało. Dlaczego tak postępowalem? Dlaczego nie chciałem przyjąć na siebie żadnych zobowiązań? Czy ze względu na to, co spotkało Marię? Albo tego, co się stało z Christine? A może dlatego, że moi rodzice zerwali ze sobą, gdy mieli po dwadzieścia lat, i nigdy więcej już się nie spotkali?

Jamilla pochyliła się nad stołem i powiedziała cicho:

–Przepraszam. Widzę, że cię zraniłam, choć nie miałam takiego zamiaru. Możemy skończyć kolację i porozmawiać o tym, jeśli chcesz. Albo po prostu sobie pójdziesz. Albo ja sobie pójdę. Zrobię, co zechcesz, Alex.

Ponieważ nie odpowiedziałem od razu, zapytała:

–Jesteś na mnie zły?

–Nie – odparłem nieco za szybko. – Chyba raczej zaskoczony. Może także rozczarowany. Nie jestem pewien, co



tak naprawdę czuję. Ale czy to oznacza, że masz zamiar spotykać się z innymi mężczyznami, czy że chcesz ze mną zerwać?

Jamilla znowu upiła łyk wina.

–Po prostu chciałabym wiedzieć, co ty o tym myślisz.

–Co ja myślę? Powiedzieć ci szczerze, Jam? Myślę, że nie potrafiłbym kontynuować naszego dotychczasowego związku. Nie wiem nawet dlaczego. Kiedy czuję się z kimś związany, nie ma dla mnie nikogo innego. Znasz mnie.

–Nigdy nie składaliśmy sobie żadnych obietnic – przypomniła mi. – Chcę być uczciwa.

–Wiem, że jesteś uczciwa, i to mi się podoba. Słuchaj, muszę już iść.

Pocałowałem ją w policzek i wyszedłem. Ja również chciałem być uczciwy. W stosunku do Jamilli i wobec siebie.

## Rozdział 54

Zostawiłem wszystko i poleciałem na weekend do Seattle.

Jadąc z lotniska do dzielnicy Wallingford, gdzie mieszkali Christine z Alekssem, starałem się stłumić w sobie niechęć do kontaktu z nią. Nie przychodziło mi to łatwo.

Nie wiozłem żadnych prezentów, żadnych łąpówek, jak to ona robiła, kiedy Alex mieszkał ze mną w Waszyngtonie.

Pozwoliła mi odwiedzić Aleksa, a ja nie potrafiłem się temu oprzeć. Chciałem się z nim zobaczyć choć na krótko – bardzo mi tego brakowało.

Dom był położony przy ulicy Sunnyside North. Kiedy dotarłem na miejsce, Christine i Ali siedzieli na stopniach werandy. Na mój widok zbiegł po schodach jak tornado, a ja porwałem go w ramiona. Zawsze się bałem, że będzie inny niż przy poprzednim widzeniu, ale moje obawy pierzchły w momencie, kiedy się do mnie przytulił.

–Aleś ty ciężki, synku. Rośniesz jak na drożdżach.

–Mam nową książkę – pochwalił się, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – O głodnej gąsienicy, która zjada wszystko po drodze. Pojawia się i chrup, chrup! Zje nawet ciebie.

–Weź ją ze sobą, to poczytamy razem. – Znow go uściskałem.

Christine siedziała z założonymi rękami i patrzyła na nas. Po chwili uśmiechnęła się i pomachała ręką.

–Napijesz się kawy? – zapytała. – Przyda ci się, zanim

**pójdziecie.**

**Spojrzałem na nią spod zmrużonych powiek. Pytanie zawisło w powietrzu.**

**–Zaraz ci podam – powiedziała. – Chodź, nie ugryzę cię. – Mówiła pogodnym tonem, pewnie ze względu na małego.**

**–Chodź, tatusiu. – Alex wysunął się z moich ramion i wziął mnie za rękę. – Pokażę ci drogę.**

**Musiałem więc wejść. Czy powinienem to robić? Jeszcze nigdy nie byłem w jej domu. Wnętrze urządzone ze smakiem. Meblościanki w stylu Arts and Crafts wypełniały książki i okazy z kolekcji sztuki Christine. Dom był wygodniejszy i nie tak pretensjonalny jak ten, w którym mieszkała przedtem. Uderzyło mnie, z jaką naturalnością Christine i Alex poruszają się po tym nieznanym mi wnętrzu. Jestem tu obcy, pomyślałem.**

**Przestronna kuchnia była bardzo jasna i pachniała rozmarynem. Na parapecie urządzone ogródek ziołowy.**

**Christine podała Aleksowi filiżankę mleka czekoladowego, po czym postawiła na stole dwa kubki parującej kawy.**

**–Mój narkotyk w Seattle – powiedziała. – Piję stanowczo za dużo kawy. Popołudniami powinnam pić bezkofeinową albo coś innego. A prawdziwą tylko rano – dodała z uśmiechem.**

**–Doskonała. Twój dom też jest bardzo ładny.**

**Nasza konwersacja była przeraźliwie banalna, choć na tym etapie jakakolwiek szczerza rozmowa byłaby równie uciążliwa. Przyrzekłem sobie nie rozmawiać z Christine o pogodzie, ale i tak oboje się męczyliśmy.**

**Mały Alex zsunął się z krzeselka i wrócił ze swoją nową książką. Wdrapał mi się na kolana.**

**–Poczytaj mi, dobrze? Ale uważaj: zrobi chrup, chrup i już cię nie będzie.**

Odetchnęliśmy z Christine, uwolnieni od konieczności prowadzenia rozmowy o niczym. Alex skupił całą naszą uwagę na sobie, a przecież o to mi chodziło. Otworzyłem książkę i zacząłem czytać.

–„Maleńkie jajeczko leżało sobie na liściu w świetle księżycy”.

Alex oparł mi głowę na piersi. Serce we mnie topniało na myśl o tym, jakie obrazy w jego główce budzi dźwięk mojego głosu. Christine przez cały czas mnie obserwowała. Uśmiechała się, obejmując dłońmi kubek z kawą.

Kilka minut później Aleksowi zachciało się siusiu. Poprosił mnie, żebym z nim poszedł do toalety.

–Chodź ze mną, tato.

Christine podeszła do mnie i szepnęła mi do ucha:

–Ma trudności z wycelowaniem do muszli. Wstydzi się tego.

–Drobiazg – odparłem. – Masz Owocowe Obwarzanki?

Na szczęście miała całe pudełko. Zabrałem je ze sobą, idąc z Alekssem do łazienki.

Wrzuciłem parę obwarzanków do muszli.

–Pokażę ci grę – powiedziałem. – Sztuka polega na tym, żeby nasiusiać do środka obwarzanka.

Spróbował i udało mu się. Pokonał problem.

Opowiedziałem Christine o tej sztuczce, kiedy wróciliśmy.

Roześmiała się i pokręciła głową.

–Owocowe Obwarzanki, no, no. To pewnie jedna z męskich tajemnic, prawda?

Rozdział 55

Reszta dnia w Seattle była już mniej stresująca i znacznie bardziej rozrywkowa. Czas spędzony z małym Alekssem sprawiał mi radość i relaksował. Zabrałem go do miejskiego akwarium, gdzie z przejęciem obserwował tropikalne ryby, a potem jedząc paluszki drobiowe w kawiarence, usmarował się dokładnie keczupem. Jeśli chodzi o mnie, w jego towarzystwie chętnie spędziłbym cały dzień nawet w poczekalni autobusowej.

Lubiłem patrzeć, jak rośnie i dojrzewa. Z roku na rok będzie coraz większy. Ali. Jak ten słynny.

Dopiero gdy wróciliśmy wieczorem do domu, znów poczułem ciężar smutku. Porozmawiałem jeszcze przez chwilę z Christine na frontowej werandzie. Nie chciałem wchodzić do środka, ale także nie chciałem jeszcze odchodzić. Nie wiem, może mi się zdawało, jednak odniosłem wrażenie, że Christine ma zaczer-

wienione oczy. Odkąd ją znałem, zawsze miewała zmienne nastroje i z czasem to się jeszcze pogłębiło.

–Teraz chyba moja kolej, żeby cię spytać, jak się czujesz – powiedziałem.

–Wszystko w porządku, Alex. Nic się nie zmieniło. Nie miałbyś ochoty słuchać moich zwierzeń, wierz mi.

–Jeśli masz na myśli romanse, to z pewnością nie. Ale o wszystkim innym chętnie posłucham.

Roześmiała się.

–Romanse? Nic z tych rzeczy. Ostatnio jestem trochę przeciążona pracą. Jak zwykle sama ją sobie narzuciłam. Za ciężko pracuję, żeby mieć czas na romanse.

Wiedziałem, że od niedawna jest dyrektorką w prywatnej szkole niedaleko stąd. Nie wiedziałem jednak, jak sobie ułożyła życie prywatne i dlaczego płakała, kiedy mnie i Aleksa nie było w domu.

–Poza tym umówiliśmy się ostatnio – dodała – że to ty mi o sobie opowiesz. Co się u ciebie dzieje? Wiem, że ci teraz ciężko, i bardzo mi z tego powodu przykro. Przykro mi, że to wszystko tak się potoczyło.

Zrelacjonowałem jej pokrótce sprawę Mary Smith, powiedziałem o zawrotach głowy Nany i o tym, że Jannie i Damon rozwijają się prawidłowo. Nie wspomniałem o Jamilli, a ona nie zapytała.

–Czytałam w gazetach o tych strasznych morderstwach. – Christine wzdrygnęła się. – Mam nadzieję, że jesteś ostrożny. Nigdy nie przypuszczałam, że seryjnym mordercą może być kobieta.

–Zawsze jestem ostrożny. – W tej odpowiedzi był cały świat ironii. Powodem rozdzwieku między nami była w znacznym stopniu moja praca

–To wszystko jest bardzo dziwne, prawda? – powiedziała nagle. – Czy twój dzisiejszy pobyt tutaj był dla ciebie bardziej przykry, niż się spodziewałeś?

Zapewniłem ją, że ujrzenie Aleksa było warte każdej ceny, ale mówiąc uczciwie, spotkanie się z nią sprawiło mi przykrość.

–Kiedyś było nam z sobą dobrze, prawda? – zapytała.

–Owszem. Dopóki nie zostaliśmy rodzicami.

Spojrzała na mnie; jej ciemne oczy błyszczały inteligencją jak dawniej.

–To takie smutne, Alex, że w ten sposób to widzisz.

Nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi, jedynie wzruszyłem ramionami.

Nieśmiało położyła dłoń na mojej ręce.

–Przykro mi, Alex. Naprawdę. Mam nadzieję, że nie jestem gruboskórna. Nie wiem, co czujesz, ale sądzę, że rozumiem twój stan psychiczny. Czasem się zastanawiam – przerwała na moment, szukając odpowiednich słów – jakimi bylibyśmy rodzicami... gdybyśmy byli razem.

**A więc o to chodziło.**

**–Christine, ty albo rzeczywiście jesteś gruboskórna, albo próbujesz mi coś powiedzieć.**

**Westchnęła.**

**–Jak zwykle wszystko zawałam. Nie miałam zamiaru mówić ci dziś o tym, ale teraz muszę. Więc posłuchaj: chcę, żeby Alex miał dwoje rodziców. Chcę, żeby miał z tobą kontakt i chcę, żebyś ty miał kontakt z nim. Dla jego dobra i twojego.**

**A także dla mojego.**

**Zrobiłem krok wstecz, jej ręka opadła bezwładnie.**

**–Nie wiem, co na to odpowiedzieć, Christine. Myślę, że to oczywiste, iż ja chcę dla niego tego samego. To ty postanowiłaś przeprowadzić się do Seattle.**

**–Wiem – odparła. – Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Zastanawiam się, czy nie wrócić do Wirginii. Jestem prawie zdecydowana.**

**Poczułem się, jakbym miał w mózgu całkowitą pustkę.**

**Rozdział 56**

**Vancouver było jednym z ulubionych miast Opowiadacza – obok Londynu, Berlina i Kopenhagi. Poleciał tam linią Alaska Air i kiedy znalazł się na miejscu, musiał czekać w kolejce z kilkuset „turystami” z Korei i Chin. W Vancouverze roilo się od Chińczyków i Koreańczyków, ale to była jedyna rzecz, która mu się w tym uroczym kanadyjskim porcie nie podobała, co ostatecznie nie było takie straszne.**

**Miał do załatwienia różne interesy filmowe, które zajęły mu większość dnia i wprowadziły go w ponury nastrój. Do piątej po południu zdążył się napompować złością, która wymagała jakiegoś rozładowania.**

**Czego mi trzeba? Opowiedzieć komuś o mojej akcji.**

**Może nie o wszystkim, może tylko o jej części – o najwspanialszym okresie jego życia, okresie kompletnego nieokiełznania, pisania żywej historii.**

**Przypomniał sobie, że w Vancouverze przebywa jego znajoma, rudowłosa producentka, która przyjechała tu nakręcić film telewizyjny. Może powinien się z nią spotkać. Tracey Willett miała swój okres szaleństwa w Hollywood, który się zaczął, kiedy miała osiemnaście lat, i trwał niemal do trzydziestki. Od tego czasu zdążyła urodzić dziecko i nieco się uspokoiła. Ale przez cały czas zachowała z nim kontakt, co miało dla**

niego duże znaczenie. Zawsze mógł z nią porozmawiać, i to niemal o wszystkim.

Zadzwoił więc do niej, a ona powiedziała, że chętnie się z nim spotka na kolacji. Godzinę później oddzwoniła z planu filmowego, że mają opóźnienie. Wiedział, że to nie jej wina, tylko nieudolnego reżysera. Jakiegoś niezorganizowanego, aroganckiego bubka dwa albo trzy lata po szkole filmowej.

Musiał więc czekać aż do jedenastej, nim zjawiła się w jego pokoju w Marriotcie. Uściskała go i obdarowała czułym pocałunkiem. Wyglądała bardzo dobrze, mimo że była po całym dniu pracy.

–Stęskniłam się za tobą, misiaczku. Gdzie się podziewałeś? Masz fantastyczną sylwetkę: jesteś chudy, ale korzystnie chudy, jak drapieżnik. Bardzo ci z tym do twarzy.

Nie wiedział, czy Tracey nadal jest na kokainie, czy przeszła na alkohol albo może jeszcze na coś innego, więc na wszelki wypadek zaopatrzył się we wszystko. Oboje spróbowali wszystkiego po trochu. Od razu się zorientował, że ma ochotę na seks, bo powiedziała mu, że jest napalona na jednego z kaskaderów, poza tym poznał to po tym, jak siedziała na sofie – z rozłożonymi nogami, patrząc na niego tym samym głodnym, łóżkowym spojrzeniem, które pamiętał z dawnych czasów. W końcu ściągnęła bluzkę i spytała:

–I co teraz będziemy robili?

Zabrał ją więc do łóżka, gdzie po raz drugi pochwaliła jego nowe, szczupłe ciało. Wzięła jeszcze trochę koki, po czym zdjęła biustonosz i pozwoliła mu się pozachwycać swoimi piersiami. Przypomniawszy sobie, jak należy z nią postępować – powinno jej się mówić, jaka jest seksowna, i pieścić ją przez jakieś dwadzieścia minut, a potem przynajmniej przez pół godziny energicznie pieprzyć, gdyż nigdy nie osiągała orgazmu; dochodziła bardzo blisko, ale nigdy do końca, więc było jak dawniej: „mocniej, szybciej, mocniej, szybciej, och, kochanie, kochanie, kochanie”. A kiedy wytrysnął wewnątrz niej, wydawało się, że jest usatysfakcjonowana – trzymała go długo

w objęciach, jakby znów byli sobie bliscy, co w rzeczywistości nigdy nie było prawdą.

Po antrakcie seksualnym przyszła kolej na to, na czym zależało jemu: na orgazm umysłowy. Stali na tarasie, patrząc na miasto, Tracey z głową romantycznie opartą na jego ramieniu. Sentymentalna scenka – poczuł się, jakby był na randce

**z Meg Ryan lub Daryl Hannah.**

**–Opowiem ci trochę o tym, co robię – rzekł w końcu. Do tej pory wszystko, co się działo, służyło zaspokojeniu jej potrzeb. Teraz kolej na niego.**

**–Bardzo chcę usłyszeć, co robisz, kochanie, ale nie mogę za późno wrócić do dziecka. Opiekunka wciąż mi grozi, że odejdzie.**

**Dopiero teraz przypomniał sobie, że Tracey zawsze była egoistyczną suką.**

**–Czy ktoś wie, że przyszłaś dziś do mnie?**

**–Nie, Duh. Powiedz prędko, co robisz? Przypuszczam, że to coś wspaniałego. Zawsze byłeś bardzo zdolny.**

**–To rzeczywiście duża rzecz. Nic w dawnym gatunku.**

**Sam tworzę rzeczywistość. Piszę opowieść o rzeczywistości.**

**Ale na razie nikt o tym nie może wiedzieć.**

**–Fantastyczne! Sam to piszesz?**

**–Tak. Słyszałaś o morderstwach w Los Angeles? O Mary Smith?**

**Wiedziała coś niecoś na ten temat, jednak nie wszystko, bo od czterech tygodni siedziała w Vancouverze. Opowiedział jej o tym pokrótce.**

**–Kupiłaś prawa? Bomba! To wspaniale. I co, chcesz, żebym zajęła się produkcją?**

**Potrząsnął głową, nie wierząc własnym uszom.**

**–Od kogo miałbym kupić prawa, Tracey?**

**–Och, już dobrze. Więc co to za rzecz?**

**–Interesuje cię to? Naprawdę?**

**–Oczywiście, że mnie interesuje. Opowiedz mi o twoim pomysle, o tym, co robisz. Lubię thrillery.**



Sam tego chciałem, pomyślał. Pójść na całość czy nie? Co z tego wyniknie?

–To ja zaplanowałem te morderstwa, Tracey. Mary to ja.

Uff! Poszło. „Mary to ja”. Jakie to było łatwe. Cholera!

Patrzyła na niego jakimś dziwnym wzrokiem. Nagle uświadomił sobie, że popełnił błąd. Że to nie stara Tracey jest idiotką,

tylko on. Że przed chwilą ujawnił swój wielki plan. Po co? Żeby się pochwalić przed dawną przyjaciółką? Żeby się wyładować? A może wyspowiadać?

Gapiała się na niego jak na cielę z dwiema głowami.

–Co ty mówisz? Powtórz to jeszcze raz.

Roześmiał się, starając się, by ten śmiech zabrzmiał naturalnie.

–Żartowałem, Tracey. Oboje jesteśmy na haju. To był żart. Odwiozę cię do domu. Powiedziałaś, że czeka na ciebie dziecko, że opiekunka... i tak dalej. Jesteś przecież dobrą matką, prawda?

Rozdział 57

Rozmowa w samochodzie się nie kleiła, z czego wywnioskował, że Tracey wcale mu nie uwierzyła, gdy próbował obrócić wszystko w żart. Zastanawiał się, kiedy popełni następny błąd i wpadnie. Taki jak przy strzelaninie w kinoteatrze w Nowym Jorku.

–Żyłem ostatnio w silnym stresie – powiedział w końcu.

–Pewnie – mruknęła.

Wkurzała go i drażniła, choć byli przyjaciółmi od lat.

–W jakim wieku jest twoje dziecko?

–W jakim wieku jest twoje dziecko?

–Hmm... ma cztery lata i sześć miesięcy. Wspaniały chłopiec. Dałam mu na imię Stefan.

Zaczynał się jej bać. I co dalej? Co, psiakrew, powinien teraz zrobić? Ta scena zupełnie nie pasowała do „Mary Smith”, dla Tracey nie było miejsca na liście bohaterek tworzonej przez niego powieści. Wszystko układało się źle.

Zatrzymał wynajęte volvo na skraju drogi. Co dalej?

–Co się stało? – spytała. – Dlaczego nie jedziemy?

–Wysiądź tutaj, Tracey. Nie żartuję. Wynoś się! Idź dalej pieszo!

–Pieszko? Oszalałeś? Co za pomysł?

–Wynoś się z samochodu! Natychmiast. Wynoś się, bo cię wyrzucę siłą!

To poskutkowało. Otworzyła drzwi i wysiadła, klęcząc jak

kierowca ciężarówki. Na zewnątrz było zimno, więc otuliła się rękami. Potem zaczęła płakać.

–Jesteś wariatem, wiesz o tym? Myślałam, że uważasz mnie za przyjaciółkę.

Zacząła biec ciemną uliczką dzielnicy mieszkaniowej, oddzielającej Marriott od jej hotelu.

Opowiadacz wysiadł z samochodu i ruszył za nią.

–Tracey, poczekaj! Stój!

Łatwo ją dogonił.

–Przepraszam, kochanie, że cię przestraszyłem. Bardzo mi przykro. Nic ci się nie stało? – Potem strzelił jej w szyję, a kiedy już leżała na chodniku, strzelił jeszcze raz, w głowę.

Tym razem nie poczuł satysfakcji, nawet najmniejszej.

Tym razem się przestraszył – i to bardzo.

Stracił kontrolę nad historią, którą tworzył. Potoczyła się własnym torem, pociągając za sobą nie te ofiary, które miały się w niej znaleźć.

## Rozdział 58

Kiedy następnego dnia wróciłem z Seattle do Los Angeles, ponownie uderzyła mnie myśl, jak złowieszczo sprawa Mary Smith zaciążyła na moim życiu. Zaczynałem się również czuć rekordzistą na polu skomplikowanych lub nieudanych związków. Jedyne, co mi się udało osiągnąć, to obietnica Christine, iż wkrótce porozmawiamy dłużej. Cieszyła mnie myśl, że Ali będzie bliżej mnie, ale zbyt na to nie liczyłem – Christine zawsze była tak zmienna, że nie można było być pewnym jej deklaracji.

Tymczasem ledwie zdążyłem wyjść z dworca lotniczego w Los Angeles, znów zostałem wessany w sprawę morderstw.

W telewizji nadawano właśnie serwis informacyjny, więc się zatrzymałem, by posłuchać najnowszych wiadomości. Stałem jak wmurowany, gdy reporterka mówiła: „Na porannej konferencji prasowej Jeanne Galletta, detektyw prowadząca sprawę Bestii z Hollywood, stanowczo zaprzeczyła pogłosce, jakoby istniała tak zwana lista egzekucyjna”.

Bestia z Hollywood to kryptonim nadany przez media sprawie Mary Smith. Nie miałem natomiast pojęcia, co reporterka ma na myśli, mówiąc o „liście egzekucyjnej”.

„Policja Los Angeles zaleca okolicznym mieszkańcom, by

zachowali spokój, gdyż nie ma zagrożenia, jednak wiele osób nie ma zaufania do tej deklaracji.

Grupa obywateli przybyła do lokalnego komisariatu, żądając okazania»listy egzekucyjnej«, która zdaniem policji nie istnieje. Komukolwiek wierzyć, jedna rzecz jest niezaprzeczalna:»Bestia z Hollywood«- reporterka zrobiła dramatyczną przerwę – doprowadziła miejscową społeczność do ostateczności. Lorraine Solie, na żywo z Beverly Hills".

Lista egzekucyjna? Skąd się ta cholerna lista wzięła? Czyżby policja Los Angeles doszukała się czegoś i nie podzieliła tym z nami? Już wiele razy tak było.

Pierwszą osobą, z którą zdołałem się skontaktować w biurze terenowym FBI, był David Fujishiro, dodatkowy agent specjalny, przydzielony do sprawy Mary Smith.

–To historia nie z tej planety – powiedział mi. – Podobno istnieje lista dwudziestu jeden nazwisk, zaczynająca się od Patrice Bennett, Antonii Schifman i Marti Lowenstein-Bell.

Ludzie są przekonani, że to lista Mary Smith.

–I każdy w Los Angeles chce się dowiedzieć, czy na niej figuruje? Czy jest jedną z tych dwudziestu jeden osób?

–Tak. Ale to nie wszystko. Krążą plotki, że każdy, kto znajduje się na tej liście, może się wykupić, wysyłając sto tysięcy dolarów na adres skrytki pocztowej w hrabstwie Orange, która nie istnieje. Sprawdziliśmy to, ale i tak nikt nam nie wierzy. Ludzie grożą wszczęciem kroków prawnych przeciw policji Los Angeles.

–Czy w tych plotkach nie ma odrobiny prawdy, David? Jesteś pewny?

–Nic nam na ten temat nie wiadomo. Ale cóż my, psiakrew, wiemy? Jesteśmy tylko terenowymi agentami FBI.

–Sprawa zaczęła żyć własnym życiem – mruknąłem. – Czy ktoś rozmawiał z detektyw Gallettą o tej liście?

–Nie wiem, ale... Co? – Nastąpiła przerwa w rozmowie. – Poczekaj sekundę, Alex.

–David? Co tam się dzieje?

Słyszałem w tle jakieś niewyraźne głosy. Po chwili agent Fujishiro wrócił do telefonu i powiedział, żebym jeszcze trochę poczekał.

–Jest coś nowego – dodał.

–Poczekaj! – wrzasnąłem, ale to nie pomogło. Znów gdzieś poszedł.

W tle przybyło głosów, słyszałem jakiś harmider, coraz bardziej narastający. Co tam się działo?

Potem usłyszałem, jak Fujishiro mówi do kogoś: „Tak, mam go na linii”.

–Jesteś tam, Alex? Fred van Allsburg chce z tobą mówić. Nie rozłączaj się.

Rozmowa z van Allsburgiem nigdy nie należała do przyjemności, tym razem jednak w jego głosie nie było słycać fanfaronady.

–Co nowego się wydarzyło? – spytałem.

–Sami chcielibyśmy to wiedzieć. Wiadomo tylko tyle, że Arnold Griner otrzymał nowy e-mail. Czy możesz zaraz pojechać do redakcji „LA Timesa”?

–Jeśli zdarzyło się nowe morderstwo, chciałbym pojechać przede wszystkim na miejsce zbrodni.

–Nie mam zamiaru z tobą negocjować, Alex. Damy ci znać, kiedy tylko będziemy wiedzieli, co jest grane, a tymczasem...

Przerwałem mu, udając, że na linii są jakieś zakłócenia. Nie mogłem się powstrzymać.

–Proszę pana! Halo! – krzyknąłem. – Nie słyszę pana.

Czy pan mnie słyszy?

Wyłączyłem telefon w połowie jego zapewnienia, że słyszy mnie doskonale.

Następnie zadzwoniłem do Page'a i nie pozwoliłem mu się rozłączać, dopóki się nie dowiemy, czy odkryto jakąś nową ofiarę Mary Smith.

## Rozdział 59

Wycofując samochód z podjazdu, Suzie Cartoulis nie zwracała tego ranka szczególnej uwagi na otoczenie. Jej myśli zaprzętały ważniejsze sprawy: niewykończona kabina plażowa przy basenie w ogrodzie jej domu w Pacific Palisades i przeklęty przedsiębiorca budowlany, który nigdy nie odpowiadał na jej telefony – reagował tylko na telefony jej męża. Jeszcze dwa dni i wywali go na zbity pysk. Przedtem jednak podpali tę nieszczęsną kabinę.

W ostatniej sekundzie zobaczyła jakiś samochód na wolnych obrotach, stojący pod cedrowym żywopłotem sąsiadów. Zaha-mowała ostro, by nie uderzyć w kretyna, który tam się za-trzymał. Serce waliło jej w piersi. Rozpoczęcie dnia od stłuczki kilka metrów od podjazdu przy własnym domu nie wróżyło zbyt dobrze.

Pomachała ręką. „Przepraszam, to moja wina”.

Potem włączyła bieg i ruszyła swoim srebrnym mercedesem kombi aleją w stronę Sunset. Nie zauważyła, że samochód, który stał przy domu sąsiadów, pojechał za nią. Jej uwaga skupiała się na dziewięcioletnim chłopcu na tylnym siedzeniu.

–Wszystko w porządku, Zach? – zapytała. – Nic ci się nie stało, kiedy zahamowałam tak gwałtownie?

–Nic, nic, nic.

–To dobrze. Tylko pytam, kochanie. Włączyć muzykę?

Czego chciałbyś posłuchać?

Starła się nie być apodyktyczna, choć było to niekiedy trudne. Zachary był drażliwym dzieckiem, nie lubił też jednak, gdy się go ignorowało. Może byłoby inaczej, gdyby miał małego braciszka albo siostrzyczkę, ale o tym na razie nie mogło być mowy. Nie teraz, kiedy prowadziła program o dziesiątej. Udało jej się w końcu dostać do sanktuarium znanych twarzy Los Angeles – nie lada osiągnięcie dla byłej prezenterki pogody w Tucson – i nie miała zamiaru dopuścić do tego, by następna cięża przeszkodziła jej we wspinaniu się do góry, zwłaszcza że niedawno zainteresował się nią Nowy Jork.

W tym momencie odezwał się telefon.

Na wyświetlaczu pojawił się numer komórki jej męża. Suzie włożyła słuchawki.

–Cześć. Skąd dzwonisz, kochanie? – Zmarszczyła brwi, zadowolona przynajmniej z tego, że Gio jej w tym momencie nie widzi.

–Z Miami. Myślę, że dopinamy sprawę. Za chwilę lecę do Palm Beach. Zbliża się następny huragan, więc chcę stąd jak najprędzej prysnąć. Potrzeba nam jeszcze kilku podpisów, ale wygląda na to, że projekt ruszy.

–To doskonale – odparła, udając entuzjazm. Powinna wiedzieć, o jakim projekcie mówił, ale wszystkie jej się pomieszały. Chyba ten ostatni dotyczył centrum handlowego na południu Florydy. A może Vero Beach było na południu Florydy? Na Wybrzeżu Skarbów? Grali w tę grę od dawna: on mówił o swojej pracy, jakby ją to interesowało, a ona udawała, że tak jest.

–W takiej sytuacji będę mógł wrócić dziś wieczorem zamiast w poniedziałek, z czego bardzo się cieszę. Może pogram w tym tygodniu trochę w golfa. Wiatt zaprosił mnie w końcu na Riwierę.

–Mm-hm...

–Jak nasz mały?

–Jest tutaj. Poczekaj sekundę.

Podawała telefon Zacharemu.

–To tata. Bądź miły.

Kiedy chłopiec rozmawiał z ojcem, układała nowy plan dnia. Znaleźć sobie zastępcę na konferencję prasową burmistrza

w sprawie morderstw. Kazać służącej odebrać Zacha po lekcji tenisa. Zadzwoić do Briana i sprawdzić, czy może się urwać, a potem do hotelu Ramada z prośbą o wcześniejszą rezerwację. Jeszcze raz się dobrze popieprzyć, zanim jej wiecznie zajęty mąż wróci do miasta.

Musi zrobić wszystko, by to popołudnie było warte zapamiętania.

Rozdział 60

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Do: Suzie Cartoulis

Mieszkańcy Los Angeles oglądali cię codziennie w telewizji jako prezenterkę newsów. Zawsze sprawiałaś wrażenie, jakbyś rzeczywiście wiedziała, co się dzieje. Dobrze grałaś tę rolę. Ale dziś było inaczej, Suzie. Dziś ty sama stałaś się newsem.

Wiadomości podadzą, że Suzie Cartoulis i jej przystojnego kochanka, byłego mistrza siatkówki plażowej, znaleziono zaszlachtowanych w pokoju hotelowym. W takiej formie to podajecie, prawda? Zaszlachtowani. Ale niezależnie od tego, jak to nazwą w newsach, nikt nie będzie wiedział, jakim wzrokiem patrzyłaś na mnie, kiedy cię zabijałam. Nikt nie zobaczy twojego potwornego strachu, wstydu – i tego, co uznałam za szacunek.

Nie tak było dziś rano koło twojego frymuśnego domu w Pacific Palisades. Prawie wjechałaś we mnie twoim srebrnym kombi. Spój rżałaś nie na mnie, lecz

przeze mnie, jakby mnie nie było. Możesz mi wierzyć, Suzie, Robrze zapamiętuję takie rzeczy.

Potem zajęłaś się swoimi codziennymi sprawami, jakbyś o mnie zapomniała. Czułam, że ten dzień może być twoim ostatnim. Potem byłam już tego pewna. Najpierw patrzyłam, jak po raz ostatni żegnasz się ze swoim ukochanym synkiem. Zapewne nie docenia tego, co dla niego zrobiłaś – twoich wszystkich wyrzeczeń – ale będzie miał o czym myśleć później, kiedy ktoś inny będzie go odwoził do szkoły albo na treningi. Masz rację co do jednego: powinnaś była poświęcać mu więcej czasu. Powinnaś i mogłaś.

Potem jechałam za tobą do hotelu w West Hollywood. Z początku nie wiedziałam, po co tam jedziesz, ale dość szybko się zorientowałam, że nie umrzesz sama. Pasowaliście do siebie idealnie – ty i ten czarujący blondyn, z którym się spotkałaś. Wygralibyście każdy casting.

Widać było na pierwszy rzut oka, że to człowiek tego samego gatunku co ty. Mam rację? Brał udział w olimpiadzie, a teraz jest dyrektorem w twojej sieci. Taki sam karierowicz jak ty. Teraz macie jeszcze jedną rzecz wspólną – jesteście martwymi waśniakami, zabitymi przez kogoś nieważnego, osobę, której się nie widzi, kiedy się na nią patrzy.

Pozwoliłam wam spędzić ze sobą wiele rozkosznych chwil, zanim po was poszłam. Zostawiłam wam dość dużo czasu, żebyście poczuli się bezpiecznie w kokonie waszego oszustwa. Może nawet wystarczająco dużo, żebyście zdążyli zrobić wszystko, co sobie zaplanowaliście. Kiedy weszłam, zobaczyłam najpierw jego. Byłam z tego

bardzo zadowolona. Wiesz czemu? Bo chciałam, żebyś widziała, jak umiera. Zanim do ciebie strzeliłam, ujrzałam na twojej twarzy strach jak w dniu Sądu Ostatecznego. Potem przecięłam ten strach jedną kulą i przestałaś się bać na wieki. Przestałaś być kimś.



**Jesteś już nikim, Suzie Cartoulis.**

**Tak jak ja.**

**Rozdział 61**

**Byłem jeszcze w drodze, kiedy otrzymałem wiadomość o nowym zabójstwie dokonanym przez Mary Smith, tym razem potrójnym – pierwszym potrójnym zabójstwie w Los Angeles, przynajmniej z tego, co wiedzieliśmy. Wciąż jeszcze szukałem nici prowadzących do potrójnego morderstwa popełnionego przed sześcioma miesiącami w Nowym Jorku, ale moje postępy były niewielkie, a tymczasem została popełniona kolejna zbrodnia.**

**W apartamencie Ramada Plaża w West Hollywood znaleziono zwłoki Susan Cartoulis, laureatki nagrody dla najlepszej prezenterki wiadomości, oraz jej kochanka, Briana Convera, producenta programów sportowych w tej samej sieci. Zabita została również Mariah Alexander, studentka Uniwersytetu Kalifornijskiego. O co w tym wszystkim chodziło?**

**Jadąc, poprosiłem Page'a o przeczytanie mi przez telefon ostatniego e-maila od Mary Smith. Z tekstu wynikało, że jej celem była prezenterka. Pan Conver nie został wymieniony z nazwiska, nie było również wzmianki o Mariah Alexander.**

**–Co wiemy o Susan Cartoulis? – zapytałem Page'a. –**

**Czy ma jakieś wspólne cechy z poprzednimi ofiarami Mary Smith?**

**–W gruncie rzeczy tak. Pasuje do układanki. Zamężna,**

przystojna, na świeczniku. Filar lokalnych wiadomości o dzie-  
siątej. Do tego honorowy członek kampanii na rzecz utworzenia  
oddziału dla poparzonych dzieci w szpitalu Cedars-Sinai. Dzie-  
więcioletni syn. Następną wzorową mamusia.

–Z kochankiem na boku.

–Cóż, nikt nie jest doskonały. Czy nie sądzisz, że Mary to  
właśnie próbuje nam powiedzieć?

–Możliwe – mruknąłem.

Byłem pewny, że dziennikarze rzucą się na nowy łakomy  
kąsek jak sfera wściekłych psów. Zrobiło mi się żal męża  
Susan Cartoulis i jej małego syna. Zabicie matki i jej niewier-  
ność zostaną wywleczone na światło dzienne z najdrobniejszymi  
szczegółami.

–Myślisz, że to może być przyczyną zbrodni? – spytał  
Page. – Wzorowe matki, które wcale nie są wzorowe? Hipo-  
kryzja w rodzinie? Coś aż tak prostego?

–Jeśli nie, to znaczy, że Mary Smith z czymś się kryje.  
Ale byłoby to raczej dziwne u kogoś, kto tak wyraźnie przed-  
stawia swoje poglądy w e-mailach. Poza tym z tego, co  
wiemy, zamordowane wcześniej kobiety nie prowadziły po-  
dwójnego życia.

–Z tego, co wiemy – powtórzył z naciskiem Page. –  
Może warto przyjrzeć się temu bliżej?

–Zgoda. Spróbuj wokół nich powęszyć. Sprawdź, czy ci  
się nie uda znaleźć jakichś drobnych brudów, które zostały  
przeoczone. Porozmawiaj z Arnoldem Grinerem. Założę się, że  
ma jakieś tajne kanały informacyjne. Na tym w końcu polega  
jego zawód, prawda?

–Tajne źródło plotek, co? – Page roześmiał się. – Zoba-  
czę, co się da zrobić. Sprawdźę, czy uda mi się nakłonić Grinera  
do rozmowy o czymkolwiek poza nim samym.

–Jak się nazywała trzecia ofiara ostatniego morderstwa?  
Mariah Alexander?

–Tak. Była pokojówką w hotelu. Studentka. Prawdopodob-  
nie weszła do pokoju, używając klucza uniwersalnego.

–Jeszcze jedno – powiedziałem. – Gdyby ktoś się o mnie  
pytał, nie rozmawialiśmy ze sobą i nie wiesz, gdzie jestem.  
Page przez chwilę milczał.

–Jeśli ktoś mnie spyta, nie będę kłamał, ale sam się nie  
wychylę. Tak czy inaczej zaraz wyjeżdżam w teren.

–To mi wystarczy. A przy okazji... muszę przyznać, że

doskonale się spisujesz.

–Zapomniałeś dodać: „jak na surfera”.

–Sam to powiedziałeś, kolego.

## Rozdział 62

Dojechałem do Ramada Plaza w West Hollywood według wskazówek Karla Page'a i wysiadając, rozmyślnie zostawiłem moją komórkę w samochodzie. Nie chciałem, by ktokolwiek z biura kontaktował się ze mną w tym czasie, nawet dyrektor Burns.

Surowa recepcja w stylu Art Deco była cicha i przygnębiająca. Nad rzędem czekoladowych kanap zwiślały posępnie wyschnięte palmy. Prócz dwóch starszych kobiet przy kontuarze recepcjonisty nie widać było żadnych innych gości.

Kimkolwiek był dowodzący policyjną grupą – miałem nadzieję, że jest nim Jeanne Galletta – nakrył miejsce zbrodni kapeluszem. Jedynym znakiem, że na piętrze trwa akcja policyjna, byli dwaj funkcjonariusze przy windzie. Wszedłem schodami, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na korytarzu pierwszego piętra roіło się od policjantów z Los Angeles. Część była w rękawiczkach, białych butach i koszulkach polo z napisem *Grupa by mino logiczna*. Na twarzach wszystkich malowało się napięcie i przygnębienie.

Umundurowany funkcjonariusz zmierzył mnie wzrokiem.

–Kim pan jest? – spytał. Na jego plakietce widniało nazwisko Sandhausen. Pokazałem mu bez słowa moją legitymację i minąłem go. – Stój! – zawołał za mną.

–Sam sobie stój – odpowiedziałem i poszedłem dalej.

Drzwi do pokoju 223 były szeroko otwarte. Na ich zewnętrznej stronie przyklejono trzy naklejki – dwie ze skrzydlatą wróżką, trzecią z jednorożcem. Tę ostatnią umieszczono na judaszu. Wizytówki Mary Smith.

Dwie naklejki miały literę A, trzecia B.

Z boku stał wózek pokojówki.

–Czy jest tu gdzieś Jeanne Galletta? – zapytałem młodą policjantkę, która przeciskała się obok mnie, zamierzając wyjść na korytarz. Denerwowało mnie, że tylu ludzi kręci się po miejscu zbrodni.

Policjantka spojrzała na mnie z rozdrażnieniem.

–Zdaje się, że siedzi w biurze na dole. Nie wiem.

–Znajdź ją – poleciłem funkcjonariuszce, tracąc nagle cierpliwość. – Powiedz, że szuka jej Alex Cross. Będę tutaj. Przed wejściem do pokoju przygotowałem się psychicznie. Miałem uczucie, jakbym oblekał się w skórę kogoś innego, w jakiś kostium. Jednocześnie nie mogłem zapominać, iż mam do czynienia z istotami ludzkimi, a nie bryłami mięsa. Gdybym się stał do tego stopnia niewrażliwy, musiałbym poszukać sobie innego zajęcia. Może zresztą i tak powinienem to zrobić. To, co zobaczyłem, było tak makabryczne, jak można się było spodziewać po Mary Smith.

Zauważyłem jednak także kilka odrażających szczegółów, na które nie byłem przygotowany.

### Rozdział 63

Łazienka przypominała rzeźnię.

Mariah Alexander, dziewiętnastoletnia pokojówka hotelowa, leżała w wannie na plecach, z głową odchyloną pod niemal nieprawdopodobnym kątem w stosunku do korpusu. Pocisk rozdarł jej gardło, więc nawet nie mogła krzyczeć. Jej długie, czarne, kręcone włosy były pozlepiane krwią. Pokrywające całą ścianę bryzgi krwi świadczyły o rozerwaniu tętnicy szyjnej. Na kafelkowej podłodze, w pobliżu przewieszonych przez krawędź wanny nóg dziewczyny, leżał ciężki pęk kluczy. Moim pierwszym przypuszczeniem było, że Mary Smith sterroryzowała młodą kobietę pistoletem, kazała jej otworzyć drzwi do pokoju, po czym wepchnęła ją do łazienki i zastrzeliła – wszystko to musiało nastąpić bardzo szybko. Susan Cartoulis i pan Conner byli pewnie wtedy w pokoju, oddzielnym od łazienki krótkim korytarzem.

Któreś z nich – prawdopodobnie Conner – poszło zoba-

**czyć, co się dzieje.**

**Sądząc po śladach krwi na dywanie, Mary Smith spotkała się z Converem w połowie korytarzyka między pokojem i łazienką. Teraz jednak jego ciało spoczywało na łóżku obok Susan Cartoulis. Kochankowie leżeli obok siebie, twarzami do góry. Oboje byli nadzy – kolejny pierwszy przypadek w okolicz-**

nościaceli towarzyszących morderstwom popełnionym przez Mary Smith – ale prawdopodobnie byli już rozebrani, zanim zabójczyni tam weszła.

Na podbrzuszach obu ofiar i na piersiach pani Cartoulis leżały poduszki, dziwaczne przypomnienie o skromności. Zabójca był osobą bardzo skomplikowaną i jednocześnie stukniętą. Niespójność jego działań zdumiewała i przerażała. Przynajmniej mnie.

Jedną z nich było staranne zasłanie podwójnego łóżka. Być może Cartoulis i Conner nie korzystali z niego podczas aktu seksualnego, przeczyły temu jednak napoje i opakowanie po prezerwatywie na szafkach nocnych.

Czy to możliwe, żeby Mary Smith po zamordowaniu trojga ludzi posłała łóżko? Jeśli tak, zrobiła to z dużą wprawą. Już dawno temu Nana nauczyła mnie, jak odróżnić staranne zasłanie łóżka od niedbałego. Najwyraźniej Mary Smith również знаła tę różnicę.

Starannie wygładzone przykrycie było przesiąknięte krwią, zwłaszcza wokół pani Cartoulis. Obie ofiary otrzymały strzał w głowę, prócz tego twarz Cartoulis pocięto nożem w charakterystyczny dla Mary Smith sposób. Na twarzy Connera zachował się wyraz przedśmiertnego przerażenia, ale twarz Cartoulis stanowiła niczego niewyrażającą krwawą pulpę.

Przypomniałem sobie szczegóły morderstwa popełnionego na Antonii Schiffman w jej domu – staranność obok niedbałości. Jeden zabójca – dwa całkowicie różne sposoby działania.

Co ona sobie, do diabła, myślała? O co jej chodziło?

Parę minut później pojawiła się jeszcze bardziej zastanawiająca niejasność. Obok łóżka Susan Cartoulis leżał na krześle skórzany żółty portfel z jej prawem jazdy i kartami kredytowymi.

Przeglądając go, zauważyłem, że znajdujące się w nim dokumenty są starannie uporządkowane, ale kilka plastikowych kieszonek jest pustych. Te puste miejsca sprawiły, że przeszły mnie ciarki.

–Psiakrew – powiedziałem głośno. – Fotografie.

Jeden z techników kryminalistycznych spojrział na mnie.

–Znalazł pan coś?

–Czy wiadomo, gdzie jest mąż Susan Cartoulis? – zapytałem.

–Podobno na pokładzie samolotu lecącego z Florydy.

**Czemu?**

**–Chcę wiedzieć, czy miała w portfelu rodzinne zdjęcia.**

**Pytanie było czysto formalne, bo znałem odpowiedź niemal ze stuprocentową pewnością. To byłby drugi przypadek zainteresowania się rodzinnymi zdjęciami przez Mary Smith. Już nie tylko pozbawiała dzieci matek, ale także niszczyła lub kradła ich fotografie. Jej działania stawały się coraz bardziej nieobliczalne, a e-maile wyrażały rosnącą pewność siebie.**

**Jak trudna i zawiła czeka mnie jeszcze droga? I dokąd mnie zaprowadzi?**

**Wiedziałem, że nigdy bym sobie nie darował, gdybym nie ujął Mary Smith, zanim zwróci się przeciw samym dzieciom.**

**Bałem się jednak, że może to niebawem nastąpić.**

**Rozdział 64**

**–Czy mógłby pan poświęcić mi chwilę, doktorze Cross?**

**Muszę z panem porozmawiać.**

**Podniósłszy głowę, zobaczyłem na progu Jeanne Gallette.**

**Na jej twarzy widać było napięcie; wyglądała starzej, niż kiedy się poprzednio widzieliśmy, i szczuplej, jakby niepotrzebnie odchudziła się o parę kilogramów.**

**Wyszliśmy na korytarz.**

**–Co się stało? Chyba mi nie powiesz, że zdarzyło się coś nowego?**

**–Nie chcę tego na razie rozgłaszać – powiedziała cicho zmęczonym głosem. – Pewna kobieta zauważyła odjeżdżający w pośpiechu z parkingu przed hotelem niebieski suburban. To było koło drugiej. Podobno niczego więcej nie zauważyła. Może byś ją przesłuchał, porównamy obydwie zeznania, a potem zdecyduję, co z tym zrobić.**

**Byłem pewny, że jej myśli biegną tym samym torem co moje: w sprawie waszyngtońskiego snajpera z 2002 roku wprawiono w ruch poszukiwania białej furgonetki z czarnym napisem, która okazała się fałszywym śladem. To był koszmar zarówno dla tropicieli, jak i dla mediów – błąd, którego nie chciała powtórzyć policja Los Angeles.**

**–Mógłbyś to zrobić teraz? Byłabym ci zobowiązana. To by nam bardzo pomogło – dodała. – Jeśli warto pójść tym tropem, chciałabym zacząć natychmiast.**

Nie było mi to na rękę, bo miałem tu jeszcze mnóstwo do zrobienia. Gdyby nie stres Jeanne, pewnie bym jej odmówił.

–Daj mi pięć minut na dokończenie tego, co zacząłem – odparłem. – Zaraz zejdę na dół.

Poprosiłem Jeanne, by wyświadczyła mi przysługę i zapytała Giovanniego Cartoulisa o brakujące fotografie w portfelu jego żony. Nie posuwało to sprawy naprzód, dobrze było jednak wiedzieć, czy Mary Smith ukradła rodzinne zdjęcia. Prócz tego należało wyeliminować Giovanniego Cartoulisa z kręgu podejrzanych, podobnie jak mężów poprzednich ofiar. Jeanne i jej ludzie od razu się tym zajęli. Dostałem już nawet ich raporty.

–O czym myślisz? – spytała Jeanne. Stała nieruchomo na korytarzu, patrząc na mnie. – Zniosą to, cokolwiek by to było. Przynajmniej mam taką nadzieję.

–Wyluzuj. Niech to gównem cię nie załamuje. Prowadzisz tę sprawę lepiej, niż zrobiłby to ktokolwiek inny, ale chyba za bardzo się tym przejmujesz.

Ściągnęła brwi.

–Cóż... dzięki. Pewnie okropnie wyglądam.

–Wyglądasz całkiem dobrze, tylko po prostu nie tak dobrze jak zwykle. Jesteś blada, Jeanne, ale to pewnie z powodu stresu. Nikt nie jest w stanie tego pojąć, dopóki sam czegoś takiego nie zazna.

Wreszcie się uśmiechnęła.

–Wiem, że wyglądam jak pieprzony szop pracz. Mam sińce pod oczami.

–Przepraszam.

–W porządku. Muszę lecieć.

Przypomniałem sobie o jej zaproszeniu na kolację i mojej gamoniowatej odmowie. Gdybyśmy jeszcze przez kilka sekund postali w tym korytarzu, teraz to ja bym ją zaprosił, ale Jeanne już nie było, a wraz z nią przepadł stosowny moment.

Poza tym czekało mnie przesłuchanie.

Niebieski suburban?

## Rozdział 65

To nie pół tuzina kolczyków na twarzy Bettiny Rodgers ani tatuaże węży pokrywające jej ramiona sprawiały, że miałem zastrzeżenia do tego, co mi przed chwilą powiedziała. Była jedynym świadkiem i jej zeznania należało przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza. Moja nieufność wynikała raczej z faktu, iż na ogół pamięć naocznych świadków bywa nieprecyzyjna, więc także mało wiarygodna. Statystyki FBI dają im pięćdziesiąt



procent dokładności nawet po pięciu minutach od chwili incydentu, a moja rozmowa z tą kobietą odbyła się przynajmniej dwie godziny później.

Ale pewność Bettiny była niezachwiana.

–Byłam wtedy na parkingu – powtórzyła po raz trzeci. – Zapuszczałam mój samochód, kiedy nagle z tyłu wyrwał się jakiś suburban i popędził w stronę bulwaru Santa Monica. Tak mu się spieszyło, że aż się odwróciłam, żeby na niego popatrzeć.

Wiem na pewno, że miał niebieski kolor i że to był suburban, bo taki sam ma moja mama. Jeździłam nim tysiące razy.

Ubawiłam się, bo moja mama też jeździ jak wariatka.

Na moment zamilkła, a potem dodała:

–Z parkingu skręcił na dużym gazie w lewo. To wszystko, co wiem. Czy możecie mnie już, do cholery, puścić?

Dokładnie to samo opowiedziała wcześniej Galletcie, ale miałem do niej jeszcze parę dodatkowych pytań.

–Czy samochód miał jakieś znaki szczególne? – zapytałem. – Nalepki na zderzakach, dziury, coś z tych rzeczy?

Wzruszyła ramionami.

–Widziałam go tylko z boku i jak już mówiłam, jechał bardzo prędko. Oczywiście jak na suburba. Nie zauważyłam ani tablicy rejestracyjnej, ani niczego innego.

–Zauważyłaś, kto nim jechał? Czy w samochodzie był jeszcze ktoś prócz kierowcy?

W zamyśleniu bawiła się jednym ze srebrnych kolczyków w brwiach. Miała mocno umalowane oczy i grubą warstwę białego pudru na policzkach. Nic o niej nie wiedziałem, przypomniała mi jednak o istnieniu w większych miastach grup kultu wampirów, z którym zetknąłem się przed paru laty podczas jednego ze śledztw. Przekonałem się wówczas, jak bystry potrafią być jego wyznawcy, choć mieli opinię cywilizacyjnych odszczepieńców.

Po namyśle potrząsnęła głową.

–Chciałabym móc powiedzieć, że prowadziła go kobieta, bo to by pasowało, prawda? Mam na myśli tę popierdoloną dziwkę, Bestię z Hollywood, bo to o niej mowa, prawda? Nie udawaj, wiem, że chodzi właśnie o nią. Powiedział mi jeden glina.

Nie odzywałem się, dając jej czas na przypomnienie sobie czegoś więcej. Po chwili znów wzruszyła ramionami.

–Niebieski suburban, pryskający z parkingu jak nietoperz z piekła. Tyle wiem na pewno. Nic więcej.

Fakt, iż nie starała się koloryzować, podając tylko te szczegóły, których była pewna, umocnił moją wiarę w prawdziwość jej zeznania. Wielu przesłuchiwanym często mówi nieprawdę tylko po to, by zadowolić przesłuchującego. Parę minut później podziękowałem Bettinie za pomoc i zwolniłem ją.

Następnie odszukałem detektyw Gallettę, żeby się z nią podzielić swoimi spostrzeżeniami. Spotkaliśmy się w wolnym pokoju na piętrze. Jeanne powiedziała mi, że jeden z gości hotelowych potwierdził zeznanie Bettiny.

–Okolo drugiej po południu zobaczył ze swojego pokoju na drugim piętrze duży ciemnoniebieski samochód terenowy, wyjeżdżający z parkingu. Powiedział, iż choć nie widział zbyt wyraźnie jego wnętrza, niewykluczone, że za kierownicą siedziała kobieta.

–Nawet jeżeli tak, wcale nie musiała nią być Mary

**Smith – zauważyłem. – Ale to już pewien postęp: dwoje świadków widziało ten sam samochód, odjeżdżający w pośpiechu.**

**Jeanne w milczeniu kiwała głową, rozważając tę kwestię.**

**–W takim razie mamy pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów: ogłosić poszukiwania niebieskiego suburbańczyka czy nie? Obie opcje były dość ryzykowne. Powiedziałem to Jeanne, żeby nie pomyślała, że trzymam tę opinię dla siebie.**

**–Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem – stwierdziłem. – Mary Smith nie zwalnia tempa, wprost przeciwnie, wydaje się je zwiększać. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że dla przyspieszenia naszych poszukiwań powinniśmy wykorzystać prasę. Tyle że ludzie są już mocno wystraszeni i będą zgłaszali nam każdy niebieski suburban... a może nawet każdy niebieski samochód terenowy, jaki zauważą. Jeżeli okaże się to niewypałem, opinia publiczna będzie miała dodatkowy powód, by nie ufać policji, ale jeśli doprowadzi cię do Mary Smith, wszystko dobrze się skończy, a ty zostaniesz bohaterką.**

**–Rosyjska ruletka – mruknęła sarkastycznie.**

**–Owszem.**

**–Szczepnie mówiąc, nie interesuje mnie zostanie bohaterką.**

**–Takie rzeczy przychodzą same, nawet jeżeli tego wcale nie chcemy.**

**Wreszcie się uśmiechnęła.**

**–Amerykański Sherlock Holmes. Przeczytałam gdzieś taką opinię o tobie.**

**–Nie wierz wszystkiemu, co piszą.**

**Niemal słyszałem zegar, tykający w jej mózgu, ale może to było bicie mojego serca.**

–No dobrze – powiedziała, spoglądając na zegarek. –  
Zaczynam. Muszę o tym poinformować departament, ale jeśli  
zrobię to zaraz, zdążymy zwołać konferencję prasową przed  
najwcześniejszymi wiadomościami.

Wychodząc, zatrzymała się jeszcze przed drzwiami.

–Chryste, mam nadzieję, że nie popełniam błędu.

–Ruszaj – ponagliłem ją.

–Jedź ze mną, Alex, dobrze?

–Dobrze. Mimo że nazwałaś mnie Sherlockiem Holmesem.

## Rozdział 66

To było niewątpliwie wydarzenie. Oczywiście zjawił się także  
James Truscott. Na konferencję prasową przybyli przedstawi-  
ciele wszystkich liczących się mediów. Niebieski suburban miał  
się stać sensacją pierwszych stron gazet, dopóki nie wydarzyło-  
by się coś przełomowego w śledztwie dotyczącym morderstw  
w Hollywood. Mieliśmy nadzieję, że będzie to znalezienie  
suburbana, a w konsekwencji Mary Smith, kobiety bądź męż-  
czyzny.

Nie wystąpiłem obok Jeanne Galletty przed kamerami, ale  
spotkałem się z nią parę minut po zakończeniu konferencji.  
Była otoczona ze wszystkich stron ludźmi wyrażającymi jej  
słowa uznania i zachęty, lecz kiedy wyszedłem z sali, przerwała  
krąg i podeszła do mnie.

–Dzięki za dobrą radę – powiedziała. – Jestem ciekawa,  
jak wypadłam w telewizji. Przypuszczam, że wyglądałam jak  
jakiś cholerny szop pracz.

–Nie. Chociaż właściwie tak. – Uśmiechnąłem się. –

Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś: „Trzeba jeść”? Nadal tak  
uważasz?

Jej twarz się zachmurzyła.

–Och, Alex, nie dzisiaj... A zresztą niech tam, chodźmy  
coś zjeść. – Mrugnęła do mnie i uśmiechnęła się. – Chyba

rzeczywiście jestem głodna. Na co masz ochotę? Lubisz włoską  
kuchnię?

–Uwielbiam.

W drodze do restauracji wstąpiliśmy do jej mieszkania.

Upała się, żeby tam na chwilę wpaść.

–Muszę przejrzeć się we własnym lustrze, w oświetleniu,  
które znam i do którego mam zaufanie. To mi zajmie pięć  
minut... najwyżej siedem. Chodź ze mną. Przyrzekam, że się na  
ciebie nie rzucę.

**Roześmiałem się i wszedłem za nią do budynku z czerwonej cegły przy jakiejś przecznicy odchodzącej od Santa Monica.**

**–Może jednak się na ciebie rzucę – powiedziała, kiedy szliśmy po schodach do jej mieszkania.**

**Zrobiła to, gdy tylko zamknęły się za nami drzwi. Odwróciła się, otoczyła mnie ramionami, pocałowała i wypuściła z objęć.**

**–Hm... to było przyjemne. Ale niebezpieczne, doktorze.**

**Dziesięć minut, tak jak obiecałam.**

**–Powiedziałaś siedem.**

**Poszła korytarzem do sypialni i do światła, któremu ufała.**

**Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak ożywionej i na luzie. Z dala od biura i obowiązków była zupełnie inną osobą.**

**Nie było jej nieco dłużej niż siedem minut, lecz zmiana, jaka się w niej dokonała, była tego warta. Zawsze wydawała mi się atrakcyjna, jednak w pracy była nieustępliwa i pryncypialna.**

**Teraz – stojąc przede mną w jedwabnej koszulce, dżinsach i sandałkach – detektyw Jeanne Galletta w pełni objawiła swoją kobiecość.**

**–Wiem, wiem, wyglądam okropnie – powiedziała, choć oboje wiedzieliśmy, że jest dokładnie odwrotnie. Nagle uderzyła się ręką w czoło. – Zapomniałam zaproponować ci drinka.**

**Boże, co się ze mną dzieje?**

**–Mieliśmy wpaść do ciebie tylko na pięć minut – powiedziałem.**

**–No dobrze, wobec tego chodźmy. Noc czeka na nas.**

**Nie mogłem wyzwolić się spod wrażenia, jakie wywarł na**

mnie dotyk jej ciała i smak jej warg. Co więcej, byłem teraz wolny. Ale czy rzeczywiście tak było? Zaczynałem mieć mętlik w głowie. Tymczasem Jeanne wyprowadziła mnie na korytarz, gdzie znów się odwróciła i stanęła naprzeciw mnie. Tym razem byłem przygotowany. Objąłem ją i pocałowaliśmy się. Pocałunek trwał dłużej i smakował jeszcze lepiej niż poprzedni. Pachniała bosko, dotyk jej ciała przyprawiał mnie o zawrót głowy, a piękne brązowe oczy patrzyły kusząco. Ujęła moją rękę, próbując wciągnąć mnie z powrotem do mieszkania.

–Ubrałaś się, żeby wyjść – powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

–Nie, ubrałam się dla ciebie.

Musiałem użyć całej siły woli, żeby oprzeć się pokusie.

–Chodźmy coś zjeść, Jeanne.

Uśmiechnęła się.

–W porządku, chodźmy coś zjeść, Alex.

Rozdział 67

Alicia Pitt wyjechała z Las Vegas o czwartej ran0- Casting w Los Angeles zaczynał się o 9.00, musiała więc clotrzeć na miejsce znacznie wcześniej. Nie chciała dostać numeru trzysta pięć w kolejce blond kociaków, gdyż wtedy rolę otrzymałaby któraś z dziewczyn przed nią, zanim Alicia w ogóle miałaby szansę wyrecytować tekst.

Suburban jej rodziców, nazwany przez nich WielRim Błękitem, był przede wszystkim pożeraczem paliwa. Przejazd sporo kosztował, ale gdyby jej się powiodło, ten wydatek by się opłacił. Jeśli uda jej się zaczepić, może będzie ją stać na wynajęcie mieszkania w Los Angeles. Skończyłyby się ciągle peregrynacje na przesłuchania i castingi.

Jadąc autostradą 1-10 na zachód, powtarzała tekst, starając się jak najrzadziej zaglądać do leżącego na siedzeniu obok niej scenariusza z oślimi uszami. Trwało to niemal przez całą drogę do Los Angeles.

„Nie chcę słyszeć o dumie. Wystarczy mi to, co posiedziałaś. Możesz...”.

Chwileczkę, chyba coś się nie zgadza. Zajrzała do scenariusza, po czym znów uniosła głowę i popatrzyła na drogę.

„Nie chcę słyszeć o dumie. Już mi o niej mówiłaś. Cokolwiek powiesz, już ci nie uwierzę. Możesz...”. Cholera, znowu wszystko poplątała. Co ja robię? Boże, jaka ja jestem tęp#!

Rozkojarzona i zdenerwowana, zjechała w złym miejscu z autostrady i znalazła się w nieznannej części miasta. Zatrzymała się na jakimś skrzyżowaniu ze światłami.

Była w Los Angeles, lecz z całą pewnością nie na bulwarze Wilshire.

Rozglądając się po otoczeniu, zorientowała się, że nigdy tu jeszcze nie była. Większość budynków była niezamieszкана, przy przeciwległym krawężniku stał spalony samochód. Potem zobaczyła trzech młodych mężczyzn, a właściwie wyrostków. Stali na rogu jednej z krzyżujących się ulic, obserwując ją.

Wszystko w porządku, powiedziała sobie. Nie ma się czego bać. Wystarczy zakręcić i wrócić na autostradę.

Czekała niecierpliwie na zmianę światła, szukając wzrokiem wjazdu na I-10. Jeden z wyrostków wszedł na skrzyżowanie. Przechylił głowę, żeby przyjrzeć się jej przez przednią szybę. Był ubrany w workowate spodnie i niebieską bluzę od dresu; miał nie więcej niż szesnaście lub siedemnaście lat.

Pozostali dwaj również ruszyli w stronę suburba. Zanim Alicia zdecydowała się przejechać skrzyżowanie na czerwonym świetle, stanęli przed maską, zagradzając jej drogę. Psiakrew! Co teraz?

## Rozdział 68

Zamknęła na moment oczy. Co powinna teraz zrobić? Dlaczego nigdy nie pomyślała o tym, by kupić sobie telefon komórkowy? Hm, pewnie dlatego, że była kompletnie splukana. Kiedy znów otworzyła oczy, ten w niebieskiej bluzie stał przy bocznym okienku. Miał na szyi tatuaż przedstawiający czerwonego smoka i patrzył na nią wrogo.

Mimo woli krzyknęła. Niezbyt głośno, ale to wystarczyło, by intruz się zorientował, jak bardzo jest przestraszona.

Jej strach narastał. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że chłopak w niebieskiej bluzie coś do niej mówi. Trzymał płasko obie dłonie, w geście mającym znaczyć: „Uspokój się”.

Otworzyła okienko samochodu.

–C-co p-powiedziałeś? – spytała, nie mogąc ukryć drżenia głosu.

–Spytałem, czy zablądziłaś. Tylko o to spytałem. Czy zablądziłaś? Wygląda na to, że tak.

Alicia z trudem powstrzymywała łkanie.

–Tak. Bardzo mi przykro. – To był jej najgorszy nawyk: zawsze za wszystko przepraszała. – Szukam...

**–Spytałem, czy nie zabłądziłaś, bo wiem, że tu nie miesz-  
kasz – powtórzył wyrostek. Wyraz jego twarzy znów się  
zmienił, z powrotem stał się wrogi. Dwaj pozostali roześmiali  
się. – To twój samochód?**



Strach i zmieszanie wywołały w niej uległość, której nienawidziła. Myślała tylko o tym, żeby odpowiedzieć na zadane jej pytanie.

–Moich rodziców.

Chłopak w niebieskiej bluzie podrapał się po brodzie, jakby się nad czymś zastanawiał.

–Cała policja Los Angeles szuka takiego samochodu jak ten – powiedział w końcu. – Nie czytasz gazet ani nie oglądasz telewizji?

–Próbuję tylko dostać się do Westwood na casting. W złym miejscu zjechałam z autostrady i znalazłam...

Chłopak zaśmiał się głośno i obejrzał na swoich kompanów.

–Chce dojechać do Westwood, żeby grać w filmie. W filmie! Tego się, kurwa, spodziewałem. – Znów odwrócił się do niej, jego ruchy były powolne i lekceważące. – Od razu wiedziałem, że nie interesuje cię nikt ani nic w tej okolicy.

–Jasne – warknął jeden z pozostałych wyrostków. –

Zabija tylko w dzielnicy bogaczy.

–Mnie to nie przeszkadza – stwierdził drugi. – Niech sobie zabija bogaczy, niech ich nawet zjada, wszystko mi jedno.

–O czym wy mówicie? – Spojrzała po kolei na każdego z nich, starając się cokolwiek zrozumieć. Chciała się zorientować, co powinna zrobić lub powiedzieć, żeby się stąd wydostać. Jej rozbiegane oczy napotkały lusterko wsteczne. Może spróbować wyjechać tyłem? Najszybciej jak się da.

Wyrostek przy oknie uniósł bluzę, odsłaniając zatknięty za pasem pistolet.

–Nawet nie próbuj.

Przyszła jej do głowy okropna myśl, że może zostać zamordowana, zanim wypije pierwszą poranną kawę.

–B-błagam was... N-nie róbcie mi k-krzywdy... P-proszę... – wyjąkała.

Usłyszała w swoim głosie strach i bezradność. To było tak, jakby mówiła nie ona, tylko ktoś inny, wypowiadający teatralną kwestię. Boże, podobno była aktorką.

Facet w niebieskim dresie powoli kiwał głową. Nie wiedziała, co to miało znaczyć. Odstąpił od samochodu i gestem ręki kazał jej jechać.

–Do autostrady tamtędy – powiedział. Dwaj pozostali również odeszli na bok.

Alicia miała wrażenie, że za moment zemdleje z ulgi.

**Uśmiechnęła się blado do wyrostków.**

**–Dziękuję. Przepraszam za wszystko – wymamrotała.**

**Jej ręce na kierownicy nadal drżały, lecz wreszcie poczuła się bezpieczna.**

**Ledwie ruszyła, przednia szyba suburbańska rozprysnęła się z przerażającym trzaskiem na milion kawałeczków. Zaraz potem metalowa rura rozbiła boczne okienko od strony kierowcy.**

**Alicja poczuła, że ogarnia ją paraliż. Jej ręce i nogi przestały funkcjonować. Nie mogła też mówić ani krzyczeć.**

**Myśl, żeby przycisnąć pedał gazu do deski, pojawiła się za późno – sekundę po tym, gdy drzwi samochodu stanęły otworem i silne ręce wywlokły ją na ulicę. Wylądowała na plecach, wypchnięte z jej płuc powietrze zaświstało głośno.**

**–Masz za swoje, głupia dziwko! – usłyszała czyjś głos i poczuła przeszywający ból w skroni. Zaraz potem zobaczyła nad głową metalową rurę, która zaczęła bardzo prędko opadać w dół, dokładnie nad środkiem jej czoła.**

## **Rozdział 69**

**W sprawie Mary Smith wszystko uległo nagłej zmianie po zabójstwie Alicji Pitt. Odebrano detektyw Galletcie prowadzenie śledztwa i nie pozwolono się do niego wtrącać.**

**Próbowałem bronić Jeanne, ale moje wstawiennictwo nic nie dało. Shrewsbury, komendant policji Los Angeles, ogłosił wieczorem, że sam będzie się zajmował Bestią z Hollywood, a detektyw Jeanne Galletta zostaje zawieszona za doprowadzenie do tragicznej śmierci młodej kobiety z Las Vegas, która przyjechała do miasta niebieskim suburbanem.**

**Jeanne była niepokonana. Podczas pracy nad sprawą Mary Smith doświadczyła niemal wszystkiego, łącznie z odegraniem roli kozła ofiarnego.**

**–Burmistrz Las Vegas kazał burmistrzowi Los Angeles pouczyć komendanta policji, jak należy prowadzić śledztwo – żaliła się przede mną. – Kiedy wreszcie politycy przestaną się wtrącać do roboty profesjonalistów?**

**–Może na początku nowej ery – mruknąłem.**

**Spotkaliśmy się o ósmej wieczorem na drinku. Jeanne sama mi to spotkanie zaproponowała, mówiąc, że chce się upewnić, czy przekazała mi wszystkie informacje, które mogły okazać się potrzebne przy dalszym prowadzeniu śledztwa. Rzecz jasna chciała się przy okazji wylądować.**

–Wiem, że Alicia Pitt to mój błąd, ale...

–Przestań, Jeanne. Nie jesteś odpowiedzialna za jej śmierć. Wprawdzie stało się to w następstwie podjętej przez ciebie decyzji, ale nie było w tym twojej winy. Zrobiłaś, co powinnaś. Reszta to polityka. W żadnym wypadku nie powinni byli odbierać ci sprawy.

Milczała przez chwilę.

–Sama nie wiem – powiedziała w końcu. – Ta biedna dziewczyna nie żyje.

–Masz jeszcze trochę urlopu? – spytałem. – Może dobrze by było, gdybyś z niego skorzystała.

–Nie mogłabym teraz wyjechać z miasta – oświadczyła. – Mogę nie prowadzić śledztwa, ale nie potrafiłabym... Nie dokończyła, lecz wiedziałem, co ma na myśli. Byłem już kiedyś w jej położeniu.

–Będę potrzebowała twojej pomocy – dodała po chwili. – Właśnie dlatego chciałam się z tobą dzisiaj spotkać.

–Rozumiem – odparłem. – Wiesz, jak się ze mną skontaktować.

Uśmiechnęła się w końcu.

–Jesteś naprawdę fajnym facetem – powiedziała. – Jak na agenta FBI.

–A ty dobrym gliną. Jak na policjantkę z Los Angeles.

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i przykryła nią swoją dłoń, ale po chwili ją cofnęła.

–Niewygodnie tak siedzieć – stwierdziła i znów się uśmiechnęła. – Przepraszam, jeśli się wygłupiłam.

–To zwykły ludzki odruch, Jeanne. Nie musisz za niego przeproszać.

–Dobrze, nie będę więcej przeproszała. Pójdę już, bo zaraz się rozplaczę albo zrobię coś równie żalospnego. Jeśli będę ci potrzebna, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wstała od stolika, lecz zanim doszła do drzwi, odwróciła się jeszcze.

–Nie przestanę interesować się tą sprawą. Będę w odwodzie.

Rozdział 70

Kiedy wróciłem wieczorem do hotelu, w recepcji czekała na mnie przesyłka. Jej nadawcą był James Truscott.

Idąc do pokoju, zacząłem czytać przesłany mi przez dziennikarza tekst i przez całą drogę nie mogłem się od niego oderwać.

TEMAT: KOBIETY SKAZANE NA ŚMIERĆ W STANIE

## KALIFORNIA, CZEKAJĄCE NA EGZEKUCJĘ

Było ich piętnaście. Do nazwiska każdej z nich Truscott dołączył krótką charakterystykę.

Pierwszą z tej piętnastki była Cynthia Coffman. W 1986 roku ona i jej kochanek obrabowali i udusili cztery kobiety. Została skazana na śmierć w 1989 i nadal czekała na egzekucję. Miała teraz czterdzieści dwa lata.

W podsumowaniu Truscott napisał, że ma zamiar niektóre z nich odwiedzić w więzieniu. Zaproponował, bym mu towarzyszył, gdybym uznał, że to mi się może przydać.

Przeczytawszy cały wydruk do końca, przekartkowałem powtórnie wszystkie strony.

Truscott był dla mnie zagadką. Dlaczego uparł się, żeby zostać moim Boswellem?

Wolałbym, żeby po prostu zostawił mnie w spokoju, ale było to marzenie ściętej głowy.

### 216

#### Rozdział 71

W nocy miałem sen, którego bohaterami byli Alex i Christine, lecz jego treść wyleciała mi z głowy, gdy o 2.30 zbudził mnie telefon. Pierwszą moją przytomną myślą było, że dzwoni James Truscott, jednak to nie był on.

Okolo 3.00 jechałem nieznaną mi okolicą Hollywood, szukając kompleksu bloków mieszkalnych. Za dnia znalazłbym go łatwiej, poza tym zadanie utrudniały chodzące mi przez całą drogą po głowie gorączkowe myśli.

Mary Smith zaatakowała ponownie, a ja usiłowałem zrozumieć, jaki był sens tego ostatniego morderstwa, tak odmiennego od poprzednich. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego były dwie ofiary?

W końcu znalazłem cel mojej nocnej wyprawy. Kompleks budynków z lat siedemdziesiątych. Poszczególne domy były trójkondygnacyjnymi konstrukcjami z ciemnego cedru, wspierającymi się na grubych kolumnach, miały płaskie dachy, a przed całym kompleksem znajdował się otwarty parking. Zauważyłem, że na ulicy również jest parking, umożliwiający obserwacją terenu anonimowemu obserwatorowi.

–Agencie Cross! Alex! – usłyszałem dobiegające z ciemności wołanie.

Był to głos Karla Page'a. Spojrzałem na zegarek. Była 3.05.

### 217

Spotkaliśmy się pod latarnią.

–Tędy – powiedział Page.

–Jak się o tym dowiedziałeś? – spytałem go. To on zadzwonił do mnie do hotelu.

–Byłem jeszcze w biurze.

–Kiedy ty, do cholery, śpisz?

–Wyśpię się, jak to wszystko się skończy.

Prowadzony przez mojego młodego asystenta, minąłem szeregi zakrętów w prawo i lewo, dochodząc do miejsca, gdzie ciągi budynków tworzyły zamknięty kwadratowy obszar ze wspólnym ogrodem i basenem. Wokół jednego z frontowych wejść zgromadzili się mieszkańcy, większość z nich była w piżamach. Szeptali do siebie i wyciągali szyje, chcąc zajrzeć do środka.

Page wskazał mieszkanie na drugim piętrze, w którym za zaciągniętymi zasłonami paliło się światło.

–Tam znaleziono ciała – wyjaśnił.

Minęliśmy funkcjonariuszy pilnujących wejścia do budynku.

–Jej podpis. – Page pokazał mi naklejki na drzwiach jednego z mieszkań, gdy znaleźliśmy się na górze. Dwie z literą A i jedna z B. Niewątpliwie Mary Smith. Naklejki za każdym razem przypominały mi błazeńską lalkę z *Poltergeista* - o miłej powierzchowności, ale złowrogą. Dziecięce obrazki zamieniły czarne na białe i odwrotnie.

Drzwi prowadziły do sporego salonu, zawałonego tekturowymi pudłami i chaotycznie porozstawianymi meblami. Na beżowym dywanie poniewierało się kilkadziesiąt książek, część z nich była poplamiona krwią. Obok ciała leżały egzemplarze „The Hours” i „Running with Scissors”.

–Philip Washington – poinformował mnie Page. – Trzydzieści pięć lat, urzędnik banku inwestycyjnego Merrill Lynch. Jak widać, miłośnik literatury.

–Podobnie jak ty – mruknąłem.

Nie było żadnego powodu pozostawiania ciała w taki sposób, bez żadnego przykrycia. Najwyraźniej zabójca bardzo się spie-

szął, obawiając się, że mogą go usłyszeć sąsiedzi i nie zdąży uciec.

Ale Philip Washington nie był jego jedynym celem. W pobliżu leżało na podłodze drugie ciało, twarzą do góry. Obraz tej drugiej ofiary miał mnie prześladować przez lata, nie potrafiłem wymazać go z pamięci.

W lewej skroni mężczyzny ziała ohydna rana – miejsce, któredy wszedł pocisk. Twarz została zmasakrowana: wokół czoła i oczu była pokrojona wzdłuż i w poprzek wieloma cięciami noża, a obydwie policzki, zastygłe w niemym krzyku, przebito na wylot.

Patrzyłem na ciało, próbując połączyć jego widok z wydarzeniami, które doprowadziły do tej zbrodni. Dręczyły mnie dwa pytania: czy w jakiś sposób przyczyniłem się do tego morderstwa i czy powinienem był je przewidzieć?

Zamordowany człowiek, na którego patrzyłem, prawdopodobnie znał odpowiedź na nie – ale tym razem Arnold Griner, redaktor „LA Timesa”, już nam nie mógł pomóc w sprawie Mary Smith, gdyż to właśnie on był drugą ofiarą.

## Część 4

### Niebieski suburban

#### Rozdział 72

Zanim zdążyłem dokładniej zapoznać się z miejscem zbrodni, przyjechał zastępca komendanta policji Los Angeles, Maddux Fielding, szef wydziału detektywów, prowadzący teraz śledztwo zamiast Jeanne Galletty. Burza siwych włosów na głowie i ciemnobrązowe oczy, podobne do oczu Jeanne, sprawiały, że mógł wyglądać jak jej ojciec.

Był bardzo skupiony i profesjonalny, ale mimo to wydał mi się okropnym dupkiem.

–Agent Cross, no, no – rzekł, potrząsając energicznie moją dłońią. – Sporo słyszałem o pańskiej pracy w stolicy. – Powiedział to takim tonem, że wcale nie zabrzmiało jak komplement.

–Agent specjalny Page – przedstawiłem Karla. – Asystuje mi, kiedy przebywam w Los Angeles.

Fielding nic na to nie odpowiedział, wobec czego mówiłem dalej.

–Co pan sądzi o tym ostatnim morderstwie? – spytałem. – Wiem, że dopiero niedawno wszedł pan do śledztwa, ale powinien już pan mieć jakiś pogląd na tę sprawę.

Moje stwierdzenie wcale nie miało być przytykiem, lecz chyba właśnie w ten sposób zostało zrozumiane. Fielding wygiął

**w dół kąciki ust i spojrział na mnie ponad grubą oprawą swoich  
dwuogniskowych okularów.**

–To nie pierwsza sprawa tego rodzaju, jaką prowadzę.

Takie rzeczy mam oblatane.

Nabrał powietrza, nadymając się w poczuciu własnej ważności, po czym dodał:

–Odpowiadając na pańskie pytanie, uważam, że to robota Mary Smith, a nie jakiegoś naśladowcy. Zastanawiam się, czy od samego początku nie planowała zabicia Arnolda Grinera. Moim zdaniem tak było. Pozostaje oczywiście pytanie, dlaczego to zrobiła... oraz jaki to ma związek z poprzednimi morderstwami.

Był w tym pewien sens, Griner rzeczywiście mógł być od początku na liście Mary Smith. Popatrzyłem na Page'a.

–A co ty o tym sądzisz?

–Griner i Washington dopiero co się tu wprowadzili – odparł Page, zajrzawszy do swojego notatnika. – Przed trzema dniami. Wszelkie informacje o dziennikarzu były zastrzeżone, więc Mary musiała mieć pewien problem z namierzeniem go, ale mimo to go znalazła. I choć Griner zupełnie nie pasował do kręgu jej morderczych zainteresowań, przez cały czas był częścią jej krajobrazu. Zaczęła razem z nim i teraz z nim skończyła. Może chce w ten sposób nam oznajmić, że napisała już ostatni rozdział.

–Wątpię – powiedział Fielding, nawet nie racząc spojrzeć na Page'a. – W sposobie zamordowania Grinera jest za dużo agresji, za dużo nienawiści. Widział pan *The Grudgel* Zresztą nieważne. Proszę zapomnieć, że o tym wspomniałem.

–A jak wygląda sprawa niebieskiego suburbona? – spytałem. – Jest jakiś postęp? – Wiedziałem, że do południa policja nie odkryła żadnego obiecującego tropu, co było trochę dziwne, zważywszy na to, jak wielkie wywierano na nią naciski. Fielding zdjął okulary i starannie przetarł je wyjętą z kieszeni chusteczką.

–Na razie nie – odparł w końcu. – Ale skoro pan poruszył ten temat, chciałbym jasno postawić sprawę. Nie jestem detektywem Gallettą. Jestem jej zwierzchnikiem i nie mam zamiaru

wszystkiego z panem uzgadniać. Jeśli biuro chce wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za wynik tego śledztwa, niech do nas z tym wystąpi. Biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń i skalę całej sprawy, będzie to dla mnie dużą ulgą. Ale dopóki tak się nie stanie, niech pan zajmuje się swoją pracą i nie knoci mi śledztwa, tak jak pan je sknocił detektywu Galletcie. Myślę,



**że wyraziłem się wystarczająco jasno.**

**Był to przejaw policyjnej solidarności. Bez jednego pytania uznał, iż to przeze mnie odebrano Jeanne śledztwo. Widywałem już takie postawy i nawet je trochę rozumiałem, nie potrafiłem jednak odmówić sobie zgryźliwej riposty.**

**–Myślę, że przydałaby się panu drobna rada – powiedziałem. – Zanim zacznie się rzucać oskarżenia, powinno się wiedzieć, o czym się mówi. Chce pan sobie utrudnić pracę?**

**–W obecnej sytuacji raczej trudno mi to sobie wyobrazić – stwierdził. – Myślę, że wyczerpaliśmy temat. Wie pan, gdzie mnie znaleźć... gdyby miał pan jakieś pytania albo odkrył coś, co mogłoby nam pomóc.**

**–Jasne.**

**Miałem ochotę walnąć go w tył głowy, kiedy odchodził. Prawdopodobnie była to jedyna rzecz, która mogłaby sprawdzić nasze pierwsze spotkanie do niższego poziomu.**

**–Wspaniały facet – mruknął Page. – Silna osobowość, wyrobienie towarzyskie... same zalety.**

**–Owszem. Aż się we mnie gotuje.**

**Nie chciałem rozpamiętywać tego spotkania, więc z powrotem zabrałem się do pracy. Skoro nasze stosunki z policją miały tendencję do pogarszania się, musieliśmy mieć własną analizę. Choć Page mnie o to nie prosił, włączyłem go do eksploracji miejsca zbrodni. Posuwaliśmy się po rozwijającej się spirali – zaczynając od ciał – zgodnie z przyjętą praktyką, ale znacznie wolniej i dokładniej.**

**Najpierw zbadaliśmy centymetr po centymetrze mieszkanie, następnie korytarz, frontowe i tylne schody, a potem teren wokół budynku.**

Byłem ciekaw, czy mój młody pomocnik okaże się wystarczająco cierpliwy, by dobrze wykonać tego rodzaju pracę. Ale Page doskonale dawał sobie radę. Był całym sercem i duszą zaangażowany w to, co robi.

Kiedy wyszliśmy z budynku, otrzymaliśmy informację od komórki monitoringu elektronicznego biura. O 5.30 do Arnolda Grinera z „LA Timesa” przyszedł nowy e-mail.

Wiadomość od Mary Smith – adresowana do człowieka, którego zabiła.

Rozdział 73

Odbiorca: agriner@latimes.com

Nadawca: Mary Smith

Do: Arnold Griner

Chcesz wiedzieć, jak to było? Pojechałam za tobą do twojego nowego mieszkania po kolacji, którą zjadłeś ze swoimi przyjaciółmi w restauracji Asia de Cuba na Sunset.

Zaparkowałeś pod budynkiem i wszedłeś tylnymi schodami. Słyszałam, jaksapałeś, idącponich. Nie jesteś w najlepszej formie, Arnold. Pociesz się, że już ci nie będzie potrzebna.

Poczekalam na zewnątrz, aż zapalą się światła w twoim mieszkaniu, po czym poszłam za tobą. Nie bałam się, jak to bywało poprzednio. Dawniej, kiedy brałam do ręki pistolet, wydawał mi się dziwny i nieporęczny. Teraz jest dla mnie czymś swojskim. Nie zamknąłeś tylnych drzwi na zasuwę. Może zamierzałeś to zrobić, lecz byłeś zbyt roztargniony, albo może czułeś się w nowym miejscu bezpieczniej, więc nie miało to dla ciebie znaczenia. Co do tego ostatniego miałeś rację: to już nie miało znaczenia.

Kiedy weszłam, w kuchni było ciemno, ale

w saloniku paliło się światło i był włączony telewizor. Na kontuarze obok zlewu leżał nóż do krojenia mięsa, nie wzięłam go jednak. Miałam swój własny, o czym prawdopodobnie wiedziałeś, jeśli przeczytałeś moje poprzednie e-maile.

Czekałam w kuchni, dopóki starczyło mi cierpliwości, słuchając ciebie i twojego towarzysza. Nie słyszałam dokładnie, o czym

rozmawialiście, ale podobał mi się dźwięk waszych głosów. Ekscytowało mnie, że jestem osobą, która słyszy waszą ostatnią rozmowę.

Potem zaczęłam się denerwować. Z początku niezbyt mocno – wiedziałam jednak, że jeśli pozwolę sobie na dłuższe czekanie, będzie coraz gorzej.

Gdybym chciała, mogłam wyjść z mieszkania, a ty nawet byś nie wiedział, że w nim byłam.

Przynajmniej pod jednym względem było z tobą tak jak z innymi. Żadne z was nie wiedziało, że jestem w pobliżu, dopóki nie nadszedł wasz czas.

Niezauważalna Kobieta to ja. W gruncie rzeczy takich jak ja jest mnóstwo.

Kiedy weszłam do saloniku, obaj zerwaliście się jednocześnie. Pokazałam wam, że mam pistolet, a wy zamarliście. Chciałam cię zapytać, czy wiesz, dlaczego przyszłam cię zabić, dlaczego zasłużyłeś na śmierć, ale bałam się, że jeśli nie zrobię tego zaraz, nie zrobię tego nigdy.

Pociągnęłam za spust, a ty upadłeś na plecy. Twój towarzysz krzyknął i próbował uciekać. Nie wiem, jak mógł sobie wyobrazić, że mu się uda.

Strzeliłam do niego i chyba od razu umarł. Obaj umarliście od razu. Sprawiedliwości stało się zadość, bo byłeś paskudną, zarozumiałą kreaturą.

Żegnaj, Arnold. Przestałeś istnieć i wiesz co?

Już o tobie zapomniałam.

## Rozdział 74

Należało zakończyć serię morderstw. Opowiadacz wiedział o tym, to również było zaplanowane. Żałował jednak, że tak musiało być. Szło mu coraz lepiej, a od długiego czasu nie był w niczym dobry.

Tak czy inaczej mógł sobie pogratulować. Stał się sławny – w telewizji było o nim pełno, oczywiście w gazetach też, zwłaszcza w „LA Timesie”, który z tego śmiecia Grinera zrobił świętego i męczennika. Wszyscy rozpoznawali w tym wydaniu jego mistrzowski scenariusz, chociaż prawdziwy był znacznie lepszy od tego, który znali.

Miał ochotę to uczcić, nie miał jednak nikogo, z kim mógłby podzielić się swoim sukcesem. Spróbował to zrobić tylko raz, w Vancouverze, i co z tego wynikło? Musiał zabić swoją byłą flamę.

Jak to uczcić? Bawiło go, że Arnold Griner nie żył. Ba-

**wiła go tkwiąca w jego śmierci ironia losu, polegająca na tym, że dziennikarz najpierw odbierał e-maile Opowiadacza, był jego łącznikiem z policją, a potem sam został przez niego zabity. W rzeczywistości było nieco inaczej, niż to przedstawił w e-mailu: ten mały parszywiec go rozpoznał i kiedy zrozumiał, że musi umrzeć, zaczął błagać o litość, co sprawiło, że zastrzelenie go okazało się jeszcze większą frajdą. Nie zabił**

Grinera i jego towarzysza od razu. Bawił się nimi niemal przez godzinę i każda minuta tej zabawy sprawiała mu ogromną przyjemność.

Jak to uczcić?

Chciał się rozerwać i podzielić z kimś swoimi przeżyciami, ale nie bardzo wiedział, komu mógłby to wszystko opowiedzieć. Nagle odkrył, na co ma ochotę – to było takie proste.

Pójdzie do kina. Znajdował się akurat w Westwood, zostawił więc samochód na parkingu i wszedł do Bruin Theater, gdzie grano *Collateral* z Tomem Cruise'em.

Chciał siedzieć wśród swoich i oglądać Toma Cruise'a, grającego okrutnego, pozbawionego skrupułów skrytobójcę. Och, Tom, boję się...

**Rozdział 75**

–Dzwonił pan Truscott. Powiedział, że chciałby przeprowadzić z tobą wywiad i że to pilne. Że jest gotów przyjechać do twojego domu, jeśli zechcesz. Był ciekaw, czy dostałeś jego informację o kobietach, czekających na egzekucję.

Potrząsnąłem głową i skrzywiłem się.

–Pies tańczył z Truscottem. Olej go. Czy coś jeszcze się wydarzyło, kiedy byłem w LA?

–Wiesz, że Damon i jego dziewczyna zerwali ze sobą? – spytała cicho Nana. – Czy w ogóle ci powiedział, że ma dziewczynę?

Siedzieliśmy w kuchni w sobotnie popołudnie, pierwszego dnia po moim powrocie do domu. Zerknąłem w stronę salonu, by się upewnić, że nadal jesteśmy sami.

–Czy to ta sama, z którą bez przerwy rozmawiał przez telefon? – spytałem.

–Już przestał – odparła. – Myślę, że to dobrze. Jest za młody na takie rzeczy. – Wstała z krzesła, nucąc *Joshua Fit the Battle of Jericho*, i zajęła się chili, które gotowało się w garnku na kuchni.

Zaniepokoiło mnie to chili, a jeszcze bardziej fakt, że Nana zamiast wołowiny użyła mielonego mięsa indyka. Może Kayla

Coles dokonała cudu i w końcu przekonała ją, że powinna zacząć o siebie dbać? Jeśli tak, to chwała doktor Kayli!

–Kiedy Damon przyznał ci się, że ma dziewczynę? – spytałem. Wyglądało na to, że bardzo oddaliliśmy się od siebie z moim starszym synem.

–Wcale mi nie powiedział, sama się domyśliłam-odparła Nana. – Nastolatki nie mówią o takich rzeczach wprost. Cornelia przychodziła tu odrabiać lekcje. Jest bardzo miła. Jej rodzice są prawnikami, ale to nie jej wina. – Roześmiała się ze swojego żartu. – Nie mam jej tego za złe, najwyżej odrobinę. Cornelia? Więc powiernikiem Damona jest Nana, a ojciec jedynie osobą postronną? Wszystkie moje dobre chęci i postanowienia, że zmienię swoje życie, spełzały na niczym, bo zawsze ciągnęło mnie z powrotem do PRACY.

Przegapiłem rozpad pierwszego związku Damona. To już przepadło. Nawet cię nie znałem, Cornelio.

Dobrze było znaleźć się z powrotem w domu. Kuchnia powoli wypełniała się zapachami potraw Nany, przygotowującej z okazji mojego powrotu przyjęcie dla przyjaciół i rodziny. Prócz chili miał być domowy chleb z mąki kukurydzianej, dwa rodzaje sałaty z czosnkiem, steki i pudding karmelowy, popisowy deser Nany. Widocznie doktor Kayli nie do końca udało się ją przekonać, że powinna nieco odpuścić.

Staralem się pomagać Nanie bez wchodzenia jej pod rękę, a ona fruwała po kuchni, popatrując co chwila na zegar. Byłbym szczęśliwszy, gdybym miał poczucie, że zasługuję na to przyjęcie. Tymczasem nie tylko nie miałem szans w konkursie na ojca roku, lecz zrobiłem już także rezerwację na powrotny lot do Los Angeles.

Rozdział 76

–Spójrzcie, kto wrócił do rodziny! Nie do wiary. Gdzie jest mój aparat?

Sampson i Billie przybyli ze swoją trzymiesięczną córeczką Djabatą, której jeszcze nie widziałem. Rozpromieniony John wyjął ją z nosidełka zawieszzonego na piersiach Billie. Cóż to był za widok – Sampson i maleńka kruszynka. Tata Niedźwiedź, Mama Niedźwiedzica i małe Niedźwiedziątko, przemknęło mi przez głowę. Posadził mi swoją córeczkę na rękach.

–Śliczna dziewczynka – powiedziałem z autentycznym zachwytem. Czekoladowa skóra i czarne kędziorki na głowie sprawiały, że wyglądała jak laleczka. – Ma najlepsze cechy każdego z was. Prawdziwa z niej piękność.

Między nas wcisnęła się Jannie, by popatrzeć na Djabatę. Była już w wieku, w którym do każdej dziewczyny stopniowo dociera, że kiedyś może mieć własne dzieci, i z tej perspektywy zaczynała patrzeć na cudze.

–Jest taka drobniutka – szepnęła z podziwem.

**–Wcale nie – zaprotestował Sampson. – Jej wzrost i waga jest w stu procentach w normie w stosunku do wieku. Ma to po ojcu. Kiedy skończy pięć lat, będzie taka jak Billie.**

**–Miejmy nadzieję, że biedactwo nie odziedziczy po tobie**

rąk i nóg – wtrąciła Nana, która też przyszła obejrzyć dziewczynkę. Mrugnęła do Billie i uśmiechnęła się przekornie. Opanowało mnie nagle uczucie głębokiej wewnętrznej radości z powodu przynależności do tej wspaniałej rodziny. Był to jeden z owych ulotnych momentów, które czasem zdarzają się człowiekowi i przypominają mu o dobrych stronach życia. Cokolwiek się wydarzy, zawsze istnieje miejsce, do którego mogę wrócić i do którego chcę wrócić. Zapamiętaj ten moment! Przypominaj go sobie, kiedy będzie ci ciężko!

Wkrótce dom zaczął zapełniać się gośćmi. Przyszli moi dawni koledzy z waszyngtońskiej policji, Jerome i Claudette Thurmanowie oraz Rakeem Poweł i jego nowa przyjaciółka, której nazwiska nie dosłyszałem. „Zapytaj o nie za tydzień – powiedział mi na boku Sampson. – Może już wtedy nie będziesz musiał się tym martwić”.

Z rodziny pierwsi przybyli ciocia Tia i mój kuzyn Carter, a po nich mnóstwo ciepłych, przyjaznych twarzy, z których wiele miało podobne do moich rysy.

Ostatnia przyszła doktor Kayla Coles, którą przywitałem w drzwiach.,,,

–Annie Sullivan, jak się domyślam?

–Słucham? Ach, rozumiem. Ta cudotwórczyni.

–Cudotwórczyni, która sprawiła, że moja babcia ugotowała chili z indykiem. Myślę, że to twoja robota. Chwała ci za to.

–Jestem do usług. – Dygnęła zabawnie w ciasno opinającej ją turkusowej sukience. Wyglądała w niej zupełnie inaczej niż w swoim codziennym, praktycznym ubraniu. Na ogół nie przywiązuje wagi do strojów, więc trudno było tego nie zauważyć.

Zamiast torby lekarskiej trzymała wielki gliniany garnek.

–A to dopiero! – zawołałem. – Jedzenie, ugotowane przez kogoś innego, na przyjęciu u Nany. Ciekawe, co z tego wyniknie.

–Przyniosłam także przepis.

Przekręciwszy garnek, pokazała mi przylepioną z boku białą karteczkę. „Pieczona fasola, zdrowa dla serca, zalecana kobiecie, która gotuje wszystko na tłuszczu z boczku.

–Cóż, wejdź – powiedziałem, zapraszając Kaylę do środka. – Na własne ryzyko.

Przy akompaniamencie dźwięków *Romare Bearden Revealed*



w wykonaniu kwartetu Branforda Marsalisa szliśmy przez dom, w którym przyjęcie coraz bardziej się rozkręcało. Każdy chciał ujrzeć doktor Kaylę, która w okolicy była uważana za świętą. Ogarnął mnie niefrasobliwy nastrój, choć wiedziałem, że zanim tydzień się skończy, znów będę na pokładzie samolotu. W tej chwili było mi dobrze i nie zamierzałem zastanawiać się nad tym, co będzie później.

## Rozdział 77

Odnalazłem Sampsona i Billie w kuchni w momencie, gdy mój przyjaciel otwierał puszkę piwa. Wyjąłem mu ją z ręki. Chciałem z nim porozmawiać, póki jeszcze było w miarę spokojnie.

–Muszę z tobą pogadać, zanim się upijemy – oświadczyłem.

–Jakieś męskie tajemnice? – zachichotała jego żona. Billie jest pielęgniarką pogotowia i widziała już prawie wszystko.

–Chodźmy na górę – zaproponowałem Johnowi.

–Ja już wypłem jedno piwo – powiedział mój przyjaciel. – To moje drugie.

–Mimo wszystko chodź. Za chwilę wrócimy, Billie.

Do mojego biura na poddaszu dochodziły stłumione przez podłogę dźwięki muzyki. Na tle ogólnego gwaru słysząc było śmiech Kayli.

Sampson oparł się o ścianę.

–Wezwał mnie pan do swojego gabinetu – powiedział. – Czym mogę służyć?

Miał na sobie zabawną koszulkę drużyny koszykówki ligi seniorów w St. Anthony z nadrukiem: „Kto nic nie robi, temu nic się nie stanie”.

–Nie chciałem na przyjęciu rozmawiać o pracy – zacząłem.

–Ale nie mogłeś się powstrzymać, prawda?

–Przyjechałem na bardzo krótko. Muszą jeszcze wrócić do Los Angeles, a tej rozmowy nie można odłożyć.

–W porządku – mruknął. – O co chodzi?

–Dyrektor Burns i ja chcemy, żebyś się zastanowił nad przejściem do pracy w biurze. Chcemy, żebyś był z nami, John. Czy spodziewałeś się takiej propozycji?

Roześmiał się.

–Dawałeś mi to wystarczająco wyraźnie do zrozumienia.

Czyżby Burns zamierzał zaczernić biuro?

–Nie w tym rzecz, chociaż nie miałbym nic przeciwko temu.

Burns chciał, żeby w biurze znalazło się więcej agentów znających się na pracy terenowej, takich, którym mógł zaufać. Powiedziałem mu, że gdybym miał kogoś wybrać, wskazałbym przede wszystkim na Sampsona. To mu wystarczyło.

–Ron Burns chce tego samego co ja. A może odwrotnie.

–Twierdzisz, że on mnie chce? – upewnił się Sampson.

–Cóż, Jerome i Rakeem są poza naszym zasięgiem, podobnie jak strażnik pilnujący przejścia przez jezdnię przed szkołą Sojourner Truth. Zostałeś nam tylko ty.

Sampson roześmiał się. Bardzo lubiłem, kiedy to robił.

–Mnie też jest smutno bez ciebie – stwierdził. – Ale wiem, jak temu zaradzić. Wróc do policji. Co ty na to? Masz rację co do jednego: musimy znów pracować razem. U ciebie albo u mnie. Głosuję za tą drugą opcją.

Z kolei ja się roześmiałem, po czym przybiliśmy pięści, na znak, że musimy pracować razem. U niego albo u mnie.

Obiecałem Sampsonowi, że się zastanowię nad jego pomysłem, a on, że się zastanowi nad moją propozycją. Potem otworzyliśmy drzwi do gabinetu, pozwalając muzyce wtargnąć do środka.

## Rozdział 78

–Czy możemy się teraz napić? – spytał Sampson. –

W końcu jesteśmy na przyjęciu. Czy już zapomniałeś, że istnieją takie rzeczy jak przyjęcia?

–Prawie.

Dwie minuty później trzymałem w jednej ręce piwo, a w drugiej żeberko, ociekające sosem barbecue. W jadalni znalazłem Jannie i Damona, grających w trzynaście z ich kuzynką Michelle i Kaylą Coles. Miałem ochotę porozmawiać z Kaylą.

–Ignorujecie naszych gości? – zapytałem z wyrzutem

moje dzieci.

–Nie tych dwoje – odparła z poważną miną Jannie, wskazując głową Kaylę i Michelle.

–Za mocno dają mi w skórę, żebym mogła się poczuć zignorowana – stwierdziła Kayla, a Jannie i Damon uśmiechnęli się konspiracyjnie. I znów to samo. Obca kobieta w zмовie z moimi dziećmi. Jaką mieli wspólną tajemnicę? Czego jeszcze nie wiedziałem?

Przyglądałem się Kayli, gdy tasowała i rozdawała karty. Zawsze chodziła twardo po ziemi, a przy tym doskonale się prezentowała, w ogóle się o to nie troszcząc. Bardzo mi się podobała, i to od dawna – odkąd oboje byliśmy dziećmi i dorastaliśmy razem na południowym wschodzie.

–Patrzysz, jakie mam karty? – zapytała, przerywając moją kontemplację.

–On nie patrzy na karty, tylko na ciebie, doktor Kayla – wtrąciła się Jannie. – Zawsze jest taki podstępny.

–W porządku, dość żartów. Idę sobie – burknąłem. – Muszę pomóc Nanie. – Jeszcze raz spojrzałem z podziwem na Kaylę i wyszedłem.

–Nie odchodź! – zawołała, ale byłem już za drzwiami. Idąc do kuchni, myślałem tylko o jednym. Czy uda mi się podczas tego przyjęcia znaleźć się sam na sam z Kaylą? I gdzie się z nią umówić na pierwszą randkę?

## Rozdział 79

Nie przypadkiem umówiłem się z Kaylą Kinkeada. Było to ulubione miejsce Christine i moje, ale wcześniej chodziłem do tej restauracji sam, więc w pewnym sensie rewindykowałem swoją własność, Spodobało mi się, że Kayla przyszła niecałe pięć minut po mnie. Miała na sobie czarny kaszmirowy sweter, czarne spodnie, pantofle na wysokich obcasach i wyglądała oszałamiająco.

–Przepraszam, że jestem taka okropnie punktualna, Alex – powiedziała, siadając obok mnie przy barze. – Wiem, że to nudne i nie dodaje mi wdzięku, ale nic na to nie mogę poradzić. Następnym razem, bo wierzę, że będzie następny raz, postaram się trochę spóźnić. Przynajmniej dziesięć minut, a może nawet *kwadrans*.

–Wybaczam ci – odparłem, czując nagle, że opada ze mnie całe napięcie. – To miało być przełamanie lodów, prawda?

Puściła do mnie oko.

–Coś w tym guście. Boże, ależ jestem podstępna. Tak samo jak ty.

–Czy wiesz, że mężczyźni nie lubią inteligentnych kobiet, bo czują się zagrożeni? – zapytałem. – Jesteś przerażająco inteligentna.

## 240

–Czyżby z tego wynikało, że jesteś wyjątkietlji potwierdzającym regułę? Nie jestem aż tak inteligentna.) fowiem ci dlaczego... a przynajmniej dlaczego tak uważam.

–Mów, a ja tymczasem napiję się piwa. Proszę pilznera z beczki – powiedziałem do barmana.

–Kiedy patrzę na tych wszystkich podobno superinteligentnych ludzi z kompletnie nieudanym życiem osobistym,

**zastanawiam się, czy rzeczywiście są tacy inteligentni. Może ich inteligencja sprowadza się do tego, że potrafią zapamiętywać fakty i myśli innych? Że znają każdą piosenkę rockandrollową, jaka kiedykolwiek została nagrana? Albo każdy epizod serialu *Bewitched***

**Przewróciłem oczami.**

**–Oglądasz *Bewitched*? Przyjaźnisz się z ludźmi, którzy znają każdy jego epizod?**

**–Mój Boże, nie. I w ogóle nie znam tego serialu. Znam za to pacjentów z oddziału nagłych przypadków. I personel.**

**–A ja mnóstwo piosenek zespołu R i B. I nie pokierowałem zbyt dobrze swoim życiem.**

**Roześmiała się.**

**–Nie zgadzam się z tobą. Za dobrze znam twoje dzieci.**

**–A poznałaś Christine Johnson?**

**–Owszem, poznałam ją. To interesująca kobieta, choć pewnie w tej chwili trochę zagubiona. Może jednak nie mówmy o niej.**

**–Zgoda, nie mówmy o niej. Aleja też mam sobie wiele do zarzucenia.**

**Rozmawialiśmy dalej w tym samym tonie, sporo żartowaliśmy, trochę wypiliśmy i zjedliśmy. Zastanawiające było, że cały czas omijaliśmy temat Nany i dzieci. Może dlatego, że byłby zbyt łatwy. Podziwiałem poczucie humoru Kayli i jej pewność siebie. Była sobą, niczego nie udawała. Cieszyłem się z naszej randki.**

**Dopijając ostatniego drinka, powiedziała:**

**–Było bardzo miło, Alex. Sympatycznie i naturalnie.**

–Czyżby to cię zdziwiło? – spytałem.

–W gruncie rzeczy nie. No, może trochę-

A właściwie bardzo.

–Dlaczego?

–Hmm... Chyba dlatego, że nie wiedziałaś, jaka jestem, chociaż wydawało ci się, że wiesz.

–Znałem cię jako kobietę bardzo zapracowaną. Doktor Kaylę z Sąsiedzkiej Pomocy Medycznej.

–„Weź dwie aspiryny, ale nie waź się dzwonić do mnie do domu”. – Roześmiała się. – Problem w tym, że mnóstwo ludzi otwiera się przede mną, choć ja tego nie odwzajemniam. Uśmiechnąłem się.

–Chciałabyś mi coś powiedzieć?

Pokręciła głową.

–Chyba już ci to powiedziałam. Było bardzo sympatycznie.

Wieczór był miłszy, niż się spodziewałam.

–W takim razie niedługo znów się spotkamy.

Mrugnęła do mnie.

–A nie mówiłam?

–Miałaś rację. Oczywiście jeżeli się zgodzisz

–Naturalnie, że się zgadzam, Alex. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

## Rozdział 80

Kiedy następnego popołudnia wróciłem na Zachodnie Wybrzeże, w terenowym biurze FBI panowała napięta atmosfera. Powodem tego był ostatni wyczyn Mary Smith oraz moje starcie z Madduxem Fieldingiem po jego wejściu na miejsce Jeanne Galletty. Stosunki między biurem i policją Los Angeles nigdy nie były najlepsze. Czasem współpraca przynosiła jakieś efekty, ale teraz nastąpił zdecydowany zwrot na gorsze.

O ile zdołałem się zorientować, przedmiotem spekulacji była kwestia, czy agent Cross z Waszyngtonu włączył się do śledztwa jako nieponoszący żadnej odpowiedzialności outsider i celowo doprowadził do kompromitacji policji Los Angeles.

Zastanawiałem się nad tym nie dłużej niż pięć minut, po czym zająłem się ważniejszymi rzeczami.

Sprawa Mary Smith alias Bestii z Hollywood, alias Brudnej Mary okazała się jedną z najbardziej skomplikowanych i najszybciej zmieniających się spraw, z jakimi do tej pory mieliśmy do czynienia. W dodatku wciąż pojawiały się nowe kontrowersje, przyczyniające się do zwiększenia panującego w biurze chaosu. W dniu mojego powrotu przyszedł nowy e-mail. Nie czytałem

**go jeszcze, ale mówiono, że był inny niż poprzednie, a policja już się przygotowywała do akcji. Tym razem Mary Smith przysłała ostrzeżenie, które potraktowano bardzo poważnie.**

Zgromadziliśmy się na czternastym piętrze w pokoju konferencyjnym, zamienionym na centrum dowodzenia śledztwem w sprawie Mary Smith. Na ścianach widniały zdjęcia, wycinki prasowe i wyniki badań laboratoryjnych. Wzdłuż jednej krawędzi ogromnego stołu z wiśniowego drewna stał rząd telefonów, tworzących prowizoryczny węzeł komunikacyjny.

Zebraniu miał przewodniczyć Fred van Allsburg, który przybył z dziesięciominutowym opóźnieniem. Przypomniało mi to o doktor Coles i jej punktualności. Kayla uważała, że ludzie, którzy się notorycznie spóźniają, nie mają szacunku dla innych. Fred van Allsburg miał ksywę Znak Stopu, której dorobił się pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy zlikwidował szlak heroinowy między Ameryką Środkową i Stanami Zjednoczonymi. Z tego, co wiedziałem, od tamtego czasu niewiele dokonał, koncentrując się głównie na wspinaniu po biurokratycznej drabinie. Choć nie czułem do niego większego szacunku, teraz byłem zmuszony z nim współpracować.

Musiał zdawać sobie z tego sprawę, gdyż rozpoczął zebranie w dość szczególny sposób.

–Zanim przystąpię do rzeczy, chciałbym wam o czymś powiedzieć. Jak już zdążyliście się zorientować, nie możemy liczyć na współpracę ze strony policji. Maddux Fielding zamierza sam poprowadzić tę sprawę i robi, co może, by nam utrudnić życie. Mam rację, Alex?

W sali dały się słyszeć stłumione chichoty. Wszystkie głowy odwróciły się w moją stronę.

–Bez komentarza – odparłem, co wywołało jeszcze większą wesołość.

Van Allsburg podniósł głos, próbując zapanować nad gwarem.

–Jeśli chodzi o mnie, jestem otwarty na współpracę, co oznacza pełne ujawnianie wobec policji posiadanych przez nas informacji. Jeżeli się dowiem, że ktokolwiek coś zataił, zostaną wobec niego wyciągnięte konsekwencje służbowe. Niech sobie Fielding prowadzi śledztwo, jak mu się podoba. Nie pozwolę

jednak, by naraziło to na szwank nasze dobre imię. Czy wyraziłem się dość jasno?

Byłem mile zaskoczony tym wystąpieniem. Van Allsburg okazał się wobec mnie lojalny, gdy zostałem oskarżony o prowokację.

Kiedy skończył, przeszedł do ostatniego e-maila od Mary



**Smith. Używając rzutnika, wyświetlił tekst na ekranie, żebyśmy wszyscy mogli go przeczytać.**

**Moją uwagę zwróciło nie to, co Mary Smith napisała, lecz to, co chciała nam zakomunikować między wierszami. Zauważyłem to już w jej poprzednich listach, tym razem jednak było wyraźniejsze, jak stopniowo narastający łoskot bicia bębnow. „Złapcie mnie” – mówiła.**

**„Jestem blisko. Wystarczy po mnie przyjść. Dlaczego się guzdrzecie?”**

**E-mail został wysłany do nieżyjącego już Arnolda Grinera, można by rzec – do zlikwidowanej skrzynki pocztowej.**

**Rozdział 81**

**Odbiorca: agriner@latime8.com**

**Nadawca: Mary Smith**

**Do: Osoby, która będzie następnym moim celem.**

**Spotkaliście się już, ty i ja. Co ty na to?**

**Przypominasz to sobie? Bo ja tak.**

**Dałaś mi wtedy autograf; byłaś pełna swojego naturalnego uroku. Sprawiałaś wrażenie bezpośredniej, komunikatywnej osoby. Nie powiem ci, gdzie się spotkałyśmy, bo i tak nie przypomniałabyś sobie. Powiedziałam ci wtedy, że bardzo mi się podobają twoje filmy, a ty się uśmiechnęłaś. Nie odpowiedziałaś jednak – jakbym się w ogóle nie odezwała. To mi przypomniało, że jestem dla was niezauważalna.**

**Nie pierwszy raz spój rżałaś przeze mnie jak przez szkło. Nie zauważyłaś mnie wczoraj w ośrodku opieki dziennej ani dzisiaj w sali gimnastycznej. Zresztą wcale tego nie oczekiwałam.**

**Czuję się, jakbym we wszystkim była twoim przeciwieństwem. Czy to cię nie niepokoi?**

**Wszyscy wiedzą, kim ty jesteś, a nikt – kim ja. Nie jestem piękna, nie jestem gwiazdą filmową ani**

w ogóle nie jestem nikim takim jak ty. Nie mam nieskazitelnej skóry ani reklamowego uśmiechu. Według powszechnej opinii jesteś lepszą matką niż Patsy Bennett, lepszą aktorką niż Antonia Schifman, lepszą żoną niż Marti Lowenstein-Bell i z pewnością jesteś też bardziej na fali, niż kiedykolwiek była Suzie Cartoulis.

Jesteś osobą, o której się mówi, że „ma wszystko”. Rzeczywiście tak jest – i założę się, że o tym wiesz, choć czasem o tym nie pamiętasz. Jest tylko jedna rzecz, której nie wiesz – a ja tak. Wiem, że za dwa dni, w południe, zakończysz życie. Będziesz miała kulę w mózgu i twarz, której nikt nie pozna, nawet twoje śliczne dzieci, nawet uwielbiająca cię publiczność, która tak tłumnie wali na filmy z tobą.

Ale nie powiedziałam ci tego, kiedy się spotkałyśmy. Uśmiechnęłam się tylko i podziękowałam ci, że jesteś tym, kim jesteś. Odeszłam, wiedziałam jednak, że kiedy następnym razem się zobaczymy, spojrzysz na mnie zupełnie inaczej.

Obiecuję ci, że następnym razem mnie zauważysz. Jeśli nie wierzysz, że dotrzymuję obietnic -: spytaj Arnolda Grinera.

## Rozdział S2

–Co o tym myślicie? – zapytał van Allsburg zebranych, po czym zwrócił się do mnie: – Prowadziłeś więcej takich spraw niż którykolwiek z nas, Alex. O co tu chodzi? Co ona zamierza?

–Chce zostać złapana – odparłem, podchodząc do niego. Zamierzałem przemówić do zespołu na stojąco. – Prawdopodobnie jest osobą, która czuje się całkowicie odrzucona przez społeczeństwo. Eliminowanie kobiet, które fascynują zabójcę, jest reakcją świadcząca o chorobie psychicznej. Ona, on lub ono niszczy to, czego nie może mieć. Poczucie odrzucenia z biegiem czasu się pogłębia. Jakaś część osobowości Mary może zdawać sobie sprawę z choroby i nie chce dalszych zabójstw, ale brak samokontroli nie pozwala jej przestać.

–A co sądzisz o tym ostatnim e-mailu? – zapytał Fred.

–Dowodzi wewnętrznych sprzeczności. Jej świadome ja wierzy, że to jedynie gra, ale podświadomość układa realny

**plan, który musimy wziąć pod uwagę. To jedyne racjonalne wytłumaczenie postępowania Mary, choć wcale nie jestem pewny, czy rzeczywiście tak jest.**

**–A jeśli jest odwrotnie? – zasugerował David Fuji-shiro. – Jeśli to wszystko jest prowokacją, mającą nas zmusić do rozpoczęcia niepotrzebnej akcji?**

–Taka ewentualność również istnieje – odparłem. – Ale nie możemy jej przyjąć za pewnik, musimy potraktować ostatni e-mail Mary Smith tak, jakby jej zapowiedź miała okazać się prawdą. Wysznułeś z tekstu pewną logiczną możliwość, Davi-dzie... nie wiemy jednak, czy Mary rozumuje logicznie. Kilku agentów, a wśród nich także Page, robiło notatki podczas mojej wypowiedzi. Miałem świadomość swojej pozycji w zespole, choć nie czułem się z tym dobrze.

–Czy wiemy, jak policja zamierza zareagować na ostatni list Mary? – spytał agent z tyłu sali, jeden spośród kilku, których widziałem po raz pierwszy. Spojrzałem na van Alls-burga, czekając na jego odpowiedź.

–Mają zamiar włączyć do akcji dużą jednostkę do zadań specjalnych... tyle wiem na pewno. Punktem wyjściowym jest lista potencjalnych celów. Ale jeśli się weźmie pod uwagę każdą bardziej znaną aktorkę, nawet ograniczając się tylko do tych, które mają dzieci, otrzyma się bardzo długą listę nazwisk. Poza tym policja boi się, że wywoła panikę. Bez zwiększenia liczby patroli i ostrzeżeń pod adresem społeczeństwa niewiele da się zrobić dla bezpieczeństwa tych kobiet i ich rodzin. Można najwyżej deptać Mary Smith po piętach. Ktoś musi ją jak najszybciej znaleźć. I wiecie, co wam powiem? Chciałbym, żebyśmy to byli my, a nie policja Los Angeles.

### Rozdział 83

Dla każdej troskliwej matki Disneyland Stanowił ironiczne wyzwanie. „Najszczęśliwsze miejsce na ziemi” – głosiły broszury reklamowe. Może tak było naprawdę, ale z powodu kłębiących się wszędzie tłumów było to zarazem miejsce, gdzie najłatwiej można zgubić dziecko.

Mary starała się o tym nie myśleć. Martwienie się do niczego dobrego nie prowadzi. Powinna pamiętać o tym, że najsmutniejsi są ludzie, którzy się bez przerwy zamartwiają.

A przecież ten dzień miał być rodzinnym świętem. Brendan i Ashley czekali na niego od dawna i nawet mały Adam podskakiwał w swoim spacerowym wózku, piszcząc z podniecenia.

Mary obserwowała uważnie dwoje starszych dzieci, które szły przodem po Main Street USA, pełnej kolorowych sklepików i różnych atrakcji, trzymając między sobą rozłożoną mapę parku. Nie bardzo wiedziały, czego szukać, ale od kiedy urodził się Adam, lubiły udawać, że są dorosłe.

–Co chcecie najpierw, moje skarby? – spytała Mary. –

**Obiecałam wam, że pojedziemy do Disneylandu, no i jesteśmy.  
–Wszystko! – odparła natychmiast Asley. Gapiała się  
z otwartą buzią jak Goofy, prawdziwy Goofy, kroczy dostojnie  
środkiem ulicy.**

Brendan wskazał chłopca w czapeczce z uszami Myszki Miki i wyhaftowanym na otoku imieniem *Matthew*.

–Możemy mieć takie same? – spytał z nadzieją w głosie. – Możemy? Proszę, proszę, proszę!

–Nie. Przykro mi, kochanie, mama nie ma tyle pieniędzy. Nie dziś. Ale następnym razem na pewno.

Wyrzucała sobie, że nie przygotowała kanapek. Wyprawa do Disneylandu okazała się droższa, niż się spodziewała. Jeśli w domu zdarzy się coś złego, zanim przyjdzie następna pensja, znajdzie się w głębokim dołku.

Ale to było jeszcze jedno zmartwienie więcej. Nie myśl o tym. Nie dziś. Nie psuj wszystkiego.

–Wiem, co zrobimy – powiedziała łagodnie, wyjmując mapę z rąk dzieci.

Pojechali łodzią na kołach w Podróż Dookoła Świata, czego Mary nie robiła od czasu, gdy była w wieku Brendana.

Poczuła się tak samo jak kiedyś, dawno temu, i to ją podniosło na duchu. Kojący chłód i ciemność, niezmiennie uśmiechnięte twarze robotów. Było coś dodającego otuchy w tej podróży, w całym Disneylandzie. Dotrzymała danej dzieciom obietnicy i była z tego bardzo zadowolona.

–Popatrz tam! – pisnął Brendan, wskazując uśmiechniętą rodzinę eskimoską, machającą do nich rękami z ośnieżonego igloo.

Pomyślała, że Brendan i Ashley prawdopodobnie nie pamiętają śniegu, a mały Adam nigdy go nie widział. Szarość i stałe uczucie zimna w ich poprzednim domu wydawały jej się teraz odległe i nierzeczywiste, jak z innego świata -jak czarno-biała wersja *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Z tą różnicą, że Dorothy wróciła... a ona nie i nigdy już nie wróci. Dość ma wiecznie pokrytych śniegiem gór. Niech sobie stoją tam, gdzie ich miejsce, miliony kilometrów stąd. Jej rodzina zasłużyła na kalifornijskie słońce oraz oglądanie uśmiechniętych Eskimosów i Goofy'ego.

–Przepraszam panią, proszę wysiąść – powiedział obsługujący łódź pracownik parku, wrywając ją z zadumy.

Zamrugła oczami. Straciła połowę jazdy; myśląc o innych rzeczach. O czym to myślała na końcu? Rodzina Eskimosów... śnieg... Tak, o śniegu.

–Proszę pani, inni też chcą jechać.

Spojrzała na umundurowanego pracownika, który zwrócił jej uwagę.

–Możemy zrobić jeszcze jedną rundę? – spytała.

Uśmiechnął się przepraszająco.

–Przykro mi, ale nie wolno nam na to pozwalać. Musi pani znów stanąć w kolejce.

–Chodźmy! – zawołał Brendan. – No, mamó. Nie rób scen. Proszę.

–Dobrze, już dobrze. – Mrugnęła porozumiewawczo do pracownika parku. – Dzieci – powiedziała usprawiedliwiająco, po czym pobiegła przez peron, by dołączyć do swojej załogi, swoich najdroższych skarbów.

#### Rozdział 84

Kiedy zbliżała się pora lunchu, Mary stwierdziła z przykrością, że w torebce zostało jej tylko dwanaście dolarów i trochę drobnych. Wystarczyło jedynie na pizzę i napój, którymi musiała obdzielić wszystkie dzieci.

–Tu jest jakaś zielenina – zaprotestowała Ashley, kiedy Mary postawiła jedzenie na stole.

–Ta zielenina nie zmienia smaku pizzy – powiedziała uspokajająco Mary. Usunęła drobinki oregano serwetką. – Proszę. Już jej nie ma.

–Jest pod serem. Nie chcę tego, mamó.

–To jest nasz lunch, skarbie. Nie będzie nic innego, dopóki nie wrócimy do domu.

–Nic mnie to nie obchodzi. Jestem głodna.

–Ashley!

–Nie!

Mary wzięła głęboki oddech i policzyła do pięciu. Musiała użyć całej siły woli, żeby się opanować.

–Popatrz, jak ta pizza smakuje twojemu bratu. Jest pyszna.

Brendan uśmiechnął się i ugryzł kolejny kawałek, dając przykład posłuszeństwa. Ashley opuściła głowę, unikając wzroku matki.

Mary czuła narastające w barkach napięcie mięśni.

–Ash, kochanie, zjedz choć jeden kęs. Ashley! Masz to natychmiast zrobić. Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Zdawała sobie sprawę, że nie powinna nalegać. Odmowa jedzenia nie była najważniejszym problemem. Nie może z tego powodu krzyczeć na córeczkę.

–Czy wiesz, ile to kosztuje? – zapytała wbrew sobie. –

Czy wiesz, ile tu wszystko kosztuje?

Brendan próbował załagodzić sytuację.

–Mamo, daj spokój. Mamo! Mamo!

–Czy wiesz? – powtórzyła Mary, nie mogąc się powstrzymać. – Masz pojęcie?

–Nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć – odburknęła

Ashley.

Niewdzięczne dziecko. Mała jędza.

Napięcie z barków rozprzestrzeniło się coraz dalej, obejmując ręce i nogi. Mary poczuła ostre mrowienie w mięśniach, a potem nagłą ulgę.

Ashley nie chce pizzy? W porządku. Nie będzie jej miała.

Gwałtownie przesunęła ręką po stoliku.

–Mamo! – krzyknął Brendan.

Papierowe talerzyki i kawałki pizzy spadły na betonową podłogę. Jeden z gazowanych napojów przewrócił się i pienisty płyn zalał otwarty wózek spacerowy, w którym siedział Adam.

Jego pisk zlał się z krzykiem Mary.

–Widzisz, do czego doprowadziłaś?! Widzisz?!

Dźwięki ledwie do niej docierały. Słyszała własny głos, jakby dochodził z drugiej strony drzwi. Zamkniętych i zaryglowanych drzwi.

Nie tak miało być. Na miłość boską, wybrała się z dziećmi do Disneylandu. Wszystko potoczyło się źle. Wszystko, nad czym tak usilnie pracowała, poszło na marne. To jakiś koszmar. Co jeszcze musi się wydarzyć, żeby do końca zniszczyć jej starania?

Rozdział 85

Jeśli ostatni e-mail Mary Smith nie był prowokacją, mieliśmy jedynie czterdzieści osiem godzin na udaremnienie następnego zabójstwa.

Na domiar złego nie mogliśmy być wszędzie naraz, nawet gdybyśmy dysponowali setkami agentów i detektywów.

Wyłonił się jednak pewien trop, za którym postanowiliśmy pójść. Tak zdecydował Fred van Allsburg. Nie sądziłem, żeby potrzebne nam było następne zebranie, aby to przedyskutować,



**ale poszedłem na nie i wcale tego nie żałowałem.**

**Udało nam się obejść politykę trzymania przed nami w se-  
krecie informacji posiadanych przez policję Los Angeles,  
uprawianą przez Madduxa Fieldinga. Kiedy zjawiłem się na  
zebraniu, członek ich specjalnego zespołu, mającego za za-  
danie wyśledzenie niebieskiego suburba, właśnie do nas  
telefonował.**

**Zespół ten składał się z dwóch detektywów prowadzących,  
dwóch tuzinów agentów operacyjnych i koordynatora nazwis-  
kiem Merrill Snyder, który właśnie był na linii.**

**Snyder zaczął od przedstawienia ogólnego planu poszukiwań.  
Jego akcent zdradzał, że pochodzi z Nowej Anglii.**

**–Jak wiecie, departament pojazdów zmotoryzowanych nie  
rejestruje kolorów samochodów, a to jedyny znany nam wyróż-**

nik suburbańska, należącego rzekomo do Mary Smith – powiedział. – W rezultacie stajemy wobec dwóch tysięcy możliwości w samym hrabstwie Los Angeles. Głównym źródłem naszych informacji są telefony od obywateli. Codziennie dzwonią do nas setki ludzi, którzy albo mają niebieskiego suburbańska i nie wiedzą, co począć, albo zdaje im się, że widzieli taki samochód, a nawet takich, którzy tylko znają ludzi, którym się zdaje, że go widzieli. Bardzo trudno odróżnić tę jedną setną procenta zawiadomień wartych zainteresowania od dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych procenta bezwartościowych.

–Co wyróżnia to zawiadomienie, o którym mowa? – spytałem.

Snyder odparł, że kombinacja kilku szczegółów. Niektóre telefony przynosiły pojedyncze interesujące szczegóły, ale w tym jednym zbiegło się aż kilka.

–Facet doniósł, iż ma sąsiadkę, która jest zarazem jego lokatorką. Jeździ oczywiście niebieskim suburbanem i używa nazwiska Mary Wagner.

Zauważyłem poruszenie na sali. Możliwe, że była to przypadkowa zbieżność, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby nasza zabójczyni – biorąc pod uwagę jej chęć zwrócenia na siebie publicznej uwagi – używała swojego prawdziwego imienia.

–Ona jest wirtualną Jane Doe – mówił dalej Snyder. – Nie istnieje prawo jazdy wystawione na nazwisko Mary Wagner. Ani u nas, ani w żadnym innym stanie. Numery rejestracyjne są kalifornijskie, ale zgadnijcie, co jeszcze odkryliśmy?

–Są kradzione – mruknął ktoś z tyłu.

–Są kradzione – oświadczył Snyder. – I tu ślad się urywa. Prawdopodobnie odkręciła je z jakiegoś porzuconego samochodu. Zastanawiający jest też jej adres: Mammoth Avenue w dzielnicy Van Nuys. To zaledwie kilka przecznic od kafejki internetowej, w której znaleziono niedokończony e-mail.

–Co jeszcze wiadomo o tej kobiecie? – spytał van Allsburg. – Jest pod obserwacją?

Siedzący z przodu agent nacisnął kilka klawiszy w laptopie i na ekranie pokoju konferencyjnego ukazało się zdjęcie zrobione ukrytą kamerą na parking, przedstawiające wysoką białą kobietę w średnim wieku. Nie była ani zbyt szczupła, ani zbyt tęgą i miała na sobie różowy strój pomocy domowej, który wydawał się na nią nieco za mały. Ocenilem jej wiek na jakieś

**czterdzieści pięć lat.**

**–Zostało zrobione dziś rano – rzekł Snyder. – Pracuje w hotelu Beverly Hills jako posługaczka.**

**–Chwileczkę. Posługaczka? Powiedział pan, że jest posługaczka?**

**Kilka głów obejrzało się na agenta Page'a, który siedział na parapecie okna.**

**–Co w tym dziwnego? – zapytał van Allsburg.**

**–Coś mi przyszło do głowy, ale może się mylę...**

**–Mów.**

**–Przypomniał mi się raport doktora Crossa – rzekł**

**Page. – W hotelowym pokoju, w którym znaleziono Suzie Cartoulis i Briana Convera, łóżko było starannie posłane. – Wzruszył ramionami. – Może to karkołomna hipoteza, ale... sam nie wiem. Posługaczka hotelowa...**

**Umilkł, jakby przestraszyła go cisza, która zapanowała w sali. Gdyby miał większe doświadczenie, odebrałby ją jako oznakę zainteresowania, a nie sceptycyzmu. Cisza znaczyła, że wszyscy uznali jego spostrzeżenie za trafne i zaczęli je dopasowywać do własnych hipotez. Tymczasem obsługujący laptopa agent pokazał następne zdjęcie. Było to zbliżenie Mary Wagner.**

**Można było teraz zauważyć siwe nitki w jej ciemnych, grubych włosach, zebranych z tyłu głowy w niemodny węzeł. Okrągła twarz miała wyraz spokojnej powagi. Kobieta sprawiała wrażenie nieobecnej duchem.**

**Agent z ostatniego rzędu znów mruknął:**

**–Wygląda niezbyt ciekawie.**

**Miał rację. Była kobietą, której na ulicy się nie zauważało – w praktyce niewidzialną.**

**Rozdział 86**

**O 18.20 zaparkowałem samochód przecznicę od domu Mary Wagner. Mieliśmy nadzieję, że trafiliśmy na coś, co może przynieść przełom w sprawie. Jak dotąd udało nam się utrzymać prasę z daleka.**

**Nasz drugi samochód stał w alejce za domem, a trzeci śledził Wagner od momentu jej wyjścia z pracy – z hotelu Beverly Hills. Chwilę wcześniej przysłali nam wiadomość, że zrobiła zakupy w sklepie spożywczym i jest już blisko. I rzeczywiście kilka minut później zobaczyliśmy niebieski suburban, ciągnący za sobą chmurę dymu z rury wydechowej.**

**Mary Wagner wysiadła z wozu z dwiema plastikowymi torbami i weszła do domu. Sprawiała wrażenie silnej osoby. Zdawało mi się, że coś do siebie mówi, ale nie byłem pewny.**

**Kiedy zniknęła w środku, podjechaliśmy bliżej, żeby mieć lepsze pole obserwacji. Moim partnerem był tego wieczoru Manny Baker, mniej więcej w moim wieku. Uważany był za dobrego agenta, lecz jego monosylabowe odpowiedzi doprowadziły do tego, że już od dawna zaległa między nami cisza. Siedzieliśmy w milczeniu, obserwując w zapadającym zmierzchu dom Mary Wagner.**

**Wynajęty przez nią bungalow nie wyglądał najlepiej, nawet w tej podłej dzielnicy. W łańcuchowym ogrodzeniu brakowało**

bramy, a ceglane krawężniki frontowego chodnika były porośnięte trawą.

Działka, na której stał dom, była niewiele szersza od niego. Przejazd na tył był tak wąski, że suburban prawie się otarł o ścianę stojącego obok budynku.

Sąsiadem Mary był Jeremy Kilbourn, człowiek, który do nas zadzwonił, donosząc o suburbanie. Był właścicielem obu domów. Dowiedzieliśmy się od niego, że bungalow pani Wagner należał do jego matki, która zmarła przed czternastoma miesiącami. Mary wprowadziła się tam krótko po jej śmierci i regularnie płaciła czynsz. W opinii Kilbourn'a była „dziwaczną facetką” – sympatyczną, ale zamkniętą w sobie.

W jego domu było tego wieczoru ciemno. Postanowił zabrać swoją rodzinę do krewnych, dopóki nie sprawdzimy Mary Wagner.

W miarę jak zapadał zmierzch, ruch na ulicy zamierał i robiło się coraz ciszej. Mary Wagner zapaliła kilka świateł i wydawało się, że zaległa w domu. Samotne życie w cichej rozpacz, przemknęło mi przez głowę.

Wyjąłem kieszonkową latarkę i portfel, by popatrzeć na zdjęcia Damona, Jannie i małego Aleksa. Ciekaw byłem, co w tej chwili robią. Nie musiałem się martwić o to, że ktoś zobaczy zachwycony uśmiech, wywołany na mojej twarzy ich widokiem.

Przez kilka następnych godzin obserwowałem dom Mary Wagner, w którym nic się nie działo, od czasu do czasu zaglądając do leżącej na moich kolanach teczki z notatkami. Zapiski były jedynie dodającym mi pewności podkładem, gdyż wszystko, co wiedzieliśmy na temat Mary Smith, od dawna miałem w głowie.

Nagle zobaczyłem kogoś, na czyj widok przestałem wierzyć własnym oczom.

–Psiakrew, nie!!! – wrzasnąłem z wściekłością. –

O Boże!

Biedny Manny Baker omal nie przebił głową dachu wozu.

Rozdział 87

–Truscott, stop! Zatrzymaj się! Stój! – zawołałem i wysiadłem z samochodu, widząc, że dziennikarz i jego fotografka zmiierzają ku domowi Mary. Czego tam szukali?

Dzieliła nas mniej więcej ta sama odległość od bungalowu.

Truscott zaczął biec.

Zrobiłem to samo i okazałem się szybszy od niego – szybszy

nawet, niż sam się po sobie spodziewałem. Musiałem go powstrzymać, zanim zdoła dotrzeć do frontowych drzwi. Rzuciłem się więc na niego i facet upadł na ziemię, jęcząc z bólu.

Przewrócenie go było moją jedyną satysfakcją, bo Truscott doprowadził do całkowitej klęski naszego planu. Mary Wagner z pewnością nas usłyszała. Zaraz wyjdzie zobaczyć, co się stało, i wtedy zostaniemy zdemaskowani, a ja nie będę mógł nic na to poradzić.

Powlokłem dziennikarza za nogi po ulicy, dopóki nie znaleźliśmy się poza ewentualnym zasięgiem wzroku Mary. Miałem nadzieję, że również poza zasięgiem jej uszu.

–Mam prawo tu być – warknął Truscott. – Pozwę cię o odszkodowanie. Pójdiesz z torbami, Cross.

–W porządku. Pozwij mnie.

Ponieważ zaczął wrzeszczeć, a jego fotografka cały czas robiła nam zdjęcia, wykręciłem mu rękę do tyłu i poprowadziłem dalej w głąb ulicy.

–Nie możesz mi niczego zabronić! Nie masz prawa!

–Złapcie ją i odbierzcie jej aparat! – rozkazałem nadbiegającym agentom.

–Pozwę o odszkodowanie ciebie i biuro! Będę was ścigał do grobowej deski, Cross! – wrzeszczał Truscott, kiedy go prowadziliśmy za najbliższy róg. Tam założyłem mu kajdanki i wsadziliśmy go do jednego z naszych wozów.

–Zabierzcie go stąd! – poleciłem jednemu z agentów. – Fotografkę też.

Zanim samochód ruszył, rzuciłem ostatnie spojrzenie w głąb wozu.

–Pozwij mnie, pozwij całe FBI. Zostałeś aresztowany za utrudnianie nam pracy.

Parę minut później na wąskiej uliczce znów zapanował spokój.

Prawdę mówiąc, byłem zdumiony, że Mary Wagner, taka niby ostrożna i sprytna, niczego nie zauważyła. Przynajmniej tak nam się wydawało.

## Rozdział 88

Mary Wagner spała tej nocy znacznie dłużej niż którykolwiek z nas. James Truscott spędził noc w więzieniu, ale byłem pewien, że rano zostanie zwolniony. Jego wydawca zdążył już złożyć skargę. Niczego jednak nie stracił. Do czwartej rano, o której nas zmieniono, nic nowego się nie wydarzyło.

Wróciłem do hotelu i zanim o siódmej pojechałem do hotelu Beverly Hills, zdążyłem przespać się dwie godziny i wziąć prysznic. Zmiana Mary rozpoczynała pracę o 7.30.

Sprawa ruszyła z miejsca, lecz zarazem stawała się coraz dziwniejsza.

Luksusowy hollywoodzki hotel – charakterystyczny różowy budynek – stał przy Sunset Boulevard, ledwie widoczny za gęstą ścianą palm i bananowców. Różowe ściany i takie same meble w holu oraz tapety w bananowe liście harmonizowały z wyglądem zewnętrznym hotelu.

Z Andre Perkinsem, szefem hotelowej ochrony, spotkałem się w jego biurze w suterenie. Nie mogłem spotykać się z nikim więcej, jeśli miałem przeprowadzić mój plan.

Perkins sam był niegdyś agentem biura. Kiedy wszedłem do pokoju, na jego biurku leżały już dwie kopie akt Mary Wagner.

–Z akt wynika, że jest wzorowym pracownikiem – poinformował mnie. – Przyjeżdża punktualnie, dobrze wypełnia

swoje obowiązki. Zjawia się, wykonuje swoją pracę i znika. Mogę popytać wśród pracowników, czy coś wiedzą na jej temat. Chce pan?

–Na razie nie, dziękuję. Skąd do was przyszła? Może w tym jest coś interesującego.

Wyjął z akt podanie Mary Wagner o pracę i kilka stron notatek.

–Pracuje u nas prawie od ośmiu miesięcy. Poprzednio pracowała w Marriotcie, z którego została zwolniona za obopólnym porozumieniem. Próbowałem sięgnąć dalej wstecz, lecz natrafiałem na nieistniejące numery telefoniczne. Numer jej ubezpieczenia społecznego też jest fałszywy. Ale w tym zawo-  
dzie to nic niezwykłego.

–Czy ktoś może potwierdzić, że ani razu nie opuściła hotelu podczas swoich zmian?

Perkins potrząsnął głową.

–Mamy tylko protokoły kontroli wykonanej pracy.

Jeszcze raz przejrzał papiery.

–Zawsze wykonywała swoją normę, a nie mogłaby jej wyrobić, gdyby się wymykała. Jakość jej pracy znacznie przekracza średnią. Mary Wagner to jedna z najlepszych pracownic naszego hotelu.

## Rozdział 89

Perkins pozwolił mi skorzystać ze swojego faksu, żebym mógł wysłać do biura kopie wykazu dyżurów Mary Wagner dla porównania ich z czasem popełnienia zbrodni. Potem dał mi mundur pracownika personelu opatrzony naszywką, na której widniało imię „Bill”.

Ulokowałem się w suterenie, mając widok na magazyn, w którym administracja wydawała artykuły papierowe i środki czyszczące. O 7.30 przybyła nowa zmiana.

Składała się wyłącznie z kobiet. Wszystkie miały na sobie różowe mundurki. Mary była wśród nich najwyższa. Grubo-koścista, mocno zbudowana kobieta – można by o niej powiedzieć. Była jedną z nielicznych białych pokojówek.

Wyglądała na wystarczająco silną, by dać sobie radę z manewrowaniem w basenie ciałem Marti Lowenstein-Bell czy dźwignięciem Briana Convera z podłogi na łóżko – czego dokonała Mary Smith.

Stałem jakieś dwadzieścia metrów od niej przed otwartą skrzynką bezpiecznikową, której drzwiczki częściowo zasłaniały mi twarz.



**Wagner pracowała sprawnie i w milczeniu, podczas gdy inne żywo rajcowały, przeważnie po hiszpańsku. Była zamknięta w sobie, tak jak powiedział Perkins. Swój wózek wtoczyła do windy towarowej jako pierwsza.**

**Nie pojechałem za nią na górę. W korytarzach hotelowych nie**

było się gdzie ukryć, a dla mnie najważniejsze było móc ją śledzić w domu. W hotelu możliwości obserwacyjne były ograniczone. Jediną okazją przyjrzenia się jej dokładniej była przerwa na lunch, kiedy stołówka dla personelu wypełniła się po brzegi. Mary siedziała sama przy stoliku w pobliżu drzwi, jedząc kanapkę z tuńczykiem i pisząc coś w notatniku o płóciennych okładkach. Prawdopodobnie był to jej dzienniczek. Miałem wielką ochotę do niego zerknąć. Jej rozmowy z koleżankami ograniczały się do uprzejmościowych zwrotów powitalnych i pożegnalnych. Wzorowa pracownica.

To mi na razie wystarczyło. Wróciłem do biura Perkinsa w suterenie i zdałem mu sprawozdanie. W trakcie rozmowy zapiszczał mój pager.

–Przepraszam – powiedziałem do Perkinsa i zadzwoniłem z jego telefonu do Karla Page'a w centrum kryzysowym.

–Pomyślałem sobie, że chciałbyś to wiedzieć jak najprędzej... sekundę, już mam... Mary Wagner nie było w pracy przynajmniej dwie godziny przed i dwie godziny po popełnieniu każdego z tych morderstw. Bingo!

–W porządku, dzięki. Wyjeżdżam stąd. Ona teraz jest w pracy.

–Kiedy ją ostatnio widziałeś?

–Dziesięć minut temu. Spieszę się, Page. Muszę kończyć... Perkins patrzył na mnie wyczekująco, a ja nie chciałem się przed nim zbyt szczegółowo spowiadać. Słuchawka dotykała już widełek, gdy nagle usłyszałem okrzyk Page'a:

–Poczekaj!

Spojrzałem na Perkinsa i uniosłem brwi. Gorliwość Page'a była czasem irytująca.

–O co chodzi, Karl?

–Przypomnij sobie ostatni e-mail Mary Smith. Morderstwo ma zostać popełnione jutro do dwunastej w południe.

–Rozumiem. – Odłożyłem telefon. Domyśliłem się, co mój młody kolega chciał mi dać do zrozumienia.

Jutro Mary Wagner miała wolne.

Rozdział 90

Czułem, że powinno się porozmawiać z Mary Wagner, zanim wstrząs spowodowany aresztowaniem sprawi, że zamknę się w sobie. Wiedziałem, że policja Los Angeles będzie chciała działać bardzo szybko, musiałem więc zadziałać jeszcze szybciej.

Kiedy wróciłem do biura, zastałem van Allsburga w jego

**pokoju.**

**–Nie prosź mnie o to. To nie nasza broszka – odparł, gdy zapytałem, czy mógłbym przesłuchać Mary Wagner. – Jeśli Maddux Fielding zamierza ją aresztować...**

**–Zrób mi tę jedną przysługę – naciskałem.**

**Chwilę później telefonowaliśmy do policji. Wiedziałem, że Maddux Fielding prawdopodobnie nie będzie chciał ze mną rozmawiać, ale nie mógł odmówić van Allsburgowi.**

**–Maddux, jest u mnie Alex Cross. Przekonał mnie, że nie powinniście zatrzymywać Mary Wagner, dopóki jej nie przesłucha.**

**–Jak długo jeszcze mamy zwlekać? – prychnął Fielding. – Mamy wystarczające dowody, by ją przyskrzynić.**

**–Macie tylko poszlaki – powiedziałem przez głośnomówiący zestaw telefoniczny. – Będziecie musieli ją wypuścić**

**–Moja głowa w tym, żeby tak się nie stało.**

–Co to znaczy? – spytałem, zaczynając się gotować ze złości. – Co chcesz przez to powiedzieć, Maddux? Czy to znaczy, że nas odcinasz od sprawy?

Zignorował moje pytanie.

–Słuchaj, ta kobieta jest pod stałą obserwacją policji i naszych agentów – oświadczyłem. – Nic nie wskazuje na to, że ma zamiar wykonać jakiś ruch. Znamy jej rozkład zajęć. Daj mi odrobinę czasu, żebym porozmawiał z nią w domu. To może być ostatnia szansa dotarcia do niej, zanim ustawi się w obronnej pozycji. – Byłem na siebie zły za swój pojednawczy ton, zdawałem sobie jednak sprawę, jak ważne może okazać się przesłuchanie tej kobiety w jej własnym domu. – Wiem, że są między nami różnice zdań, ale chyba w przypadku Mary obaj jesteśmy zainteresowani szybkim skłonieniem jej do przyznania się do winy. A to jest rzecz, którą potrafię najlepiej. Jeśli mi tylko pozwolisz...

–Daję ci czas do szóstej, Cross – powiedział niespodziewanie. – Ale jeżeli nie pojedzie po pracy do domu albo zmienią się okoliczności, aresztujemy ją.

Usłyszałem kliknięcie odkładanej słuchawki, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

## Rozdział 91

Zwolniła łańcuch nawet nie sprawdzając, kto przyszedł. Usłyszałem wewnątrz szczęknięcie i drzwi otworzyły się szeroko.

–Czy pani Mary Wagner?

–Tak. Słucham?

Jej duże stopy były bose, ale nie zdążyła jeszcze zdjąć różowego uniformu służby hotelowej Beverly Hills. Uśmiechała się przyjaźnie, dopóki się nie przedstawiłem.

–Agent Cross z FBI. – Pokazałem jej moją legitymację wraz z odznaką. – Mogę wejść i zadać pani parę pytań? To bardzo ważne.

Zmęczona twarz kobiety pomarszczyła się.

–Chodzi o samochód, prawda? Boże, chyba muszę go przemalować, sprzedać albo zrobić z nim coś innego. Nie ma pan pojęcia, jak podejrzliwie wszyscy na mnie patrzą.

Jej zachowanie było bardziej swobodne niż w hotelu, ale cechowała je owa frasobliwa nerwowość wychowawcy w publicznym przedszkolu, mającego zbyt wielu podopiecznych.

–Tak, proszę pani – odparłem. – Chodzi o samochód.

Ale to tylko formalność. Sprawdzamy wszystkie niebieskie suburbany. Mogę wejść? To potrwa tylko chwilę.

**–Oczywiście. Nie miałam zamiaru być niegościnna. Proszę do środka.**

Pomachałem ręką do Bakera na ulicy.

–Pięć minut! – zawołałem, głównie po to, by pani Wagner wiedziała, iż nie jestem sam. Miałem nadzieję, że nie zwróciła uwagi na nieoznakowane samochody policji, rozlokowane w górze i w dole ulicy.

Kiedy wszedłem, zamknęła za mną drzwi. Poczułem przypływ adrenaliny. Czy ta kobieta rzeczywiście była morderczynią – w dodatku chorą umysłowo? Z jakiegoś powodu wcale nie czułem zagrożenia.

Już od progu uderzyła mnie schludność wnętrza. Podłogi były świeżo zamiecione, ani śladu jakiegokolwiek nieporządku. W korytarzu wisiała wycinanka ze sklejki. Przedstawiała wiejską dziewczynę z namalowanym na spódnicy napisem „Witajcie”. Uświadomiłem sobie nagle, że za zewnętrzny opłakany stan budynku odpowiada właściciel. Wnętrze było jej.

–Proszę wejść i usiąść – powiedziała.

Ruchem ręki zaprosiła mnie do saloniku za łukowatym wejściem po prawej stronie. Większą część pokoju zajmowała sofa i dwuosobowa kanapka, która zupełnie do niej nie pasowała.

Telewizor miał wyłączony dźwięk, a na wysłużonym sekwojowym stoliku do kawy stał na pół opróżniony talerz z zupą i puszka dietetycznej pepsi.

–Widzę, że przeszkodziłem pani w kolacji. Proszę mi wybaczyć – powiedziałem, co wcale nie znaczyło, że zamierzałem odejść.

–Ach, nie. Nie szkodzi. I tak nie mam apetytu. – Pośpiesznie wyłączyła telewizor i zabrała ze stolika jedzenie. Zniosła naczynia do kuchni na końcu korytarza, a ja stałem, rozglądając się. Wszystko było na swoim miejscu. Normalny dom, może nawet za bardzo schludny, zbyt nieskazitelnie czysty.

–Napije się pan czegoś? – zapytała z kuchni.

–Nie, dziękuję.

–Wody? Napoju gazowanego? Soku pomarańczowego? Proszę się nie krępować, agencie Cross.

–Naprawdę dziękuję, ale nie – odparłem stanowczo.

Gdzieś tu musiał być jej dziennik, nigdzie go jednak nie widziałem. W telewizji leciały *Jeopardy!*

–Prawdę mówiąc, sok pomarańczowy właśnie mi się skończył – powiedziała z rozbrajającym uśmiechem, kiedy do mnie wróciła. Sprawiała wrażenie całkowicie rozluźnionej albo

doskonale grała swoją rolę. Oboje usiedliśmy.

–Czym mogę panu służyć? – zapytała tonem, który wydał mi się dość intrygujący. – Chcę oczywiście pomóc.

Staralem się mówić jak najzwyczajniej, by nie wzbudzić w niej podejrzeń.

–Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy pani jest jedyną osobą, jeżdżącą tym samochodem.

–Oczywiście, że tak. – Uśmiechnęła się, jakby moje pytanie ją rozbawiło. Ciekaw byłem dlaczego.

–Czy w ciągu sześciu minionych tygodni bywały okresy, kiedy wóz nie był pod pani kontrolą?

–Tylko wtedy, gdy spałam albo byłam w pracy. Pracuję w hotelu Beverly Hills jako posługaczka.

–Rozumiem. Używa pani samochodu, by dojeżdżać do pracy.

Rozluźniła palcami kołnierzyk hotelowego uniformu i spojrzała wymownie na notes, który trzymałem w ręce, jakby chciała, żebym to zapisał. Zrobiłem to.

–Tak – odparła. – A wracając do pańskiego poprzedniego pytania, samochód bywał czasami poza moją... kontrolą. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Poza moim zasięgiem.

Zapisałem parę spostrzeżeń: *Stara się być pomocna. Nie-spokojne ręce. Chce, bym zauważył, że jest inteligentna.*

Kiedy rozmawialiśmy, bacznie ją obserwowałem, ale nie zauważyłem nic niezwykłego. Zastanawiająca była tylko uwaga, jaką mi poświęcała. Jej ręce bezustannie przenosiły się z miejsca na miejsce, lecz brązowe oczy ani na moment nie przestawały na mnie patrzeć. Odniosłem wrażenie, iż cieszy się z mojej wizyty.

Kiedy wstałem, by się z nią pożegnać, wyraźnie posmutniała.

–Czy nie sprawią pani kłopotu, jeśli poproszą o szklankę wody? – spytałem.

Jej twarz natychmiast się rozjaśniła.

–Już panu podają.

Poszedłem za nią aż na próg kuchni. Tam również panował nieskazitelny porządek. Blaty były zupełnie puste, jeśli nie liczyć poczwórnego tosteru i kompletu puszek.

Półka obok zlewu była zastawiona naczyniami, a wśród czystych sztućców leżały dwa noże do steków.

Mary Wagner napełniła szklankę i podała mi ją. Woda miała odrobiną mydlany smak.

–Pochodzi pani z Kalifornii? – spytałem, by podtrzymać konwersację. – Z tych okolic?

–Ach, nie – odparła. – Nie z tak pięknych jak te.

–Skąd pani przyjechała?

–Z bieguna północnego. – Temu żartowi towarzyszył zawstydzony uśmiech. Potrząsnęła głową. – A jeśli nie z samego bieguna, to przynajmniej z niedalekich okolic

–Spróbuję zgadnąć: z Maine? Sprawia pani wrażenie mieszkanki Nowej Anglii.

–Jeszcze wody?

–Nie, dziękuję. Wystarczy.

Wyjęła mi z raki do połowy opróżnioną szklankę i łożyła ją do zlewu.

W tym momencie rozpętało się piekło.

Najpierw usłyszałem tupot ciężkich butów na zewnętrzny dziedzińcu domu i głośne krzyki. Niemal w tej samej sekundzie tylne drzwi zostały wybite wśród ogłuszającego hałasu pękającego drewna i szkła. To samo stało się z drzwiami od frontu.

Do kuchni z obu stron wpadli policjanci w kuloodpornych kamizelkach, z bronią wycelowaną w Mary Wagner.

## Rozdział 92

Wypuściła z rąk szklankę, lecz nawet nie było słyhać, jak się stłukła. Kuchnia wypełniła się głośnymi wrzaskami policjantów i przeraźliwym krzykiem Mary.

–Wynoście się z mojego domu! Nic nie zrobiłam! Zabierzcie ode mnie łapy! Czego chcecie?

Uniosłem wysoko swoją odznakę, nie mając pewności, czy ludzie z oddziału szturmowego wiedzą, kim jestem.

–Na podłogę! – Pistolet dowódcy wciąż był wycelowany w pierś Mary. – Kładź się! Natychmiast! Na podłogę!



**Wystarczyło kilka sekund, by zmienić Mary Wagner w ludzki wrak. Błądziła nieprzytomnie oczami po całym pomieszczeniu, nie mogąc na niczym skupić wzroku. Zdawała się nie słyszeć wrzeszczącego na nią policjanta.**

**–Na podłogę! – krzyknął ponownie.**

**Cofała się w obronnej pozycji, ze skulonymi ramionami, pojękując z przerażenia.**

**Bosą stopą nastąpiła na stłuczoną szklankę. Krzyknęła z bólu i szarpnęła się w bok, jakby ktoś ją uderzył. Jej druga stopa pośliznęła się na rozlanej wodzie, Mary zamachała rękami jak wiatrak, po czym upadła na podłogę.**

**W ułamku sekundy znalazła się przy niej grupa szturmowa.**

**Dwaj funkcjonariusze przekręcili ją twarzą do podłogi i skuli**

ręce za plecami. Inny błyskawicznie przeczytał jej prawa; według mnie zbyt szybko, by mogła je zrozumieć.

Ktoś dotknął mojego łokcia i szepnął mi do ucha:

–Zechce pan łaskawie pójść ze mną?

Zignorowałem go.

–Proszę pana... – Funkcjonariusz ponownie ujął mnie za łokieć, ale ja gniewnie strząsnąłem jego rękę.

–Trzeba opatrzyć tę kobietę – oświadczyłem. Nikt mnie jednak nie słyszał, a jeśli nawet słyszał, to nie zareagował.

–Czy pani rozumiała, co powiedziałem? – spytał funkcjonariusz, który aresztował Mary Wagner. Potrząsnęła głową, leżąc cały czas twarzą do podłogi. Byłem pewny, że nie dotarło do niej ani jedno słowo.

–Musisz pani powiedzieć „tak” lub „nie”. Pytam jeszcze raz: czy pani rozumiała, co powiedziałem?

–Tak. – Zabrzmiało to jak westchnienie. Oddychała nierówno. – Rozumiałam. Myślicie, że zrobiłam coś złego? Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Przepchnąłem się przez policjantów i ukląknęłem koło niej.

–Mary, to ja, agent Cross. Jesteś świadoma tego, co powiedziałaś? Na pewno rozumiałaś, o co cię pytano?

Wciąż była przestraszona, ale nie zauważyłem u niej objawów dysocjacji. Upewniłem się, czy w ranie nie ma odłamków szkła, po czym owinąłem stopę ścierką do naczyń i pomogłem Mary usiąść.

Rozglądała się wokół siebie błędnym wzrokiem, jakby szukała czegoś znajomego.

–Mary, zostałaś aresztowana. Musisz pojechać z tymi ludźmi. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

–W porządku, zabieramy ją – przerwał nam dowódca grupy. Był tak młody, że mógłbym być jego ojcem.

–Daj mi jeszcze sekundę – powiedziałem.

–Nie mogę, proszę pana – odparł. – Muszę natychmiast odstawić podejrzaną do aresztu.

Odwróciłem się od Mary i spytałem go cicho:

–Czy sądzisz, że jestem tu po to, żeby wam w tym przeszkodzić?

–Mam wyraźny rozkaz, proszę pana. Niech pan zostawi tę kobietę. To my ją aresztowaliśmy.

Gdybym nie ustąpił, pewnie doszłoby do awantury. Przez chwilę się zastanawiałem, czy mimo to nie powinienem za-

protestować, doszedłem jednak do wniosku, że nie warto. Młody funkcjonariusz wykonywał tylko rozkazy, polemizować mogłem z jego przełożonym. Zresztą szkody i tak już się nie dało naprawić.

W ciągu kilku sekund policjanci postawili Mary Wagner na nogi i wyprowadzili ją za drzwi. Pozostała po niej czerwona smuga na linoleum podłogi i poplamiona krwią ścierka do naczyń.

–Opatrzcie ją! – krzyknąłem, choć tamci już nie mogli mnie słyszeć, a gdyby nawet, mieli to gdzieś.

Kląłem na czym świat stoi; miałem ochotę kogoś uderzyć. Mój gniew i frustracja szukały jakiegoś ujścia. Wiedziałem, gdzie je znajdę. Odwróciłem się na pięcie i wrzasnąłem do policjanta, który był jeszcze w kuchni:

–Gdzie jest, psiakrew, Maddux Fielding?! Chcę widzieć tego sukinsyna!

### Rozdział 93

–Nie zwracaj mi głowy, Cross – powiedział Fielding, zanim jeszcze do niego podszedłem. Stał na chodniku przed domem Mary Wagner, rozmawiając z jednym ze swoich ludzi, którzy dokonali aresztowania.

Spokój całego kwartału podmiejskiej dzielnicy mieszkaniowej został zakłócony policyjną akcją, jakiej większość mieszkańców nigdy nie widziała i nie chciałyby oglądać.

Uliczka była zakorkowana przynajmniej tuzinem wozów patrolowych, na niektórych z nich nadal błyskały światła alarmowe. Wzdłuż łańcuchowego ogrodzenia rozciągnięto żółtą taśmę policyjną, a od strony ulicy oddzielał posiadłość rząd kozłów, powstrzymujący szybko gromadzący się tłum gapiów, pragnących zobaczyć choć fragment policyjnej akcji na żywo.

„Wyobraźcie sobie, że w tym domu mieszkała Mary Smith! W naszym sąsiedztwie!”.

Zauważyłem również kilka wozów prasowych i telewizyjnych. Byłem pewien, że Maddux Fielding postarał się o nagłośnienie swojego wielkiego sukcesu, i to mnie jeszcze bardziej rozwścieczyło.

–Po co to zrobiłeś?! – wrzasnąłem do niego.

Kiedy się odwrócił, by na mnie spojrzeć, zobaczyłem na jego twarzy wyraz triumfu.

–Zgodziłeś się, że ją przesłucham, nie zapewniwszy bezpieczeństwa ani mnie, ani jej. Mogłem zostać zastrzelony, ona też mogła zostać zastrzelona. Zrobiłeś spektakl z tego aresztowania. Przynosisz hańbę policji Los Angeles.

Nie dbałem o to, czy ktoś mnie słyszy; miałem nadzieję, że to go postawi w kłopotliwym położeniu. Może tylko taki język rozumiał. Ale jego twarz nadal była nieprzenikniona.

–Agencie Cross...

–Czy wiesz, że zaprzepaściłeś wszelkie szanse na to, żeby się przyznała?

–Nie są mi potrzebne! – ryknął w odpowiedzi. – Nie są mi potrzebne, bo mam dowód!

–Jaki dowód?

Z politowaniem pokiwał głową. Informacja w naszej profesji była na wagę złota, a Fielding ją miał. Co on, psiakrew, przede mną ukrywał?

–Jestem teraz zajęty – odparł. – Udostępnię mój raport FBI, jak tylko go skończę.

Po takiej odpowiedzi nie mogłem odejść.

–Dałeś mi czas na przesłuchanie. Nie dotrzymałeś obietnicy.

Zdążył się już odwrócić, ale teraz znów stanął naprzeciw mnie.

–Powiedziałem: jeśli nie zmienią się okoliczności. Pamiętam dokładnie swoje słowa.

–A co się, do cholery, zmieniło?

Uśmiechnął się złośliwie i warknął:

–Odwal się, Cross. Nie muszę odpowiadać na twoje pytania.

Rzuciłem się na niego – miałem wrażenie, że właśnie tego chciał. Dwaj jego goryle weszli między nas i odciągnęli mnie.

W samą porę, bo miałem zamiar zmieść z jego twarzy ten cyniczny uśmieszek, a nawet trochę ją przemodelować. Strząsnąłem z ramion łapy funkcjonariuszy i odszedłem.

Nie czekając, aż ochłoneę, zadzwoniłem z kotłórną detektyw Galletty.

–Jeanne Galletta, słucham?

–Mówi Alex Cross. Czy wiesz, że aresztowano\* Mary Wagner?

–Dzięki, to dobra wiadomość. Co u ciebie?

**–Przepraszam, że cię niepokoję, ale wiesz coś o tym czy nie? Jestem teraz w jej domu. Zrobiło się straszne zamieszanie. Nie uwierzysz, jaki to przybrało obrót.**

**Przez chwilę milczała.**

**–Nie prowadzę już tej sprawy.**

**–Czy dostałbym inną odpowiedź, gdybym cię o to zapytał osobiście?**

**–Możliwe.**

**–W takim razie daj mi trochę czasu. Proszę cię, Jeanne, potrzebna mi twoja pomoc, ale nie mogę teraz przyjechać. W końcu jednak zmiękła.**

**–Co tam się stało? Poznają po twoim głosie, że jesteś bardzo zdenerwowany.**

**–Owszem. Wszystko poszło na marne. Byłem w trakcie przesłuchiwania Mary, kiedy do jej domu wtargnął oddział specjalny policji Los Angeles, jakby ukrywał się tam Osama bin Laden. To było śmieszne i absolutnie niepotrzebne, Jeanne. Fielding coś wie, ale nie chce mi nic powiedzieć.**

**–Oszczędzę ci trudu – oświadczyła. – To ona popełniła te morderstwa, Alex.**

**–Skąd wiesz? Czego dowiedziała się policja? O co tu chodzi?**

**–Zdjęli włos ze swetra, który był w szafce Mary Wagner w hotelu. Pamiętasz tamten włos, znaleziony w kinie po zamordowaniu Patrice Bennett? Należał do Wagner. Niedawno przyszedł wynik analizy porównawczej. Fielding oparł się właśnie na tym dowodzie.**

**Mój mózg pracował gorączkowo, starając się wkomponować tę nową informację w pozostałe.**

–Sporo wiesz jak na osobę odsuniętą od śledztwa.

–Nic nie poradzę na to, że przypadkiem usłyszałam, co się dzieje.

–A może przypadkiem usłyszałaś też, dokąd zabrali Wagner?

Zawahała się, ale tylko na moment.

–Podobno do komisariatu w dzielnicy Van Nuys na Sylmar Avenue. Długo tam nie pobędzie, więc się pośpiesz.

–Zaraz tam jadę.

#### Rozdział 94

Z komisariatu Van Nuys odprawiono mnie z kwitkiem.

Powiedziano mi, że Mary Wagner u nich nie ma.

Nie wiedziałem, jak skłonić policję Los Angeles do zmiany stanowiska: mieli w swoich rękach podejrzaną kobietę i nie zamierzali się nią z nami dzielić. Nawet Ron Burns nie mógł albo nie chciał mi pomóc.

Mogłem odwiedzić Mary dopiero następnego dnia rano. Do tego czasu policja trzymała ją w areszcie śledczym gdzieś w śródmieściu, ale przesłuchiwanie jej nie przyniosło żadnego rezultatu – jak to zresztą przewidywałem.

Jeden z detektywów, okazujący zatrzymanej więcej współczucia, określił jej stan jako coś pośredniego między depresyjną apatią i katatonią, mimo to nadal chciałem się z nią zobaczyć.

Kiedy dotarłem do śródmiejskiego aresztu, ujrzałem tłum reporterów, znacznie przekraczający liczebnością kohorty pis-maków, jakie do tej pory widywałem. Sprawa Bestii z Hollywood zdążyła w krótkim czasie wejść na czołówki gazet w całym kraju. Wszystkie zamieściły policyjne zdjęcie Mary Wagner: rozczochrana, patrząca pustym wzrokiem kobieta, sprawiająca wrażenie niebezpiecznej wariatki.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem w samochodowym radiu, zanim je wyłączyłem, był poranny program satyryczny i pro-

wadzone w psychoterapeutycznym żargonie rozważania, dla-czego Mary mordowała sławne i bogate kobiety Hollywoodu.

–Co sądzisz o Kathy Bates? Mogłaby zagrać rolę tej kobiety. Jest doskonałą aktorką – zasugerował przez telefon prowadzącemu program jeden z „zaniepokojonych” słuchaczy. Prowadzący skwapliwie podchwycił temat.

–Za stara. Poza tym ostatnio grała w *Misery*. Lepsza byłaby Nicky Kidman. Wystarczy przyprawić jej sztuczny nos, założyć perukę, dodać kilkanaście kilogramów i będzie w sam raz –

odparł. – Albo Meryl Streep. A może Emma Thompson? Kate Winslet też by się nadawała.

Gdy wszedłem do budynku, sprawdzano mnie przez prawie czterdzieści pięć minut. Musiałem porozmawiać z przedstawicielami czterech rozmaitych służb i kilkakrotnie okazać moją legitymację, zanim w końcu wpuszczono mnie do małego pokoju przesłuchań, dokąd obiecano przyprowadzić Mary Wagner. W drodze wyjątku.

Kiedy ją zobaczyłem, ogarnęło mnie współczucie.

Szła, powłócząc nogami, miała sińce pod oczami i sprawiała wrażenie, jakby od dawna nie zmrużyła oka. Różowy mundurek gdzieś przepadł, miała teraz na sobie bezkształtne szare spodnie od dresu i starą sportową bluzę Uniwersytetu Kalifornijskiego, poplamioną żółtą farbą o tym samym odcieniu co ściany jej kuchni.

Na mój widok w jej oczach zamigotała iskierka rozpoznania. Przypomniał mi się pewien pacjent ze szpitala St. Anthony'ego w Waszyngtonie, cierpiący na chorobę Alzheimera, którego regularnie odwiedzałem.

Kazałem strażnikowi zdjąć jej kajdanki i poczekać za drzwiami.

–Dam sobie z nią radę. Jesteśmy przyjaciółmi.

–Przyjaciółmi – powtórzyła jak echo, zagładając mi głęboko w oczy.

Rozdział 95

–Mary, poznajesz mnie? Wczoraj z tobą rozmawiałem – przypomniałem jej, gdy tylko strażnik wyszedł na korytarz. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciw niej. Dzielił nas prosty drewniany stół, przyśrubowany do podłogi. W małym pomieszczeniu było zimno, czuło się przeciąg.

–Pan się nazywa Cross – powiedziała cicho. – Agent Cross z FBI. Przepraszam, jeśli się pomyliłam.

–Masz dobrą pamięć. Czy wiesz, dlaczego tu jesteś? Wzruszyła ramionami.

–Oni myślą, że jestem tamtą kobietą. Oskarżają mnie o morderstwo. – Spuściła głowę. – O morderstwa. Więcej niż jedno. Tych wszystkich kobiet. Myślą, że to ja. Ucieszyło mnie, że mówi „oni”. To znaczyło, że nadal uważa mnie za sprzymierzeńca. Była szansa, że zdradzi mi jakąś swoją tajemnicę.

–Nie będziemy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz – powiedziałem.

Zamrugnęła szybko. Odniosłem wrażenie, że nieco się ożywiła.

**Spojrzała na mnie spod przymkniętych powiek, po czym znów spuściła głowę.**

**–Masz na coś ochotę? Chce ci się pić? – zapytałem.**

**Chciałem, żeby poczuła się przy mnie w miarę swobodnie,**



poza tym współczucie nakazywało mi ulżyć jej doli. Wyglądała żałośnie i prawdopodobnie była również rozbita wewnątrz.

Podniosła głowę, szukając wzrokiem moich oczu.

–Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale czy mogłabym dostać kawy?

Kiedy ją przyniesiono, Mary objęła koniuszkami palców papierowy kubek, powoli popijając gorący płyn. Kawa wyraźnie dodała jej energii.

Od czasu do czasu spoglądała na mnie z ukosa.

–Dzięki. – Nieświadomie przyglądała sobie włosy. Jej oczy się rozjaśniły i dostrzegłem w niej cień tamtej sympatycznej, przyjaznej kobiety, którą poznałem poprzedniego dnia.

–Mary, czy nie chcesz wiedzieć, co się wokół ciebie dzieje?

Jestem pewien, że chcesz.

Do jej oczu nabiegły łzy. Najwyraźniej jej opanowanie było bardzo wątłe. Milcząc, kiwnęła głową.

–O co chciałabyś spytać, Mary?

Spojrzała na narożnik sufitu, gdzie była umieszczona kamera. Wiedziałem, że za ścianą, nie dalej niż trzy metry od nas, siedzi przynajmniej pół tuzina psychiatrów i stróżów bezpieczeństwa publicznego, śledząc każde nasze słowo i ruch.

Domyśliłem się, że Mary o tym wie.

–Nie chcą mi nic powiedzieć o moich dzieciach – wyszeptała, z trudem powstrzymując łzy.

Rozdział 96

–O twoich dzieciach? – powtórzyłem, starając się nie dać poznać po sobie zaskoczenia

–Czy pan wie, gdzie one są? – Mówiła łamiącym się głosem, lecz z wyraźnym ożywieniem.

–Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Mogę się tego dowiedzieć, ale musisz mi podać więcej szczegółów.

–Proszę pytać. Powiem panu wszystko, co pan będzie chciał. One są za małe, nie powinny być same.

–Ile masz dzieci?

–Sprawiała wrażenie zdziwionej moim pytaniem."

–Jak to? Nie wiedział pan o tym? Troje

–Wyjąłem notes.

–W jakim są wieku?

–Brendan ma osiem lat... Ashley pięć... a Adam jedenaście miesięcy. – Mówiła z przerwami, czekając, aż zapiszę.

Jedenaście miesięcy?

Z jakiegoś powodu wydało mi się wątpliwe, żeby rok temu

**mogła urodzić dziecko, choć było to oczywiście możliwe.**

**Powtórzyłem wiek dzieci, żeby się upewnić:**

**–Osiem i pięć lat, jednaście miesięcy?**

**Kiwnęła głową.**

**–Zgadza się.**

–A ile ty masz lat, Mary?

Po raz pierwszy zobaczyłem na jej twarzy gniew. Zacisnęła pięści i zamknęła oczy, próbując nad sobą zapanować. O co tu chodziło?

–Dwadzieścia sześć, do cholery. Jakie to ma znaczenie?

Nie możemy rozmawiać o dzieciach?

Dwadzieścia sześć...? Trafiłem w czuły punkt. O to właśnie mi chodziło. Znalazłem otwarcie.

Zajrzałem do moich notatek i postanowiłem zrobić następny krok.

–Więc Brendan, Ashley i Adam mieszkają razem z tobą?

Ponownie kiwnęła głową. Za każdym razem, kiedy udawało mi się coś odgadnąć, wyraźnie się odprężyła. Wyraz ulgi na jej twarzy wydawał się promieniować na całe ciało.

–Były w domu wczoraj, kiedy cię odwiedziłem?

Sprawiła wrażenie zmieszanej moim pytaniem. Na jej twarz powrócił ten sam gniew, który pojawił się, gdy zapytałem ją o wiek.

–Dobrze pan wie, że tak, agencie Cross. Przecież był pan u mnie. Dlaczego pan udaje, że pan nie wie? – Mówiła coraz głośniejsze, jej oddech stawał się coraz płytszy: – Co zrobiliście z moimi dziećmi? Gdzie one są? Chcę je zobaczyć. Natychmiast. Otworzyły się drzwi, lecz powstrzymałem strażnika gestem ręki, nie odrywając wzroku od Mary. Jej twarz poczerwieniała ze wzburzenia.

Postanowiłem zaryzykować.

–Mary... nie było wczoraj u ciebie żadnych dzieci – powiedziałem łagodnie.

Jej reakcja była natychmiastowa i bardzo gwałtowna. Sztywno wyprostowana, zaczęła krzyczeć. Mięśnie jej szyi były napięte jak postronki.

–Powiedz, co zrobiliście z moimi dziećmi! Muszę to wiedzieć! Gdzie są moje dzieci? Gdzie są moje dzieci?! Usłyszawszy za sobą kroki, wstałem szybko. Chciałem znaleźć się przy niej pierwszy. Krzyczała coraz głośniejsze.

–Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?! Dlaczego?!

Zaczęła szlochać i znowu zrobiło mi się jej żal. Okrążyłem powoli stół, zbliżając się do niej.

–Mary! – zawołałem głośno, lecz nie zareagowała ani na mój głos, ani na malejący dystans między nami.

–Powiedz, gdzie są moje dzieci. Powiedz! Powiedz! Po-

**wiedz! W tej chwili!**

**–Mary...**

**Pochyliwszy się nad nią, delikatnie położyłem jej ręce na ramionach.**

**–Powiedz!**

**–Mary, spójrz na mnie! Proszę cię!**

**Gdy to mówiłem, sięgnęła po mój pistolet.**

**Rozdział 97**

**Musiała zauważyć kaburę ukrytą pod moją marynarką.**

**W ułamku sekundy jej ręka znalazła się na rękojeści mojego glocka.**

**–Nie! – krzyknąłem. – Mary!**

**Instynktownie pchnąłem ją na krzesło, lecz zdążyła już wyciągnąć pistolet z kabury. Zobaczyłem jej oszalałe, błyszczące oczy.**

**Rzuciwszy się na nią, chwyciłem jedną ręką jej przegub, a drugą pistolet. Wykrzykiwałem raz po raz jej imię. W następnej chwili krzesło przewróciło się z głośnym trzaskiem i oboje wylądowaliśmy na podłodze.**

**Nagle wokół nas zaroilo się od ludzi, ale prawie nie zdawałem sobie z tego sprawy, skupiając całą uwagę na niej.**

**Wyteżwała wszystkie siły, czerwona na twarzy, bijąc mnie pięścią wolnej ręki. Przygniotłem jej pierś kolaniem, jedną ręką przyciskając do podłogi jej przegub, a drugą pistolet, lecz okazała się bardzo silna i zdołała położyć palec na spuście glocka. Wykręcała rękę, starając się skierować wylot lufy ku sobie i przechylając głowę – tak, by znalazła się na linii strzału. Wiedziała dobrze, co robi.**

**–Mary, nie!**

**Udało mi się oderwać jej rękę z pistoletem od podłogi i z całej**

siły uderzyłem nią o beton. Wypadając jej z ręki, pistolet wypalił. Pocisk trafił w ścianę, ale jedna strona mojej twarzy zdrętwiała od huku.

Nastąpił krótki moment bezruchu i całkowitej ciszy.

Mary przestała walczyć i wtedy policjanci -jak w powtórce poprzedniego dnia – rzucili się na nią całą grupą. Jeszcze próbowała stawiać opór, wymierzając wściekle razy rękami i nogami, ale wywlekli ją z pokoju na korytarz. Usłyszałem jej rozpaczliwy szloch.

–Moje dzieci, moje biedne maleństwa... Gdzie one są?

Gdzie? Gdzie? Co zrobiliście z moimi dziećmi?

Głos oddalał się coraz bardziej, po chwili trzasnęły gdzieś ciężkie drzwi i było po wszystkim. Nic dziwnego, że nie chciano mi pozwolić jeszcze raz jej przesłuchać.

Gdy godzinę później wychodziłem z komisariatu, natknąłem się na Truscotta. Stał przed budynkiem w grupie reporterów czyhających na każdy strzęp wiadomości.

–Jak to możliwe, że pozwoliłeś zabrać sobie pistolet, doktorze Cross? Jak ona to zrobiła? – Jakimś sobie tylko wiadomym sposobem dowiedział się już o wszystkim i teraz się na mnie wyżywał.

## Rozdział 98

Mogłem się tylko domyślać przyczyn i stopnia zaawansowania choroby umysłowej Mary Wagner oraz jej udręki i stresu. Nie było czasu na dokładną ocenę psychologiczną jej stanu, poza tym – niezależnie od tego, czy to mi się podobało czy nie – moja rola w śledztwie dobiegała końca. Prawdę mówiąc, miałem wobec Mary mieszane uczucia.

Do wczesnego popołudnia stan jej umysłu nadal był zagadką. Przeszukanie jej domu przez policję przyniosło dowody, na które tak liczyliśmy.

Ukryty na poddaszu pod kocem pistolet Walther PPK według ekspertów był bronią, z której zostały zastrzelone wszystkie ofiary.

Ekipa kryminologiczna znalazła też w domu kilka arkuszy dziecięcych nalepek oraz rodzinne zdjęcia, ukradzione z gabinetu Marti Lowenstein-Bell i portfela Suzie Cartoulis. Michael Bell i Giovanni Cartoulis oświadczyli, że fotografie należały do ich zamordowanych żon.

–Najważniejsze, że minęła już dwunasta i jak dotąd nie ma zapowiedzianego morderstwa – oznajmił Fred van Allsburg małej grupie agentów zebranych w jego biurze. – Nie ma

**nowej ofiary ani kolejnego e-maila. Myślę, że mogę z czystym sumieniem ogłosić zamknięcie dochodzenia.**

**Nastrój był ponuro uroczysty. Wszyscy byli zadowoleni, że mają to już za sobą, wiedzieli jednak, że koszmarne szczegóły sprawy Mary Smith długo jeszcze będą ich prześladowały, podobnie jak sprawa waszyngtońskiego snajpera nadal dręczyła ich kolegów ze wschodu. Takie odczucia są frustrujące i bardzo nieprzyjemne, lecz mobilizują do skuteczniejszego działania.**

**–Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Alex – powiedział na koniec van Allsburg. – Twój udział w tym śledztwie okazał się nieoceniony. Teraz rozumiem, dlaczego Ron Burns chce cię mieć u siebie.**

**Kilka osób uśmiechnęło się, a siedzący za mną agent Page poklepał mnie po ramieniu. Byłem przekonany, że jeśli mu nie przejdzie zapał do tropienia zbrodni, może niebawem stać się jednym z najlepszych agentów biura.**

**–Chciałbym jeszcze rzucić okiem na zgromadzone przez policję dowody i jeśli się da, przesłuchać bez przeszkód Mary Wagner – oświadczyłem, wracając do rzeczy, które ja z kolei uważałem za najważniejsze.**

**Van Allsburg potrząsnął głową.**

**–Nie ma takiej potrzeby.**

**–Skoro już tu jestem... – zacząłem, ale mi przerwał.**

**–Nie zawracaj sobie tym głowy. Szczegółami mogą się zająć agenci Page i Fujishiro. Jeśli będziemy cię potrzebowali, to przecież samoloty często latają, prawda? – Powiedział to z pozoru pogodnie, brzmiała w tym jednak jakaś sztuczna nuta.**

**–Fred, Mary Wagner nie będzie rozmawiała z nikim innym poza mną. Ma zaufanie tylko do mnie.**

**–Możliwe, że już nie ma – mruknął. Nie było w tym ironii.**

**–Nadal jestem jedyną osobą, przed którą się otworzyła – naciskałem. – Wiem, że policyjne przesłuchania nic nie dały.**

**–Powiedziałem, że włączysz się, jeśli będziemy cię potrzebowali. Rozmawiałem na ten temat z dyrektorem Burnsem, a on się ze mną zgodził. Jedź teraz do rodziny. Masz dzieci, prawda?**

**–Tak, mam.**

**Dopiero parę godzin później, kiedy pakowałem w hotelu moje rzeczy, uświadomiłem sobie, jak bardzo chciałem znowu znaleźć się w domu. Myśl, że tym razem wrócę do Waszyngtonu, nie mając w najbliższej perspektywie następnych wyjazdów, była jak kojący balsam.**

**Dlaczego jednak – zapytałem sam siebie, przy czym to**

**, jednak" było bardzo istotne – nie uświadomiłem sobie tego faktu wcześniej, u van Allsburga? Skąd się wzięły u mnie te końskie okulary i dlaczego w ogóle nie miałem pojęcia, że je mam na oczach? Jakiego dramatycznego kopniaka potrzebo-  
wałem, żeby w końcu coś do mnie dotarło?**

**W drodze na lotnisko rozwiązałem też inną zagadkę. Po-  
czułem się jak uderzony obuchem. Domyśliłem się, co oznaczają  
litery A i B na dziecięcych nalepkach znajdujących w miej-  
scach zbrodni. To były imiona urojonych dzieci Mary: Ashley,  
Adam i Brendan. Dwa A i jedno B.**

**Zatelefonowałem do biura, by poinformować van Allsburga  
o moim odkryciu.**



## **Część 5**

### **Koniec opowieści**

#### **Rozdział 99**

**Opowiadacz miał już dość zabijania. *Finite*. Cała sprawa należała już do przeszłości i nikt nigdy nie dowie się prawdy. Koniec opowieści.**

**Aby to uczcić, wydał przyjęcie dla kilku swoich najlepszych przyjaciół z Beverly Hills.**

**Powiedział im, że właśnie skończył pisać scenariusz na zamówienie jednego ze znanych reżyserów – miał to być duży, bzdurny thriller, oparty na bzdurnym bestsellerze. Pozwolono mu przerobić w nim wszystko, co mu się nie podobało, na razie jednak nie mógł niczego więcej zdradzić – reżyser był świrusem, więc wszystko mogło się jeszcze zmienić.**

**Wszystkim wydawało się, że wiedzą, dlaczego ich zaprosił, co mu uświadomiło, jak mało go znają. Byli to jego najbliżsi przyjaciele – ale ani jeden tak naprawdę go nie znał. Żaden nie podejrzewał, że mógł być mordercą. To było wręcz niewiarygodne: nikt o nim nic nie wiedział!**

**Przyjęcie odbywało się w tym samym barze Snake Pit Ale House przy Melrose, gdzie spotykali się podczas jego pierwszych lat pobytu w Los Angeles, dokąd przywędrował z Uniwersytetu Browna, by grać w filmach albo nawet próbować pisać scenariusze – oczywiście miały to być poważne, wartościowe rzeczy, a nie kasowe gówna.**

–Piwo jest za darmo – oświadczył, gdy jego przyjaciele zasiedli przy barze. – Wino też, ale tylko dla palantów. Więc jak, pijecie wino?

Żaden z jego czternastu kumpli nawet nie tknął wina. Wszyscy cieszyli się, że mu się powiodło i dostał zamówienie na scenariusz, a ci bardziej szczerzy przyznali, że mu zazdroszczą. Zaczęli go nawet nazywać Szczęściarzem.

Kiedy krótko po drugiej w nocy zamykano bar, pozostali już tylko David, Johnboy, Frankie i on. Analizowali szczegółowo film pod tytułem *We Don 't Live Here Anymore*. W końcu wytoczyli się na ulicę, wymieniając pokazowe hollywoodzkie uściski pożegnalne obok bentleya Johnny'ego – łupu z ostatniego wyprodukowanego przez niego filmu, który odniósł ogólnoświatowy sukces i przyniósł mu czterysta milionów dolarów zysku. Kiedy Johnny o tym opowiadał, wszyscy zielenieli z zazdrości, gdyż jedyną rzeczą, którą musiał zrobić, by to osiągnąć, było kupienie praw do szmirowego komiksu za pięćdziesiąt tysięcy, a potem zaangażowanie Rocka za dziesięć baniek. Genialne, co? Tak, bo się sprawdziło.

–Kocham cię, bracie! Jesteś najlepszy, ty obrzydliwy, paskudny, pretensjonalny draniu. Ty też, Davey! – wrzasnął Opowiadacz, gdy srebrzysty bentley odbijał od krawężnika, kierując się na zachód.

–Jestem draniem, wiem! – odkrzyknął David. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby być obrzydliwym, paskudnym i pretensjonalnym draniem! I utalentowanym. Dlatego zostaję w tym mieście.

–Słyszę, bracie! Wyczuwam cię! – krzyknął za nim Opowiadacz.

–Bywaj, Szczęściarzu najmito!

–Jestem scenarzystą!

Kiedy odjechali, zataczając się, szczęśliwy jak świnia w korycie, ruszył nie do suburana, lecz do swojego siedmioletniego beamera, zaparkowanego w bocznej uliczce, nućąc *The Wind*

*Cries Mary* Jimiego Hendriksa – co było prywatnym dowcipem, zrozumiałym tylko dla niego samego.

Ni stąd, ni zowąd zachciało mu się płakać. Usiadł na trawniku obok jakiegoś obdrapanego bloku mieszkalnego z głową schowaną między kolanami, zanosząc się głośnym szlochem jak małe dziecko i nie mogąc się opanować.

**Muszę się wziąć w garść, pomyślał. Jeszcze tylko jedno.**

**Ostatnie.**

**Jedno morderstwo i będę miał spokój.**

**Rozdział 100**

**Rankiem, nie mogąc spać, pojechał na Melrose. Jeździł tam i z powrotem, wielokrotnie przejeżdżając obok L'Angelo, gdzie grywał Emilio, Groundling Theater, gdzie zaczął karierą Phil Hartman, galerii Tommy Tang's, Johnny Rockets... Blue Whale... To było jego miasto. Jego i Dumnej Mary.**

**Około 5.30 wstąpił do Starbucksa na Melrose. Kiedyś był to zwykły bar z hamburgerami. Nienawidził Starbucksa, tych chciwych, małych japiszonów – ale był to jedyny lokal otwarty o tej porze. To forsa rozstrzygała, że otwierali tak wcześnie. Teraz o wszystkim decydowała forsa.**

**Wszedł więc do środka, tym samym potwierdzając, że dobrze kalkulowali. Pięta trzydzieści rano, a on już nabija im kabzę. Boże, jak on pogardzał tymi fast foodami, nowymi McDonaldami, tymi wszystkimi zdziercami. Pamiętał czasy, kiedy kubek kawy kosztował pięćdziesiąt centów, co było uczciwą ceną. Teraz obrzydliwa „mieszanka z Sumatry” kosztowała dwa pięćdziesiąt, a nie była warta nawet pięciu centów.**

**Na domiar złego dupek z kozią bródką za barem, zajęty porządkowaniem półek, zupełnie nie zwracał na niego uwagi – choć był klientem, pierwszym frajerem do oskubania.**

**Czekał przeszło minutą, ale palant za barem wciąż go olewał.**

**–Zaraz wrócę – powiedział do niego Opowiadacz, ale**

zapracowany barman nawet na niego nie spojrział. Co za złamany kutas. Pewnie to jakiś bezrobotny aktor, wyobrażający sobie, że jest za dobry do tej pracy, i odgrywający ważniaka, by zachować szacunek dla samego siebie.

Minutę później wrócił do Starbucksa, przynosząc coś ze sobą w kieszeni marynarki. Zaczynał się rozkręcać. To było głupie i pewnie nierozsądne, ale jakie przyjemne.

Hej, kolego, mój pistolet jest spragniony.

Wiedział już, że to robi. Ten pieprzony arogancki aktorzyzna przegrał. Jutro będzie na pierwszych stronach gazet.

–Hej, kolego, chce mi się pić. Czy podają u was kawę?

Zajęty barman nie podniósł głowy, pomachał tylko wolną ręką.

–Sekundę, już podchodzę.

Opowiadacz usłyszał otwierające się za nim drzwi. Przyszedł następny frajer.

–Dzień dobry, Christopher – usłyszał świergotliwy kobiecy głos.

Nie odwrócił się do niej. Ona też już przegrała.

–Cześć, Sarah – odparł barman. Jego głos zmienił barwę, stał się radosny.

Dopiero teraz oderwał się od swojego zajęcia. Dla Sarah. Kiedy znalazł się przy kontuarze, Opowiadacz strzelił mu prosto w pierś, w logo Starbucksa na przodzie fartucha.

–Nie rób sobie kłopotu, Christopher – wycedził. – Niepotrzebna mi już kawa. Jestem na haju.

Potem odwrócił się ku kobiecie. Wcześniej nawet na nią nie spojrział.

Była to blondynka w wieku około dwudziestu pięciu lat, w czarnym skórzanym żakiecie, czarnych spodniach do kolan i czarnych klapkach.

–Dzień dobry, Sarah – powiedział poufale, wdzięcząc się do niej jak cocker-spaniel spuszczonej w parku ze smyczy.

–Przepraszam, ale...

Urwała w pół zdania, gdy do niej strzelił. Trafił ją dwiema kulami.

Jedno czy dwa zabójstwa więcej... – pomyślał.

Opróżnił kasę, zabrał kobiecie wytarty portfel z kozłej skóry i odjechał w porannym miejskim smogu, kierując się na zachód przez Stanley, Spaulding, Genessee...

Mary Smith znów uderzyła.

Rozdział 101

**Spojrzałem we wstecznym lusterku na Jannie.**

**–Podobało ci się Muzeum Szpiegostwa? – spytałem.**

**Kiwnęła głową.**

**–Absolutnie!**

**W naszej rodzinnej loterii sobotnie popołudnie wylosowała Jannie. Wieczór był mój, cały niedzielny dzień należał do Nany, z wyjątkiem wieczoru, którym dysponował Damon. Weekend rodziny Crossów został szczegółowo zaplanowany i toczył się w najlepsze.**

**Spędziliśmy całe sobotnie popołudnie na poznawaniu sposobów walki ninja, dowiedzieliśmy się różnych ciekawych rzeczy o siatkach szpiegowskich i tajnych bractwach – rzeczy, które mi umknęły podczas studiów w Quantico. Potem dzieci wypróbowały swoje zdolności obserwacyjne w Szkole Szpiegostwa. Nawet ja byłem pod wrażeniem niektórych futurystycznych rekwizytów i modeli, zgromadzonych w dziale XXI wieku.**

**Ponieważ wybór miejsca, gdzie zjemy kolację, należał do mnie, postanowiłem zapoznać moją rodzinę z kuchnią abisyńską. Jannie i Damon całkiem nieźle sobie poradzili z egzotycznymi potrawami – z wyjątkiem *kitfo*, czegoś w rodzaju befszyka tatarskiego. Jedli jak zwykle palcami, metodą, którą Nana nazywała „prawdziwie rustykalnym” zwyczajem.**

Kiedy Jannie i Nana poszły do toalety, Damon popatrzył na mnie.

–Mogłeś zaprosić doktor Coles – stwierdził. – Gdybyś miał ochotę – dodał, wzruszając ramionami.

Zaimponował mi swoją bezpośredniością. Powiedziałbym mu to, gdybym nie wiedział, że tylko go zirytuję.

wtorek na kolację. Bardzo się cieszę na to spotkanie.

–To fajna babka. Wszyscy tak o niej mówią. Potrzebny ci ktoś, no wiesz-

–Tak. Wiem.

–Poza tym to jedyna osoba, która potrafiła doprowadzić do tego, żeby Nana zrezygnowała ze swoich przepisów. Roześmiałem się. Byłem zadowolony, że zauważył u Kayli tyle dobrych stron. Jego spostrzeżenia były inteligentne i trafne.

–Co was tak ubawiło? – spytała Nana, która nagle zjawiała się przy stole, – Co straciłam?

–O co chodzi? – zawtórowała jej Jannie. – Chcę wiedzieć, o czym rozmawialiście. Czy o Muzeum Szpiegostwa? Na pewno kpiliście ze mnie. Nie życzę sobie!

–To przywilej facetów – zaśmiał się Damon.

–Załóżę się, że mówili o doktor Coles – oświadczyła, patrząc na mnie błyszczącymi z podniecenia oczami. – Lubimy ją, tato – dodała, kiedy ani nie potwierdziłem, ani nie zaprzeczyłem.

–Cieszę się, ale ty lubisz każdego.

–Zgadnij, po kim to mam?

–Musimy zaprosić ją na kolację – wtrąciła Nana.

–Byle nie we wtorek – powiedział Damon.

Jannie uśmiechnęła się domyślnie.

–Już wiem. Tego dnia nasz ojciec ma z nią randkę. Zgadłam, tato?

Rozdział 102

We wtorek miałem randkę z Kaylą Coles.

Następna była we czwartek.

Krótko po 1.00 nad ranem siedziałem z Kaylą na frontowej werandzie. Rozmawialiśmy od kilku godzin. Kayla zwerbowała mnie do pomocy w stołecznym Funduszu Pomocy Dzieciom. Podobnie jak Nana, użyła jako argumentu statystyki: w Ameryce jest czterdzieści milionów nieubezpieczonych – co minutę rodzi się kolejne nieubezpieczone dziecko. Odpowiedziałem, że zawsze chętnie jej pomogę, gdy tylko pozwolą mi na to moje służbowe obowiązki.

**–Co robisz w sobotę? – zapytała, uśmiechając się do mnie. – Nie bój się, moje pytanie nie ma nic wspólnego z Funduszem Pomocy Dzieciom.**

**–Spodziewam się, że przyjdiesz zjeść z nami jedną z domowych potraw Nany.**

**–Czy nie powinieneś najpierw z nią tego uzgodnić?**

**Roześmiałem się.**

**–To był jej pomysł. Albo któregoś z dzieci. W każdym razie Nana należy do spisku. Możliwe, że nawet jest hersztem bandy.**

**Jeśli niebo nie chciało, żebym się umawiał z kobietami, dawało mi to odczuć w pokrętny sposób. Przez całe sobotnie**

przedpołudnie trochę się denerwowałem. O czymś to chyba świadczyło.

–Dobrze wyglądasz, tato – powiedziała Jannie, zaglądając do mojego pokoju.

Właśnie zrezygnowałem z koszuli i zamiast niej włożyłem czarny sweter z wycięciem w serek. Musiałem przyznać, że jest mi w nim do twarzy, choć czułem się zawstydzony, iż zostałem przyłapany na strojeniu się. Moja córka usiadła na łóżku, przyglądając się moim przymiarkom.

–Co robicie? – zapytał Damon, po czym również wszedł do pokoju i usiadł na łóżku obok Jannie.

–Czy któreś z was słyszało o prawie człowieka do prywatności?

–Stroi się dla doktor Kayli. Faceci są próżni. Dobrze mu w czarnym kolorze.

Byłem odwrócony do nich tyłem, a oni rozmawiali, jakby mnie nie było w pokoju. Ich dialog brzmiał nieco teatralnie.

–Myślisz, że się denerwuje?

–Mm-hm. Chyba tak.

–Nie uważasz, że może coś na siebie wylać podczas kolacji?

–Obawiam się, że tak.

Odwróciłem się z rykiem i złapałem oboje, zanim zdążyli uciec. Tarzałem ich po łóżku, odnajdując miejsca, w których mieli łaskotki. Śmiali się do rozpuku, zapominając na chwilę, że wyrosli już z wieku, w którym wyprawia się takie harce.

–Pognieciesz sobie wszystko! – pisnęła Jannie. – Tato! Dość!

–Nie szkodzi – odparłem. – I tak będę się musiał przebrać... kiedy coś na siebie wyleję.

Zapędziłem ich do kuchni, po czym zakasaliśmy rękawy i zaczęliśmy pomagać Nanie w zajęciach, w których nam łaskawie pozwoliła uczestniczyć. Rozsunęliśmy stół, wyjęliśmy naszą najlepszą zastawę i wymieniliśmy świece w lichtarzach. Widać było, że Nana chce się trochę popisać, może nawet

nie tylko trochę. Nie miałem nic przeciwko temu. Zawsze uwielbiałem jej kuchnię.

Po wspaniałej kolacji – dwa kurczaki upieczone w ziołach, frytki z piekarnika, szparagi, sałatka z rozmaitej zieleniny i tort kokosowy – Kayla i ja wyszliśmy z domu. Wziąłem porsche i pojechaliśmy do Tidal Basin, a potem pod obelisk Lincolna.



Zaparkowaliśmy, po czym poszliśmy spacerem wzdłuż stawu. To piękne miejsce wieczorami jest bardzo spokojne – z niewiadomych przyczyn turyści po zachodzie słońca rzadko je odwiedzają.

–Było naprawdę bardzo miło – powiedziała Kayla, kiedy podchodziliśmy do pomnika Waszyngtona. – U was w domu. Wszystko było doskonale.

Roześmiałem się.

–Na mój gust zbyt doskonale. Nie odniosłaś wrażenia, że bardzo się starali?

Kayla również się roześmiała.

–Cóż mam ci na to odpowiedzieć? Chyba mnic lubią.

–Trzy randki w jednym tygodniu... to im pewnie dało do myślenia.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

–Mnie też przyszedł do głowy pewien pomysł. Chcesz wiedzieć jaki?

–Owszem.

–Mieszkam niedaleko stąd.

–Jesteś lekarzem. Znasz się na ludzkiej anatomii.

–A ty psychologiem. Znasz się na ludzkiej psychice, prawda?

–Myślę, że to dobry pomysł.

I tak rzeczywiście było.

Ale potem znów przypomniła mi o sobie PRACa.

Rozdział 103

–Jutro przylecę. Tyle mogę obiecać. Zaraz zarezerwuję bilet do Los Angeles.

Nie do wiary, że to powiedziałem, a jednak tak było.

Wystarczyło parę minut rozmowy z Fredem Allsburgiem.

Jakbym został zaprogramowany na odpowiadanie w określony sposób. Przypomniał mi się *Kandydat* Jonathana Demme. Jaka właściwie grałem rolę? Dobrego faceta? Złego faceta? A może jakiegoś pośredniego?

Korciło mnie, żeby jeszcze raz porozmawiać z Mary Wagner.

Chciałem to zrobić zarówno z ciekawości, jak i poczucia obowiązku. Policji Los Angeles nie udało się nakłonić jej do zeznań, przynajmniej do tej pory. Poproszono mnie, żebym wrócił do Kalifornii na konsultację. Było mi to na rękę, gdyż choć dowody wskazywały, że wszystkie morderstwa popełniła Mary, było w tej sprawie coś, co mi nie dawało spokoju.

Chciałem oczywiście, by moja wycieczka do Los Angeles trwała jak najkrócej. Kiedy znalazłem się w hotelu, nawet nie

**rozpakowałem moich rzeczy, z wyjątkiem szczoteczki do zębów. To mi dawało poczucie, że mój pobyt za bardzo się nie przedłuży.**

**Spotkanie z Mary Wagner miało się odbyć następnego dnia o dziesiątej rano. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie**

zadzwoić do Jamilli, lecz doszedłem do wniosku, że lepiej nie. Przecież wszystko między nami było skończone. Z czyjej winy? Trudno powiedzieć. Ale czy to było istotne?

Wieczór zszedł mi na przeglądaniu kopii raportów z poprzedniego tygodnia, przysłanych mi przez van Allsburga. Wynikało z nich, że Mary nie odpowiadała na żadne pytania, za to sama bezustannie dopytywała się o swoje dzieci, Brendana, Ashley i Adama. To mi wytyczało kierunek działania. Skoro Mary potrafiła myśleć wyłącznie o dzieciach, właśnie od nich należało zacząć jutrzejszą rozmowę.

#### Rozdział 104

O 9.45 następnego ranka znalazłem się w małym pomieszczeniu, wyglądającym identycznie jak tamto, w którym ostatnio przesłuchiwałem Mary Wagner.

Strażnik przyprowadził ją z dokładnością co do sekundy. Już na pierwszy rzut oka było widać, że kilka dni przesłuchiwania dało jej się mocno we znaki.

Nie patrząc na mnie, czekała obojętnie, aż strażnik przykuje ją do stolika. Kiedy to zrobił, stanął przy drzwiach, wewnątrz pomieszczenia. Nie bardzo mi to odpowiadało, ale nie zaprotestowałem. Może przy następnym spotkaniu uda mi się załatwić, żeby czekał na zewnątrz.

–Dzień dobry, Mary.

–Dzień dobry.

Mówiła spokojnym głosem, ale nadal unikała mojego wzroku. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przedtem siedziała w więzieniu, a jeśli tak, to za co?

–Pozwól, że ci powiem, po co tu przyjechałem. Słuchasz mnie, Mary?

Nie odpowiedziała. Na przemian zaciskała i rozluźniała szczęki, patrząc w jeden punkt na ścianie. Czułem, że słucha, ale nie chce tego po sobie pokazać.

–Pewnie wiesz, że jest przeciw tobie mnóstwo dowodów. Myślę, że wiesz również, iż są wątpliwości co do twoich dzieci.

#### 306

Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy wzrokiem, który wydawał się przewiercać mi czaszkę.

–W takim razie nie mamy o czym rozmawiać – stwierdziła.

–Mylisz się, Mary. Jest o czym.

Wyjąłem pióro i położyłem na stoliku czysty arkusz papieru.

–Myślę, że chciałabyś napisać list do Brendana, Ashley

**i Adama.**

**Rotdział 105**

**Kiedy to powiedziałem, twarz Mary zmieniła się gwałtownie: spojrzała na mnie ponownie, jej rysy zmiękły, a w oczach ukazał się znany mi już wyraz bezbronności. Trudno było jej nie współczuć, niezależnie od tego, co zrobiła.**

**–Nie mogę ci zdjąć kajdanków – oświadczyłem – ale podyktuj mi ten list. Napiszę słowo w słowo, wszystko, co będziesz chciała.**

**–Czy to jakiś podstęp? – W tym pytaniu była ukryta prośba, żeby tak nie było.**

**Staralem się tak dobierać słowa, by brzmiały jak najbardziej wiarygodnie.**

**–Nic podobnego, żaden podstęp. Po prostu w ten sposób będziesz mogła przekazać swoim dzieciom wszystko, co chciałabyś im powiedzieć.**

**–Czy policja to przeczyta? Powiedz prawdę.**

**Zaintrygowała mnie jej reakcja. Było to połączenie emocjonalności z samokontrolą.**

**–Cała nasza rozmowa jest nagrywana – przypomniałem jej. – Nie musisz pisać do swoich dzieci, jeśli nie chcesz.**

**Wybór należy do ciebie, Mary.**

**–Przyjechałeś do mojego domu.**

**–Tak było.**

–Polubiłam cię.

–Ja też cię lubię, Mary.

–Jesteś po mojej stronie?

–Tak, jestem po twojej stronie.

–Po stronie sprawiedliwości?

–Mam nadzieję, że tak, Mary.

Wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, zastanawiając się, co ma zrobić, a może szukając odpowiednich słów. Potem znów popatrzyła na mnie i po chwili jej oczy spoczęły na leżącej między nami kartce.

–„Kochany Brendanie...” – zaczęła szeptem.

–Tylko „Brendanie”?

–Tak. „Przeczytaj to swojemu braciszкови i siostrze, ponieważ jesteś najstarszy w rodzinie”.

Pisałem słowo w słowo, spiesząc się, by nadążyć za dyktan-  
dem.

–„Mamy przez jakiś czas z wami nie będzie, ale obiecuję wam, że to nie potrwa długo. Gdziekolwiek się znajdziecie, wiem, że się wami dobrze zaopiekują. A jeśli poczujecie się samotni albo zechcecie wam się płakać, to nic złego. Płacz jest ulgą w samotności. Wszyscy czasem płaczą, nawet Mama, ale tylko dlatego, że za wami tęsknię”.

Przerwała na chwilę. Jej twarz rozjaśniła się nagle, jakby zobaczyła coś miłego. Utkwiła oczy w przeciwległej ścianie i uśmiechnęła się do siebie.

–„Kiedy znów wszyscy będziemy razem – dyktowała dalej – urządzimy sobie wspaniały piknik. Kupimy mnóstwo jedzenia, wszystko, na co tylko będziecie mieli ochotę, pojedziemy w ładne miejsce i spędzimy razem cały dzień, a może nawet się wykąpiemy. Będziemy robić, co wam się tylko zamarzy, moi kochani. Cieszę się na to z góry. I jeszcze jedno wam powiem. Macie anioła stróża, który przez cały czas nad wami czuwa. Ten anioł stróż to ja. Całuję was na dobranoc, kiedy kładziecie się do łóżeczek. Nie musicie się niczego bać, bo cały czas jestem przy was, a wy jesteście przy mnie”.

Znowu przerwała, zamknęła oczy i westchnęła.

–„Kocham was bardzo, bardzo mocno. Wasza Mama”.

Jeszcze niżej pochyliła się nad stołem, śledząc ruchy mojego pióra, i dodała prawie szeptem:

–Postaw na dole trzy „X” i trzy „O”. To będzie całus i uścisk dla każdego z moich dzieci.

## Rozdział 106

Słuchając Mary Wagner, zaczynałem coraz bardziej wątpić, iż jej dzieci były jedynie wytworem wyobraźni. Zaczynałem się powoli domyślać, co mogło się z nimi stać.

Całe popołudnie strawiłem na próbach poznania ich losu. Poszukiwania w Skategoryzowanym Rejestrze Zbrodni zaowocowały długą listą dziecięcych ofiar, przypisanych matkobójczyń. Czytałem, że kradzieże w sklepach i zabijanie własnych dzieci to jedyne przestępstwa, które popełnia tyle samo kobiet co mężczyzn.

Jeśli to była prawda, moja lista obejmowała zaledwie połowę zamordowanych dzieci.

Zacisnąwszy zęby, dosłownie i w przenośni, zabrałem się do powtórnego przeglądania materiałów.

Tym razem ograniczyłem pole poszukiwań, eliminując pojedyncze zabójstwa. Mając przed sobą nową listę, zacząłem ją dokładnie przeglądać.

Od razu na początku trafiłem na kilka głośnych nazwisk. Susan Smith w 1994 roku utopiła obu swoich synów; Andrea Yates po kilku latach walki z psychozą i przedłużającą się depresją poporodową zabiła całą piątkę swoich dzieci.

Lista ciągnęła się bez końca. Żadnej z tych dzieciobójczyń nie można było usprawiedliwić, ale znaczna większość zabójstw była rezultatem ciężkich chorób psychicznych.

Smith i Yates miały psychopatyczne zaburzenia osobowości. Mogło to dotyczyć także Mary Wagner, lecz na dokładniejszą obserwację, pozwalającą stwierdzić, czy istotnie tak było, z pewnością nie dano by mi czasu.

Po kilku godzinach przeglądania listy otworzyłem nową stronę i znalazłem to, czego szukałem.

Potrójne zabójstwo popełnione w Derby Linę w Vermoncie, drugiego sierpnia 1983 roku. Wszystkie trzy ofiary były rodziną.

*Beaulac, Brendan, 8*

*Beaulac, Ashley, 5*

*Constantine, Adam, 11 miesięcy.*

Ich zabójcą była matka, dwudziestosześcioletnia kobieta o nazwisku Constantine. Na imię miała Mary.

Raport odsyłał do materiałów w miejscowej prasie. W „Caledonian-Record”, wychodzącym w St. Johnsbury, w stanie Vermont, znalazłem artykuł z 1983 roku. Było w nim gruboziarniste czarno-białe zdjęcie Mary Constantine, siedzącej na ławie oskarżonych. Miała szczuplejszą i młodszą twarz, lecz o tym samym obojętnym wyrazie, jaki przybierała, gdy nie chciała zdradzić własnych uczuć albo bardzo cierpiała.

Chryste!

Przed dwudziestu laty kobieta, którą znałem jako Mary Wagner, zabiła swoje dzieci, lecz w jej mniemaniu nigdy się to nie wydarzyło.

Odsunąłem się od komputera i wzięłem głęboki oddech.

Znalazłem się w środku labiryntu. Teraz należało poszukać drogi do wyjścia.

Rozdział 107

–Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt trzy? Na Boga, to było jeszcze w poprzednim wieku. Dobrze, poczekaj chwilą. Spróbuj ci pomóc. Jeżeli mi się uda.

Siedziałem kilka minut, słuchając klikania klawiszy i szelestu papierów na drugim końcu linii.

Facet, który klikał i szeleścił, nazywał się Barry Medlar i był agentem terenowego biura FBI w Albany. Był też koordynatorem komórki zbrodni przeciw dzieciom. Każde terenowe biuro FBI miało komórkę ZPD, a biuro w Albany sprawowało nadzór nad Vennontem. Chciałem zasięgnąć informacji u źródła znajdującego się najbliżej miejsca zbrodni.

–Mam – odezwał się w końcu Medlar. – Sekundę, już ci czytam... „Constantine, Mary. Potrójne zabójstwo w dniu dru-

giego sierpnia, aresztowana dziesiątego sierpnia". Pominę szczegóły. Dalej: „Na mocy orzeczenia sądu pierwszego lutego następnego roku uznana za niewinną na podstawie ograniczonej poczytalności umysłowej. Broniona przez adwokata z urzędu". A zatem nie mogła sobie pozwolić na własnego adwokata, rozprawa odbyła się bez fajerwerków prawniczych. Wyrok uniewinniający na podstawie ograniczonej poczytalności jest bardzo trudny do uzyskania, więc musiał to być przypadek niebudzący wątpliwości.



–Co się potem z nią działo? – zapytałem.

–Prawdopodobnie zabrano ją do Vermontu State Hospital w Waterbury. Nie ma tu kopii skierowania, lecz jeśli to cię interesuje, podam ci nazwisko dyrektora tej placówki i numer telefonu.

Miałem ochotę mu powiedzieć: „wolałbym, żebyś ty do nich zadzwonił” – ale doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę. Zapisałem sobie numer szpitala w Vermoncie.

–W jaki sposób Mary Constantine zabiła swoje dzieci? – zapytałem Medlara. – Wiesz coś o morderstwach, które popełniła w Los Angeles?

Usłyszałem przewracanie kolejnych stron, a potem mruczenie: „Niewiarygodne”.

–Znalazłeś coś?

–Czy ta twoja Mary Smith użyła walthera PPK?

–Tak. Czemu pytasz?

–Tutaj też. Walther PPK. Nigdy nie został odnaleziony.

Musiała go zakopać.

Przez cały czas gorączkowo zapisywałem wszystko, co mówił.

–W porządku, agencie Medlar. Oto, czego jeszcze potrzebuję: podaj mi namiar na komisariat policji w miejscowości, w której mieszkała Mary Constantine. Chcę też znać zawartość jej akt. Przyślij pocztą elektroniczną to, co masz w tej chwili pod ręką, a resztę przefaksuj. Przyślij absolutnie wszystko, co istnieje na jej temat. Ponieważ będę cały czas w ruchu, podam ci numer mojej komórki na wypadek, gdybyś odkrył coś szczególnego.

Rozmawiając z nim, pakowałem jednocześnie do aktówki niektóre dokumenty.

–Jeszcze jedno, jakie linie latają do Yermontu?

Rozdział 108

Po przebyciu w ciągu osiemnastu godzin czterech i pół tysiąca kilometrów znalazłem się w przytulnym małym saloniku państwa Lapierre'ów. Claude Lapierre sprawował kiedyś funkcję szeryfa Derby Linę w stanie Vermont. Była to urocza mała miejscowość leżąca na samej granicy kanadyjskiej, na której przypadkowo wybudowano bezpłatną bibliotekę miejską i gmach opery. W efekcie tej pomyłki strażnicy graniczni musieli urzędować wewnątrz obu tych budynków.

Trudno było sobie wyobrazić spokojniejszą miejscowość.

**Mary Constantine mieszkała w niej od urodzenia aż do chwili, gdy zabiła troje swoich małych dzieci, dokonując zbrodni, która dwadzieścia lat temu dostała się na czołówki gazet w całym kraju.**

**–Co ze szczegółów tego morderstwa najbardziej utkwilo panu w głowie? – spytałem Claude'a Lapierre'a.**

**–Nóż. A także okrucieństwo, z jakim pokroiła twarz dziewczynki, kiedy już je wszystkie zabiła. Przez dwadzieścia siedem lat byłem szeryfem w hrabstwie Orleans, ale to była najgorsza rzecz, z jaką się zetknąłem w życiu. Przynajmniej do tej pory, agencie Cross...**

**–A mnie było żal tej kobiety. – Pani Lapierre usiadła obok męża na kanapie przykrytej ciemnoniebieskim materia-**

łem. – Nic dobrego nie spotkało jej w życiu. To oczywiście nie usprawiedliwia tego, co zrobiła, ale... – urwała i machnęła ręką.

–Pani ją znała, pani Lapierre?

–Na tyle, na ile wszyscy tu się znają – odparła. –

Stanowimy sąsiedzka wspólnotę. Ufamy sobie wzajemnie.

–Jaka była Mary, zanim do tego doszło? – spytałem.

Claude odpowiedział pierwszy:

–Sprawiała wrażenie miłej dziewczyny. Skromna, uprzejma... lubiła pływać łódką po jeziorze Memphremagog. Niewiele jest o niej do opowiadania. Kiedy była w szkole średniej, pracowała w barze. Zawsze podawała mi śniadanie. Jak już powiedziałem, była bardzo skromna. Kiedy zaszła w ciążę, wszyscy byli zdumieni.

–A jeszcze bardziej, kiedy pojawił się ojciec dziecka – dodała pani Lapierre.

–Nie na długo – mruknął jej mąż.

–Czy to był George Beaulac?

Oboje przytaknęli.

–Ona miała siedemnaście lat, a on o dziesięć więcej.

Z początku jakoś to funkcjonowało. Oboje się starali. Mieli nawet drugie dziecko.

–Ashley – przypomniała mężowi pani Lapierre.

–Nikt się nie zdziwił, kiedy Beaulac od niej odszedł.

Spodziewałem się, że tak będzie.

–To był lump – wyjaśniła pani Lapierre. – Narkoman.

–Nie wiecie, co się z nim stało? Czy odwiedził jeszcze kiedyś Mary i dzieci?

–Nie mam pojęcia – odparł Claude. – Ale nie sądzę. To był lump – powtórzył za żoną.

–Cóż, trzeba go będzie odszukać – powiedziałem bardziej do siebie niż do nich. – Muszę się dowiedzieć, co ten człowiek teraz robi.

–Z pewnością nic pożytecznego – stwierdziła pani Lapierre, kręcąc głową.

Rozdział 109

Nie zwracałem sobie głowy robieniem dalszych notatek.

To, co zapisałem, całkowicie mi wystarczyło. Z kuchni nieustannie dobiegał głośny warkot, którego nie mogłem rozpoznać, więc w końcu zapytałem o to panią Lapierre. Okazało się, że to maszyna do liofilizowania jeleniego mięsa.

–Gdzie przez cały czas byli rodzice Mary? – zapytałem,

wracając do bardziej istotnych kwestii.

Pani Lapierre znów pokręciła głową. Dolała mi kawy do kubka, a jej mąż powiedział:

–Rita umarła, kiedy Mary miała pięć lat. Ted wychowywał ją sam, chociaż nie wkładał w to zbyt wiele wysiłku. Nie mam na myśli niczego złego, po prostu to wszystko było bardzo smutne. Potem on również umarł, chyba w tym samym roku, w którym urodził się Brendan.

–Palił jak smok – wyjaśniła Madeline. – Umarł na raka płuc. Biedna dziewczyna nie zaznała ani chwili spokoju. Powiedziała, że kiedy George Beaulac odszedł, Mary zadała się z innym facetem, mechanikiem o nazwisku John Constantine, pracującym dorywczo w okolicy.

–Zaczął się z nią prowadzić, kiedy zaszła w ciążę – dodała. – Nie robili z tego sekretu. Ale zanim Adam skończył pół roku, Johna już też nie było.

–Być może właśnie wtedy zaczął się jej kryzys, ale kto to wie – powiedział Claude. – Kiedy przez dłuższy czas kogoś nie widzisz, myślisz, że jest zajęty albo coś z tych rzeczy. A potem pewnego dnia... bum. Tak było właśnie z nią. Musiało w niej coś pęknąć. Na pozór nagle, ale prawdopodobnie nie. Głowę daję, że to w niej narastało przez dłuższy czas.

Wypiłem łyk kawy i z grzeczności ugryzłem kęs babeczki.

–Chciałbym na moment wrócić do dnia morderstwa. Co Mary powiedziała, kiedy została aresztowana, szeryfie?

–Pamięć mam już dziurawą, ale wydaje mi się, że nigdy nie powiedziała ani słowa na temat morderstwa.

–Cokolwiek się panu przypomni, może mi bardzo pomóc. Proszę się zastanowić, szeryfie.

Madeline westchnęła i położyła dłoń na spoczywającej na poduszce ręce męża. Widać było, iż oboje pochodzą z solidnych, starych rodzin farmerskich. Podobne ślady dostrzegałem także momentami u Mary.

–Wydaje mi się, że zabrała je wtedy na piknik. Pojechali w głąb lasu. Odnaleźliśmy później to miejsce. Tam je zastrzeliła. Raz, dwa, trzy... w tył głowy. Lekarz sądowy przypuszczał, że położyła je razem... jakby chciała, żeby się zdrzemnęły, i dopiero wtedy je zabiła, ale ja sądzę, że najpierw zastrzeliła dwoje starszych, bo niemowlę i tak nie mogło uciec.

Czekałem cierpliwie na dalszy ciąg relacji. Byłem świadom, że upływ czasu nie ułatwiał państwu Lapierre przypominania sobie tamtych wydarzeń ani mówienia o nich.

–Każde z nich owinęła kocem. Dobrze pamiętam te stare wojskowe koce. To było wstrząsające. Potem prawdopodobnie zabrała je do domu i tam pocięła twarz córki. Nie wiadomo dlaczego... i dlaczego tylko jej. Nie mogę tego zapomnieć. Staram się, ale nie potrafię.

–Pan pierwszy je odnalazł? – spytałem.

Kiwnął głową.

–Zadzwoił do mnie jej szef z wiadomością, że od wielu dni nie ma jej w pracy. Mary nie miała wtedy telefonu, więc

powiedziałem, że pojedę do niej. Potraktowałem to jako przyjacielską przysługę. Mary mi otworzyła jak gdyby nigdy nic, ale ja od razu poczułem zapach. Zapakowała je wszystkie do kufra w piwnicy... to był sierpień... i po prostu tak zostawiła. Przypuszczam, że całkowicie wyłączyła w mózgu świadomość tego, co się stało, a wraz z nią wszystkie okoliczności. Nadal

nie umiem sobie tego wytłumaczyć, nawet po tylu latach.

–Czasem dla niektórych rzeczy nie można znaleźć wytłumaczenia – stwierdziłem.

–W każdym razie nie stawiała najmniejszego oporu. Zabraliśmy ją bez żadnego kłopotu.

–To była głośna sprawa – dodała Madeline.

–Bardzo głośna. O Derby Linę przez tydzień pisano we wszystkich gazetach, w całym kraju. Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

–Czy któreś z was widziało Mary po rozprawie?

Oboje jednocześnie pokręcili głowami. Kilkadziesiąt spędzonych razem lat upodobiło ich do siebie.

–Nie znam nikogo, kto by ją potem spotkał – odparła Madeline. – To nie jest sprawa, o której chciałoby się pamiętać. Tutejsi ludzie lubią czuć się bezpiecznie. Nie, żeby się od niej odwrócili. To jest tak, jakby... nie wiem, jak to powiedzieć... jakby Mary nigdy wśród nas nie mieszkała.

## Rozdział 110

Psychiatryczny szpital stanowy w Vermoncie był rozłożystym budynkiem z czerwonej cegły i zwracał na siebie uwagę jedynie swoją wielkością. Powiedziano mi, że połowa jego powierzchni w ogóle nie jest używana. W zamkniętym oddziale kobiecym na trzecim piętrze przebywały nie tylko zabójczynie, lecz również kobiety skazane za przestępstwa cywilne.

–Nie jest to najlepsze rozwiązanie – przyznał dyrektor szpitala i dodał, że przyczyną takiego stanu rzeczy są zbyt małe nakłady na leczenie psychiatryczne.

To właśnie dało Mary możliwość ucieczki.

Doktor Rodney Blaisdale oprowadził mnie szybko po swoim królestwie. Oddział był dobrze utrzymany, w oknach pokoju dziennego wisiały firanki, a jego ściany świeżo pomalowano. Na niskich stolikach przy sofach rozłożone były gazety i magazyny, między innymi „Burlington Free Press”, „The Chronicle”, „American Woodworker”.

Wszędzie panowała cisza.

Wielokrotnie bywałem w zamkniętych oddziałach psychiatrycznych i przyzwyczailem się do panującego w nich nieustannego rozgwaru. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak przedziwnie uspokajający może być taki rozgwar. W tym szpitalu oddział psychiatryczny miał senną specyfikę akwarium.

Pacjentki poruszały się w jakiejś wewnętrznej ciszy, rzadko coś mówiąc, nawet do siebie.

Dźwięk w telewizorze również był przyciszony. Kilka kobiet szklistym od haldolu wzrokiem wpatrywało się w ekran, oglądając jakąś mydlaną operę.

Idąc w towarzystwie doktora, myślałem o wrzaskach, jakie zwykle słyszy się na takim oddziale.

–To tu – powiedział Blaisdale, zatrzymując się przed zamkniętymi drzwiami, jednymi z wielu w głównym korytarzu. Wróciłem do rzeczywistości, uświadamiając sobie, że od pewnego czasu przestałem go słuchać. – To był pokój Mary.

Zajrzałem do środka przez małe okienko obserwacyjne w stalowych drzwiach, ale nie zauważyłem niczego, co mogłoby świadczyć o jej pobycie w tym pomieszczeniu. Na płaskiej pryczy leżał goły materac, a jedynymi sprzętami były szkolna ławka ze stolikiem i przykręcona do ściany stalowa półka z zaokrąglonymi kantami.

–Wtedy tu było oczywiście inaczej. Mary przebywała u nas przez dziewiętnaście lat i przez cały ten czas nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów. Nie miała żadnych wymagań. Była naszą Marthą Stewart – dodał ze śmiechem doktor.

–To była moja przyjaciółka.

Odwróciwszy się, zobaczyłem drobną kobietę w średnim wieku, przyciskającą się bokiem do ściany korytarza. Jej strój wskazywał, że jest kryminalistką, choć trudno było sobie wyobrazić, że potrafiłaby zrobić coś takiego, co usprawiedliwiłoby zamknięcie jej tutaj.

–Dzień dobry – powiedziałem.

Kobieta uniosła podbródek, usiłując zajrzeć do pokoju Mary. Zauważyłem na jej szyi szorstkie blizny od oparzenia.

–Wróciła? Jest u siebie? Muszę się z nią zobaczyć. To dla mnie bardzo ważne.

–Nie, Lucy. Przykro mi, ale nie wróciła – odparł doktor Blaisdale.

Kobieta sprawiała wrażenie załamanej. Odwróciła się szybko i odeszła w głąb korytarza, sunąc ręką po ścianie.

–Lucy jest jedną z naszych długoterminowych pacjentek, tak samo jak Mary. Do dziś nie może się pogodzić ze zniknięciem swojej przyjaciółki.

–Jak do tego doszło? – spytałem. – Co się stało

**tamtego dnia?**

**Doktor Blaisdale przygryzł dolną wargę i powoli pokręcił głową.**

**–Porozmawiajmy o tym w moim gabinecie.**

**Rozdział 111**

**Przeszliśmy przez zamknięte na klucz drzwi na końcu korytarza, po czym schodami udaliśmy się na parter. Weszliśmy do gabinetu Blaisdale'a, który wyglądał dość osobliwie. Było w nim mnóstwo mosiężnych instrumentów muzycznych w futerałach, okna zaopatrzone w pastelowe rolety, a na jednej ze ścian wisiał oprawiony afisz Banjo Dana i jego zespołu Midnite Plowboys.**

**Usiadłszy naprzeciw doktora przy biurku, zauważyłem, że wszystko, co leży po mojej stronie, znajduje się poza moim zasięgiem, kilkanaście centymetrów od krawędzi blatu.**

**Blaisdale spojrzał na mnie i westchnął. Czułem, że zamierza uraczyć mnie swoją teorią na temat Mary Constantine.**

**–A więc tak, doktorze Cross... Każda pacjentka na tym oddziale ma od czasu do czasu prawo do udziału w jednodniowej wycieczce, jeśli na to zasłuży. Zabójczynie właściwie nie, ale uznaliśmy, iż stosowanie takiego podziału jest terapeutycznie szkodliwe. Tak więc Mary również kilka razy była na takiej wycieczce. Tamtego dnia wszystko było jak zwykle.**

**–I co się potem stało?**

**–Grupa sześciu pacjentek z dwiema osobami personelu, zgodnie z naszą standardową procedurą, poszła nad jezioro. Pech chciał, że jedna z pacjentek dostała wtedy ataku jakiejś histerii. Jakiejś? Zastanawiałem się, czy w ogóle zainteresowałem się**



szczegółami tego przypadku. Wydawał mi się najbardziej niefrasobliwym dyrektorem szpitala, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

–Zrobiło się zamieszanie i wtedy Mary powiedziała, że musi iść do toalety. Znajdowała się tuż obok, więc opiekunowie pozwolili jej pójść samej. To był błąd, ale cóż... błędy się zdarzają. Nikt nie wiedział, że ubikacja ma wyjście z drugiej strony.

–Mary pewnie wiedziała – mruknąłem.

Doktor Blaisdale w zamyśleniu stukał piórem po blacie.

–Tak czy owak zniknęła w pobliskim lesie.

Patrzyłem na niego, starając się go nie osądzać, choć przychodziło mi to z trudnością.

–Przez te wszystkie lata była wzorową pacjentką. Zaskoczyła nas.

–Tak jak wówczas, gdy zabiła swoje dzieci – powiedziałem.

Blaisdale spojrzał na mnie badawczo. Pewnie zastanawiał się, czy nie był to z mojej strony zarzut, choć nie miałem takiej intencji.

–Policja przeprowadziła wielką obławę, największą, jaką widziałem w życiu. Nie mieszałyśmy się do tego. Zależało nam oczywiście, by Mary do nas wróciła i żeby nic jej się nie stało, ale to nie było wydarzenie, które chcielibyśmy upublicznić. Nie sądziliśmy... – urwał nagle.

–Czego nie sądziliście?

–Cóż, wówczas nie sądziliśmy, że może być niebezpieczna dla kogokolwiek prócz siebie samej.

Nie powiedziałem głośno, co o tym myślę. Całe Los Angeles miało o Mary całkowicie odmienną opinię – uważano, że jest najpotworniejszym maniakałnym zabójcą, jaki kiedykolwiek żył na świecie.

–Czy zostały po niej jakieś rzeczy? – zapytałem na koniec.

–Owszem. Z pewnością zainteresują pana jej pamiętniki.

Pisała niemal codziennie. Podczas pobytu u nas zapisała dziesiątki zeszytów.

Rozdział 112

Portier Mac, który sprawiał wrażenie, jakby mieszkał w piwnicy szpitala, przyniósł mi z archiwum dwa pudła, pełne obwiązanych tasiemkami zeszytów szkolnych, podobnych do brulionów, używanych przez dzieci w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W ciągu lat spędzonych w szpitalu Mary Constantine napisała więcej, niż byłbym w stanie przeczytać

**przez cały dzień. Doktor Blaisdale obiecał, że jeśli okaże się to konieczne, przyślą mi później cały zbiór do Los Angeles.**

**–Dzięki za pomoc – powiedziałem do portiera.**

**–Nie ma problemu – odparł, a mnie przemknęło przez głowę pytanie, kiedy i dlaczego odpowiedź „proszę bardzo” zniknęła z języka nawet na dalekich wiejskich obszarach Vermontu.**

**Najpilniejszym moim zadaniem było poznanie osobowości Mary Constantine i porównanie jej z osobowością kobiety, którą znałem. Dwa pudła pamiętników powinny na początek wystarczyć.**

**Pismo Mary było czytelne i staranne. Wszystkie strony były uporządkowane i miały równe, czyste marginesy, bez gryzmołów.**

**Środkiem przekazu Mary Constantine były słowa, a tych jej nie brakowało. Na końcach linijek wszystkie wyrazy przechylały**

się w prawo, jakby zaczynały się spieszyć do miejsc, w których się urywały.

E-maile Mary Smith były zbudowane z krótkich, autonomicznych zdań i miały tę samą aurę wyobcowania, która emanowała z każdej strony tych dzienników, czasem ukryta pod powierzchnią, a czasem wyrażona wprost.

*Mam wrażenie, że jestem duchem. Nie wiem, czy kogokolwiek obchodzi, czy jestem, czy mnie nie ma. Ani czy ktoś wie, że w ogóle istnieją.*

*Z wyjątkiem Lucy. Tylko ona jest dla mnie miła. Nie wyobrażam sobie lepszej przyjaciółki. Bez niej byłoby tu zupełnie inaczej.*

*Często myślę, że Lucy jest jedyną osobą, która się o mnie troszczy. Która mnie zna i wie, jaka jestem.*

*Czy dla innych jestem niewidzialna? Często się nad tym zastanawiam - czy jestem niewidzialna?*

Na podstawie wybranych na chybił trafił zeszytów wyrobiłem sobie obraz osoby bardzo aktywnej, zawsze zajętej jakąś pracą. Mary była nie tylko pacjentką – pomagała także w prowadzeniu oddziału. Wyglądało też na to, że nigdy nie pozbyła się nadziei.

*Robimy papierowe łańcuchy dla świetlicy. Zajęcie jest trochę dziecinne, ale udało nam się. Na Gwiazdkę będzie ładnie.*

*Pokazałam dziewczynom, jak się je robi. Lubię uczyć je różnych rzeczy, a one lubią mi pomagać.*

*Czasem mnie drażni ta Roseanne z Burlington. Dziś mnie spytała, jak mam na imię. Jakbym już jej tysiąc razy tego nie powiedziała. Nie wiem, za kogo ona się uważa. Jest tak samo nikim jak my wszystkie.*

*Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, więc po prostu milczałam. Niech sama robi ozdoby. Wolno jej. Miałam ochotę ją uderzyć. Ale nie zrobię tego.*

A więc istnieli ważni i nieważni. Ten sam kompleks, określony tymi samymi słowami, wзираł z kalifornijskich e-maili. Występowanie tych samych słów w pamiętnikach Mary Constantine było dla mnie znakiem świadczącym o identyczności tych dwóch osób. Mary Smith miała obsesję na punkcie ważnych osobistości – kobiet na świączniku, idealnych matek – które tak bardzo odstawały od niej, od jej własnej bezbarwności. Byłem przekonany, że jeśli nadal będę szukał, to samo znajdę w całej wieloletniej twórczości pamiętnikarskiej Mary Con-

stantine.

Ale brakowało w niej choćby jednej wzmianki o dzieciach. Pamiętniki były kroniką zaprzeczania ich istnieniu. Kobieta, która spędziła w tym szpitalu tyle lat – nie zanotowała ani jednego wspomnienia o nich, jakby nigdy nie istniały. Natomiast Mary Wagner, kobieta, w którą przeistoczyła się Mary Constantine, myślała tylko o dzieciach, poza Ashley, Brendanem i Adamem nic jej nie obchodziło. Przemiana ta odbyła się przy kompletnym braku świadomości, że je zamordowała.

Co oznaczały w takim razie nalepki A i B?

Na tym etapie moich poszukiwań mogłem się tego jedynie domyślać. Jedną z możliwości było to, iż do Mary zaczęła stopniowo docierać świadomość jej potwornego czynu i w trakcie tego procesu dokonywała kolejnych morderstw, próbując się wyładować. Teraz jednak znów była w więzieniu i jedyną istotą, na której mogła się wyładować, była ona sama.

A jeśli tak było – to znaczy jeśli dopiero powoli poznawała prawdę – bałem się pomyśleć, co może się stać, kiedy ją sobie w pełni uświadomi.

Rozdział 113

Trudno mi było oderwać się od dzienników Mary – od jej słów, jej myśli, jej gniewu.

Po raz pierwszy wydało mi się możliwe, iż to ona popełniła morderstwa w Los Angeles.

Spojrząwszy na zegarek, skonstatowałem, że jestem już pół godziny spóźniony na spotkanie z prowadzącym ją lekarzem, doktor Debrą Shapiro. Psiakrew, muszę się pośpieszyć. \*

Kiedy wszedłem do jej gabinetu, właśnie zbierała się do wyjścia. Przeprosiłem ją za spóźnienie. Została, by ze mną porozmawiać, lecz przysiadła tylko na brzegu kanapki, trzymając swoją aktówkę na kolanach.

–Mary była moją pacjentką przez osiem lat – powiedziała, zanim ją o cokolwiek zapytałem.

–Jak by ją pani scharakteryzowała?

–Może to dziwne, ale nie jako typ morderczyni. Jej czyn oceniłabym jako efekt choroby psychicznej, która była częścią aberracji na jakimś szerszym tle. Mary nadal jest chora, ale wszelkie destrukcyjne zachowania zanikły u niej już dawno temu. To rezultat pobytu tutaj. Ani razu nie wystąpiły u niej żadne nienormalne objawy.

–Jak pani może być tego pewna? – zapytałem zdziwio-

ny. – Zwłaszcza wobec tego, co się wydarzyło. Może Mary nie była tu jedyną pacjentką żyjącą w zaprzeczeniu?

–Nie przysięgłabym przed sądem, że tak nie jest, ale osiem lat terapii z pewnością dało jakieś efekty, doktorze Cross. Musiałem się z nią oczywiście zgodzić, choć bardziej by mnie przekonała, gdyby mi pozwoliła wyrobić sobie pogląd na osobowość Mary.

–Co pani sądzi o jej dzieciach? – spytałem. – Nie znalazłem w jej pamiętnikach ani jednej wzmianki o nich. Natomiast na podstawie moich obecnych krótkich kontaktów z nią mogę stwierdzić, że teraz o niczym innym nie potrafi myśleć. W jej pojęciu cała trójka nadal żyje. Ma na ich punkcie obsesję.

Doktor Shapiro pokiwała głową, zerkając równocześnie na zegarek.

–Rzeczywiście trudno to ze sobą pogodzić. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że leczenie Mary przyniosło w końcu rezultat. Pamięć o dzieciach stopniowo w niej odżywała, aż w końcu wróciła w pełni. Kiedy to nastąpiło, jej natychmiastową reakcją po dwudziestu latach podświadomego tłumienia winy było coś, co można by nazwać wskrzeszeniem ich. To tłumaczyłoby jej ucieczkę: chciała wrócić do nich, do życia z nimi.

–A te morderstwa w Kalifornii? – zapytałem szybko, widząc, że doktor Shapiro wierci się niespokojnie, jakby za chwilę miała wstać i wyjść.

Ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami. Zastanawiałem się, czy tak samo zachowywała się wobec swoich pacjentów podczas sesji terapeutycznych.

–Trudno powiedzieć, co się z nią działo po ucieczce, ale z tego, co o niej wiem... – urwała na moment i pokręciła głową-jedynym miejscem, w którym bym jej szukała, byłoby Los Angeles.

–Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

–Parę lat temu jej historia wzbudziła spore zainteresowanie. Przyjechało kilka osób z filmu. Zgodziliśmy się, by Mary

udzieliła wywiadu, ale jako pensjonariuszce oddziału zamkniętego nie mogliśmy pozwolić jej na nic więcej. W końcu przestali się nią interesować i odjechali. To byli jedyni ludzie, którzy przyjechali ją odwiedzić w ciągu tych wszystkich lat.

–Kim oni byli? – Wyjąłem notes. – Muszę wiedzieć, kto to był. Czy istnieje rejestr odwiedzin albo cokolwiek innego,

**co pozwoliłoby ich zidentyfikować?**

**–Nie pamiętam ich nazwisk – odparła. – Poza tym nie jestem pewna, czy mi wolno udzielać takich informacji. Proszę się zwrócić do doktora Blaisdale'a. Tylko on ma do tego prawo. Zastanawiałem się, czy odmawiając, chciała chronić pacjentkę, czy po prostu gdzieś się spieszyła. Na zegarku była 17.46. Doszedłem do wniosku, że niczego więcej z niej nie wydobędę, a robi się późno. Podziękowałem pani doktor za poświęcenie mi czasu i wyszedłem, kierując się z powrotem do budynku administracji.**

**Zamknąwszy za sobą drzwi, puściłem się biegiem.**

**Rozdział 114**

**Poczułem się znów policjantem i sprawiło mi to przyjemność. Kiedy wszedłem do biura administracji, zegar na ścianie wskazywał 17.52.**

**Uśmiechnąłem się do młodej blondynki z różowymi kolcami włosów na głowie, udekorowanej obficie sztuczną biżuterią. Nakrywała plastikowym pokrowcem klawiaturę komputera.**

**–Dzień dobry. Mam krótką sprawę. To pani zajmie niewiele czasu, a mnie bardzo pomoże.**

**–Nie wytrzyma pan z tym do jutra? – spytała, lustrując mnie wzrokiem z góry na dół.**

**–Nie. Przed chwilą skończyłem rozmawiać z doktor Shapiro, która powiedziała, że powinienem się z tym zwrócić do pani i że jeśli się pospieszę, to jeszcze panią złapię. Muszę zajrzeć do rejestru odwiedzin kobiet przebywających na oddziale zamkniętym w okresie kilku ostatnich lat. Chodzi o Mary Constantine. To bardzo ważne, inaczej nie sprawiałbym pani kłopotu.**

**Kobieta podniosła słuchawkę.**

**–Przysłała pana doktor Shapiro?**

**–Tak. Wyjechała już, ale powiedziała, że to żaden kłopot. – Pokazałem jej legitymację. – Nazywam się Alex Cross i jestem z FBI. To ma związek z toczącym się śledztwem w sprawie zabójstw.**

Nie ukrywała niezadowolenia.

–Zamknęłam już komputer, a muszę odebrać córeczkę.

Mogę panu dać komplet wydruków, jeśli pan chce.

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w przyległym pokoju i wróciła z niewielkim stosem skoroszytów.

–Może pan tu posiedzieć, dopóki Beadsie nie wyjdzie. –

Pomachała ręką do kobiety w przeszklonym pomieszczeniu na tyłach biura, po czym wyszła bez pożegnania.

Strony rejestru odwiedzin były podzielone na kolumny.

Zacząłem je przeglądać od końca ostatniego skoroszytu, szukając nazwiska Mary w rubryce: *Kogo przybywasz odwiedzić?*

Nie znalazłem go wśród wpisów z dwóch ostatnich lat.

Sądząc z tego, można było sobie wyobrazić, jak bardzo samotną osobą była Mary Constantine.

Kiedy cofnąłem się dalej, zobaczyłem liczne adnotacje w rubryce odwiedzin. To było tamto nagłe zainteresowanie jej historią, o którym mówiła doktor Shapiro. Trwało około półtora miesiąca.

Zabrałem się do studiowania nazwisk ludzi, którzy przyjeżdżali wtedy do Mary. Większość z nich nic mi nic mówiła.,

Po chwili jednak rozpoznałem jedno z nich.; rc

Rozdział 115

Vermont sprawiał wrażenie, jakby nienawidził mojej komórki. Okazał się Krainą bez Zasięgu.

Poszukałem budki telefonicznej, zadzwoniłem do agenta Page'a w Los Angeles i kazałem mu rozszerzyć połączenie na miejscową policję. Chwilę później zgłosiło się biuro Madduxa Fieldinga, ale ku mojemu zaskoczeniu samego Fieldinga nie było.

–Wiesz co? – powiedziałem bezimiennemu porucznikowi na drugim końcu linii. – Pieprzyć go. Połącz nas z detektyw Gallettą.

–Co się dzieje? – spytał Page, kiedy czekaliśmy na połączenie.

Po sekundzie usłyszałem w słuchawce głos Jeanne.

–Tu Jeanne Gallettą. Czy to ty, Alex?

–Tak, to ja. Mamy połączenie z Karlem Page'em z naszego biura terenowego w Los Angeles. Jestem w Vermoncie. Odkryłem ważną rzecz w sprawie Mary Smith.

–Dobrze, że tam jesteś. Mamy morderstwo w Vancouver – poinformowała mnie Jeanne. – Ale co, u licha, robisz taki kawał drogi stąd, w Vermoncie?

–Zapomnij o Vancouverze i znajdź Fieldinga. Rób, co

**chcesz, ale ktoś musi przesłuchać Michaela Bella, męża Marti Lowenstein-Bell.**



–Co? – W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie. Usłyszałem stłumione przekleństwo Page'a. Pewnie przykrył mikrofon słuchawki ręką.

Zdałem im szybką relację z moich ostatnich dwóch dni pobytu w Vermoncie, a potem przeczytałem nazwiska, które znalazłem w rejestrze odwiedzin.

–On zna Mary Constantine. Wielokrotnie był u niej w szpitalu w Vermoncie.

–I co z tego? Sądzisz, że mógł być z nią w zмовie? Skąd w ogóle wiedział, że ona jest w Los Angeles?

–Nie wiem jeszcze wszystkiego. Może sama go odszukała, kiedy się tam znalazła... może ze sobą korespondowali. Jej historia byłaby wiele warta jako materiał na opowieść lub scenariusz.

–Sądzisz, że zamierzał zabić własną żonę, rzucając podejrzenie na Mary? To by było potworne, Alex.

–Owszem. Cała ta historia jest potworna i nieprawdopodobna. Nadążasz za nami, Page?

–Nadążam. Nareszcie zobaczyłem w tym jakąś logikę.

–Dobrze. Odtwórz siatkę powiązań Michaela Bella ze wszystkimi innymi osobami zamieszkanymi w tę sprawę. Zastanawiam się, czy miał w programie tylko żonę. Dowiedz się wszystkiego, co się da, surferze. W tej chwili najważniejszą rzeczą po zatrzymaniu tego człowieka przez policję będzie znalezienie pretekstu do przetrzymania go w areszcie. A ty, Jeanne, nie zastanawiaj się w tej chwili nad tym, czy mam rację, tylko jak najprędzej wyślij samochód do domu Bella. I jeszcze coś...

–Co takiego?

–Nie jedź tam sama. Jestem pewny, że to właśnie Bell jest mordercą, którego szukamy.

Rozdział 116

Sprawa Mary Smith znów ożyła.

Zajechałem na pierwszą napotkaną stację benzynową, położoną jakieś piętnaście kilometrów od szpitala. Była to stara stacja Texaco z literą A ze skrzydełkami na dachu. Zaraz za mną wjechał na nią fordF-150. Poza pawilonem stacji jedynym budynkiem w zasięgu wzroku była stara cukrownia po przeciwległej stronie drogi. Na polu pasło się kilka krów rasy Holstein. Zadzwoiłem z budki telefonicznej do Karla Page'a. Byłem ciekaw, czego zdołał się dowiedzieć o Michaelu Bellu. Ponieważ o tej porze nie mogłem liczyć na samolot z Bur-

lington, chciałem mieć najświeższe informacje, poza tym obawiałem się o Page'a i Gallettę. Kto wie, jakie Bell miał plany i do czego był zdolny.

–Czego się dowiedziałeś? – spytałem Page'a.

–Nie do wiary, ile można znaleźć, jeśli się wie, gdzie szukać – odparł. – Marti Lowenstein-Bell tuż przed śmiercią sprzedała swój show HBO. Miał ogromne wzięcie, natomiast trzy ostatnie solowe projekty Michaela Bella nie wypaliły. Sukcesy odnosił tylko z nią, a zanosilo się na to, że ich małżeństwo się rozpadnie. Nie wystąpiła jeszcze formalnie o rozwód, ale jej przyjaciółka powiedziała, że było to tylko kwestią czasu.

–Bingo!

–To dopiero początek. Policja próbowała sprawdzić alibi Bella, lecz okazało się dziurawe. Bywał w pracy, ale zazwyczaj mówił wszystkim, że pracuje w domu. Słuchaj dalej: Arnold Griner wielokrotnie zmieszał z błotem filmy Bella w „Variety”. W swojej rubryce nazywał go „Michaelem Klapą”. Być może właśnie dlatego zginął. A jeśli chodzi o Antonią Schiffman, to wycofała się z przedsięwzięcia, które finansował Bell. Dała mu wprawdzie słowną obietnicę, ale taka obietnica jest niewiele warta. Projekt upadł, a Bell stracił pół miliona, które w niego zainwestował. Głos Page'a dźwięczał adrenaliną. Był jak chart, który zwęszył świeży trop.

–Dam głowę, że tego jest znacznie więcej – dodał po chwili. – Bell znalazł się na równi pochyłej, prowadzącej ku przepaści, więc postanowił pociągnąć wszystkich za sobą.

–Draż dalej – zachęciłem go. – Zrobiłeś kawał dobrej roboty. Są jakieś wiadomości od policji? Od Jeanne?

–Wysłali do jego domu wóz patrolowy, lecz nikt im nie otworzył.

–Weszli do środka?

–Nie, ale z całą pewnością nikogo tam nie było. Dom jest pod stałą obserwacją.

–W porządku. Zadzwoń, kiedy znów się gdzieś zatrzymam... pewnie już w okolicach lotniska. Czuję, że jestem tu uziemiony na całą noc.

Nie uśmiechała mi się perspektywa spędzenia nocy w Vermoncie, ale nie miałem wyboru. Zastanawiałem się, czy nie wstąpić do sklepiku spożywczego obok stacji benzynowej, gdzie może miałoby coś mniej obrzydliwego od czekoladowych biskwitów czy MM z orzechami, ale jakoś zdołałem się powstrzymać. Czasem zadziwiałem sam siebie.

Ruszyłem z powrotem do wynajętego na lotnisku wozu. Szedłem z nisko opuszczoną głową, bo wiał ostry, zimny wiatr. Kiedy byłem już przy samochodzie, podniosłem głowę i zamarłem.

Okazało się, że mam towarzystwo.

Na fotelu obok miejsca kierowcy siedział James Truscott.

Rozdział 117

To zakrawało na jakiś absurd. Co on tu, do cholery, robił?

Wyglądało na to, że mnie śledził. Ale w jakim celu?

Gdy szarpnąłem za klamkę drzwiczek z jego strony, przed oczami latały mi czerwone płatki. Otworzyłem usta, by na niego ryknąć, lecz nie zdołałem wydusić z siebie żadnego dźwięku.

Jego obecność nie mogła już sprawić mi kłopotu – przynaj-

mniej w tej chwili. Siedział na przednim siedzeniu, nieruchomy jak posąg. Nie żył.

–Wsiadaj do samochodu – usłyszałem za sobą czyjś głos. – Nie rób widowiska, bo będę musiał wejść do sklepiku i zastrzelić tę miłą staruszkę, która go prowadzi. Wiesz, że to dla mnie pestka.

Odwróciwszy się, ujrzałem Michaela Bella.

Wyglądał na niezrównoważonego psychicznie. Był wymizowany – od czasu, gdy widziałem się z nim u niego w domu, stracił sporo na wadze. Jego jasnoniebieskie, nabiegłe krwią oczy i potargana krzaczasta broda sprawiały, że mógł uchodzić za miejscowego drwala.

–Od jak dawna mnie śledzisz? – spytałem, próbując wciągnąć go w rozmowę, wyczuć sytuację.

–Wsiadaj do samochodu i jedź. Nic nie mów. Przejrzałem cię.

Wsiadliśmy obaj, Bell ulokował się na tylnym siedzeniu i wskazał drogę odchodzącą w bok od autostrady. Zapuściłem silnik i pojechałem we wskazanym kierunku, zastanawiając się gorączkowo, co powinienem w tej sytuacji zrobić. Pistolet miałem w bagażniku. Jak się do niego dostać? Albo jak odwrócić uwagę Bella?

–Jaki miałeś plan, Michael?

–Zamierzałem pozwolić ci wrócić do Waszyngtonu, a reszta dalej wiodłaby swoje żalosne życie, ale ten plan nie do końca się powiódł. Powinieneś być mi wdzięczny za uwolnienie cię od Truscotta. Nawiasem mówiąc, szlochał i błagał mnie o życie. Był dobrym dziennikarzem. Nawet mi się podobał, ale na samym końcu okazał się mięczakiem.

Zaskoczyło mnie, iż wiedział, że jestem z Waszyngtonu, a jeszcze bardziej to, że wiedział o moich kłopotach z Truscottem. Najwyraźniej był dobrym obserwatorem. Z pewnością wiedział znacznie więcej.

–Co dalej? – spytałem.

–A jak myślisz? Podobno jesteś ekspertem. Jak ci się zdaje, co teraz nastąpi?

–To się nie musi tak skończyć – powiedziałem, próbując przedłużyć rozmowę. Grałem na zwłokę.

–Nie rób sobie ze mnie jaj. Jakie widzisz inne wyjście?

Umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co mi masz do zaproponowania.

Mówiąc to, przystawił mi lufę pistoletu do karku. Odchyliłem się, ale miałem ograniczone ruchy. Pomyślałem sobie, iż dobrze byłoby wiedzieć, co tak naprawdę zamierza. Zastanawiałem się, czy postępuje według z góry ustalonego planu, czy improwizuje. Mary Smith potrafiła jedno i drugie.

Dowiedziałem się wreszcie, kto jest prawdziwym mordercą. Przejechaliśmy kilka kilometrów drugorzędną, nieoświetloną szosą.

–Wystarczy – powiedział nagle. – Skręć teraz w lewo.

Zjechałem z asfaltu na wyboistą polną drogę, która pięła się

w górę, niknąc w jodłowym lesie. Chwilę później wjechaliśmy w tunel drzew. Mój czas się kurczył, malały szanse na ucieczkę. Mary Smith dopadła mnie w podobny sposób jak wszystkie swoje poprzednie ofiary, które zabiła bez wpadki.

–Dokąd jedziemy, Bell?

–Tam, gdzie tak prędko cię nie znajdą. Ani twojego kumpla

pismaka.

–W Los Angeles już cię szukają. Zadzwoń tam.

–Niech szukają. Nie jesteśmy w Los Angeles, prawda?

–A co z twoimi córeczkami, Michael? Nie żal ci ich?

Wcisnął mi mocniej lufę pistoletu w kark.

–To nie są moje córeczki. Zanim się ożeniłem z Marti i zrobiłem z niej gwiazdę, była tanią kurwą. Staralem się być dobrym ojcem dla tych niewdzięcznych bachorów, wszystko ze względu na Marti. Była fałszywą suką, kiedy ją poznałem, i nigdy się nie zmieniła. W porządku, zatrzymaj się. Tu będzie dobrze.

Patrzyłem na to z innej perspektywy. Światła reflektorów wydobyły z mroku odcinek drogi biegnący tuż nad zalesionym urwiskiem z prawej strony. Trzeba było uważać, by nie spaść. Zobaczyłem nagle swoją szansę -jeśli zdołam się do tego zmusić – choć z drugiej strony wiedziałem, że nie mam wyboru. Przycisnąłem pedał gazu do deski i ostro szarpnąłem kierownicą w prawo.

–Co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnął Bell. – Zatrzymaj samochód! Stój!

Wszystko potoczyło się błyskawicznie: pistolet Bella wypalił i poczułem eksplozję bólu w prawym barku, a samochód zaczął się toczyć po niemal pionowym zboczu urwiska w dół.

Rozdział 118

Ból momentalnie ogarnął całe moje ciało. Jodły i gęste poszycie rozstępowały się przed samochodem, który pędził w dół zbocza, podskakując jak kangur i grożąc przekoziółkowaniem.

Spadaliśmy chyba nie dłużej niż cztery czy pięć sekund, mimo to końcowe uderzenie rzuciło mnie piersią na kierownicę z nieprawdopodobną siłą. Gdyby nie zapięty pas, wyleciałbym przez przednią szybę. Wiedziałem, że Bell nie zapiął swojego, i miałem nadzieję, że odniósł jakieś obrażenia. Miałbym szczęście, gdyby się okazało, że stracił przytomność lub zginął. Trzymałem rękę na klamce i kiedy tylko samochód znieruchomiał, wytoczyłem się z niego najszybciej, jak mogłem. W całym ciele czułem tępy ból, który niemal mnie paraliżował. Moje prawe ramię zwisało bezwładnie.

Zobaczyłem ciało Jamesa Truscotta, leżące z rozkrzyżowanymi rękami na piasku, twarzą w dół. Widocznie siła uderzenia wyrzuciła go z samochodu.

Usłyszałem jęk Bella, dobiegający z wnętrza wozu. Żył, co było złą wróżbą. Zebrawszy wszystkie siły, ukląknę na jedno

**kolano. Poczulem ból w barku: musialem miec złamaną kość.  
Wysunalem ostrożnie nogę przed siebie, chcąc zrobić krok.  
Spodziewalem się równego podłoża, lecz trafiłem na niemal**

niewidoczny zwał splątanego chrustu i upadłem, lądując w płyt-  
kiej wodzie. Nie miałem pojęcia, że przede mną znajduje  
się strumień, którego powierzchnia rozciągała się dalej, niż  
mogłem dojrzeć w ciemności. Lodowata woda przyprawiła  
mnie o dreszcze.

Nie wyobrażałem sobie, że ból może się jeszcze powięk-  
szyć, a tymczasem na moment zrobiło mi się białe przed  
oczami i dopiero po chwili częściowo odzyskałem zdolność  
widzenia.

Ponownie zacząłem się podnosić, lecz znów upadłem na  
twarz. Tym razem pomógł mi w tym Bell. Przyciskał mi głowę  
i szyję i okazał się diabelnie silny. Poczulem na plecach jego  
nogę. Woda zalała mi nos i usta.

–Myślałeś, kurwa, że ci się uda... – syknął.

Nie pozwoliłem mu skończyć. Założyłem nogami chwyt na  
jego łydce, co mnie kosztowało resztę sił, lecz Bell stracił  
równowagę. Ciężar z moich pleców zniknął, po czym usłysza-  
łem dwa pluśnięcia. Miałem nadzieję, że jedno z nich spowo-  
dował jego pistolet.

Opierając się na zdrowej lewej ręce, dźwignąłem się z wody  
na tyle, by móc go zaatakować. Zebrałem się w sobie i walnąłem  
Bella lewym sierpowym, zanim zdążył się zasłonić.

Wyciągnąwszy przed siebie ręce, wczepił się palcami w moją  
twarz. Był mniej więcej mojego wzrostu, ale ważył znacznie  
więcej. Mimo iż w ciągu ostatnich tygodni znacznie schudł, był  
ode mnie o kilkanaście kilogramów cięższy.

Złapawszy go za gardło, zacisnąłem z całej siły palce. Zaczął  
się krztusić, lecz nie puszczał.

Chciałem wzmocnić chwyt na jego łydce, ale gdy przesuną-  
łem stopę, trafiłem na kłęb śliskich glonów i ponownie wylądo-  
wałem w lodowatej wodzie. Było mi przeraźliwie zimno, lecz  
nie myślałem o tym.

Michael Bell podniósł się szybciej ode mnie. Wydawało  
się, że złapał drugi oddech. Moje ruchy spowalniała wściekle  
boląca ręka.

Widziałem tylko zarys jego sylwetki. Podnosił coś, co wy-  
glądało jak płaski kamień o rozmiarach encyklopedii. Trzymając  
go obiema rękami nad głową, odwrócił się w moją stronę.

–Ty głupi kutasie! – krzyknął. – Zabiję cię! Zaplanowa-  
łem to. Tak właśnie miała się zakończyć moja opowieść i tak  
się skończy.



Odsuwałem się od niego, leżąc na plecach w płytkiej wodzie, wiedziałem jednak, że nie ucieknę daleko. Nagle moja ręka trafiła na jakiś twardy przedmiot. Z początku nie wiedziałem, co to jest. Kamień? Metal?

–Umrzesz! – wrzasnął Bell. – Jak ci się podoba mój plan? Czy to nie jest najlepsze zakończenie?

Metalowy przedmiot. Poznałem go. Wyjąłem z wody pistolet Bella, szukając po omacku spustu.

–Stój! – zawołałem.

Zbliżał się nadal, trzymając nad głową wielki kamień.

–Giń, skurwysynu!

Nie miałem wyjścia, więc strzeliłem.

W ciemnościach, rozpraszanych jedynie skąpym światłem księżyca przedzierającego się przez korony drzew, nie widziałem dokładnie, co się dzieje. Usłyszałem tylko, że stęknął, po czym na sekundę znieruchomiał.

Zaraz jednak znów rzucił się naprzód. Strzeliłem drugi raz, potem trzeci.

Oba pociski trafiły go w pierś, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Kamień wypadł mu z rąk. Jakby podtrzymywany niewidzialną siłą, zdołał jeszcze zrobić dwa lub trzy chwiejne kroki, ale po chwili z głośnym pluskiem zwałił się twarzą do wody i znieruchomiał.

W lesie zapanowała cisza.

Trzęsąc się z zimna i emocji, nadal trzymałem Bella na muszce. Dobrnięcie do niego po śliskich kamieniach okazało się nadludzkim wysiłkiem.

Nie ruszał się, kiedy do niego dotarłem. Podniósłszy jego

rękę, próbowałem wymacać puls. Nie znalazłem go, więc sprawdziłem po raz wtóry, z tym samym wynikiem. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jak bardzo mi jest zimno i jak przeraźliwa potrafi być cisza lasu.

Michael Bell nie żył. Nie żyła też Mary Smith. W mokrym, lodowato zimnym ubraniu ja również nie miałem wielkich szans.

### Rozdział 119

Moje powolne wspinanie się po ścianie żlebu było straszliwą męką – nie pamiętam z niego nic prócz potwornego bólu, zawrotów głowy i mdłości. Całe szczęście, że wówczas ledwie zdawałem sobie z tego sprawę.

Jakimś cudem udało mi się wrócić na główną drogę, skąd zabrał mnie jakiś student, mocno przestraszony moim stanem. Nie znam nawet jego nazwiska. Myślę, że zemdlałem na tylnym siedzeniu jego subaru.

Następnego dnia rano wydobyto ciało Bella ze strumienia, ja zaś odpoczywałem w szpitalu Fletchera Allena w Burlington. „Odpoczywałem” nie jest właściwym słowem. Miejscowi policjanci bez przerwy wchodzili do mojego pokoju i wychodzili; rozmawiałem godzinami z biurem w Waszyngtonie, z terenowym biurem w Los Angeles i z Jeanne Gallettą, starając się poskładać w całość wszystko, co wydarzyło się od początku fali morderstw.

Chytróść planu Michaela Bella polegała na połączeniu dwóch czynników – bezsensowności z szaleństwem – oraz zastosowaniu najprostszej taktyki, jaką jest odwrócenie od siebie podejrzeń. Okazało się to skuteczne prawie do samego końca. Wiedziałem od Jeanne, że Bell pisał dla zarobku kryminalne opowiadania. Nie zdziwiłbym się, gdyby w trakcie rozwoju

sprawy powstawał jednocześnie scenariusz, pisany pod innym nazwiskiem. Szczegóły prawdopodobnie byłyby zmienione, ale film mógł być opatrzony adnotacją: „oparty na prawdziwych zdarzeniach”.

–Kogo chciałbyś oglądać w swojej roli? – zażartowała Jeanne przez telefon.

–Nie wiem, ale mało mnie to obchodzi. Może być nawet ten kurdupel Herman.

Co do Mary Constantine, miałem wobec niej mieszane uczucia. Tkwiący we mnie stróż prawa oceniał ją jednoznacznie, lecz jako psycholog patrzyłem na nią z innej perspektywy.

**Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość, iż władze zapewniają opiekę i leczenie. Według doktor Shapiro mogła z czasem osiągnąć stan pewnej równowagi psychicznej i to mi w tym momencie całkowicie wystarczało.**

**Około czwartej otworzyły się drzwi i na progu ukazała się Nana.**

**–Dawnośmy się nie widzieli – powitałem ją, usiłując się uśmiechnąć. – Cześć, Nana. Co cię sprowadza do Vermontu?**

**–Syrop klonowy – odpowiedziała łamiącym się ze wzruszenia głosem.**

**Weszła nieśmiało do środka, co było u niej niezwykle, i skrzywiła się, widząc, że mam ramię na temblaku.**

**–Och, Alex, Alex...**

**–To gorzej wygląda, niż jest w rzeczywistości. A może i nie – mruknąłem. – Nie miałaś trudności z przylotem?**

**–Żadnych. Jedziesz na lotnisko, kupujesz bilet i lecisz.**

**Wyciągnąwszy rękę, dotknęła chłodną dłonią mojego policzka. Pamiętałem ten jej zwyczaj, tak bardzo podnoszący na duchu. Jak ja bym sobie dał radę bez tej kłótlivej starej kobiety? – przemknęło mi przez głowę. Czym byłbym dzisiaj, gdyby nie ona?**

**–Powiedzieli, że wkrótce będziesz zdrów, Alex. Mam nadzieję, że to „wkrótce” nie potrwa długo.**

**Bywałem już postrzelony. Takie przeżycia są niewątpliwie**

traumatyczne, lecz ich skutki nie okazały się nieodwracalne.  
Jak dotąd.

–Będę zdrow – uspokoilem Nanę. – Na ciele i na duszy.

–Kazałam dzieciom poczekać na korytarzu. Chcę ci coś powiedzieć i mieć to z głowy.

–Oho, czuję nowe kłopoty. Chyba znów mam u ciebie przechłapanie.

Zamiast odwzajemnić mój uśmiech, objęła dłońmi moją rękę.

–Dziękuję Bogu za każdy dzień mojego życia, Alex. Za to, że pozwolił mi cię wychowywać i patrzeć, jak stajesz się tym, kim jesteś. Chcę jednak, żebyś sobie przypomniał, dlaczego przeszedłeś pod moją opiekę. Pomyśl o śmierci twoich biednych rodziców. Krótko mówiąc, Jannie, Damon i Ali zasługują na lepszy los. – Zamilkła na sekundę, by zaakcentować puentę. – Nie pozwól, żeby zostały sierotami, Alex.

Rozdział 120

Chciałem się odezwać, lecz Nana nie dała mi dojść do słowa.

–Z nas dwojga ja pierwsza odejdę, to nie ulega kwestii.

Nie próbuj się ze mną sprzeczać.

Na takie *dictum* wzruszyłem jedynie ramionami, co wywołało paroksyzm bólu w barku i w szyi.

–Nie wiem, co ci na to odpowiedzieć.

–Nic nie mów. Po prostu nic. Zamiast tego posłuchaj, co ja mam ci do powiedzenia, bo to mądrość starości. Posłuchaj, a któregoś dnia przekonasz się, że miałam rację.

Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Poczułem węzeł w gardle, nie był to jednak smutek. Raczej wdzięczność – i ogromne przywiązanie do tej drobnej, lecz zadziwiająco silnej i mądrej kobiety.

–Możesz mi wierzyć, że zawsze słucham twoich rad.

–Tak, ale potem idziesz i robisz swoje.

Szum z korytarza stał się głośniejszy, bo drzwi się uchylły.

Kiedy spojrzałem w tamtą stronę, serce podskoczyło mi w piersi na widok zatroskanej twarzy Damona.

–Kogo ja widzę! – Przetarłem oczy. – Głowa rodziny we własnej osobie.

–Nie pozwolili przyjść Jannie, bo nie ma dwunastu lat – oznajmił Damon.

Usiadłem na łóżku.

–Gdzieście ją zostawili?

–Tu jestem – usłyszałem za drzwiami oburzony głos

Jannie.

–W takim razie wejdź, zanim cię ktoś zobaczy. Prędko. Nikt cię nie zaaresztuje. Najwyżej ja, jeśli będziesz dalej tam tkwiła.

Weszli do pokoju i podbiegli do mojego łóżka, by mnie uściskać. Zawahali się przez sekundę na widok bandaży. Wyciągnąłem zdrową rękę i przytuliłem ich oboje.

–Jak długo musisz tu zostać? – spytała Jannie.

–Za kilka dni wrócę do domu.

–To wygląda groźniej, niż jest w rzeczywistości – wtrąciła Nana.

Damon wyprostował się i ponownie spojrzął na temblak.

–Czy bardzo bolało?

–Bardzo – mruknęła Nana.

–Bywało gorzej – odparłem.

Popatrzyli na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Byłem przecież ich ojcem. Wydali mi się jakoś starsi niż wtedy, gdy się z nimi ostatnio widziałem. Sam też poczułem się starszy: czterdzieści jeden lat to już sporo.

Moje dzieci będą rosły i zmieniały się niezależnie od tego, czy będę świadkiem tych przeobrażeń. Nagle uderzyła mnie głęboka prawda tego spostrzeżenia – choć było takie oczywiste. Podałem się.

–Owszem – powiedziałem. – Bolało jak diabli.

Równocześnie wróciła ta straszna myśl: nie pozwól, żeby zostały sierotami -więc przytuliłem je z całej siły, nie zważając na ból. Nie chciałem pozwolić im odejść i zarazem nie chciałem, by się domyśliły, co sobie pomyślałem.

Rozdział 121

Blisko tydzień spędziłem w Vermoncie w szpitalu Fletchera Allena, co było moim najdłuższym do tej pory pobytem w szpitalu i stanowiło pewnego rodzaju ostrzeżenie dla mnie. Ile takich ostrzeżeń trzeba, żebym się opamiętał?

Około szóstej wieczorem w piątek zadzwoniła do mnie z Los Angeles detektyw Jeanne Galletta.

–Czy znasz już najświeższą wiadomość, Alcx? – spytała. – Przypuszczam, że tak.

–Jaką wiadomość? Że wreszcie wypiszą mnie ze szpitala?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Chcę ci powiedzieć, że wczoraj Mary Wagner przyznała się do popełnionych w Los Angeles morderstw.

–Ona ich *nie* popełniła. To dzieło Michaela Bella.

–Wiem. Nawet Maddux Fielding o tym wie. Nikt jej nie

uwierzył, chociaż się przyznała. A dziś w nocy powiesiła się w swojej celi, biedactwo. Mary Wagner nic żyje, Alex.

Pokręciłem głową i westchnąłem.

–Przykro mi to słyszeć. To kolejna śmierć, której winien jest Bell. Jeszcze jedno morderstwo.

Następnego ranka niespodziewanie zostałem zwolniony ze szpitala. Zatelefonowałem z tą wiadomością do domu, a potem udało mi się złapać samolot do Bostonu. Stamtąd wahadłowcem

poleciałem do Waszyngtonu. Jeszcze nigdy nie byłem tak zadowolony z podróży zatłoczonym wahadłowcem.

Z lotniska wziąłem taksówkę. Jadąc około siódmej wieczorem na południowy wschód, poczułem rozchodzące się po całym ciele spokojne ciepło. Nie ma drugiego takiego miejsca jak dom. Nic nie może zastąpić domu. Wiedziałem, że nie wszyscy podzielają tę opinię, lecz ja byłem bardzo szczęśliwy, że wreszcie do niego wracam.

Taksówka zajęła przed front domu przy Piątej Ulicy.

Nagle uświadomiłem sobie, że biegnę przez mały trawnik, a potem dwoma susami pokonuję drewniane schodki, pokryte dawno temu wypłowiałą farbą.

Chwyciłem małego Aleksa w ramiona i uniosłem go wysoko nad głową. Bolało, ale to nie miało znaczenia.

–Zaraz wracam! – zawołałem do kierowcy, który wychylał się przez boczne okienko z lekko zblazowaną miną waszyngtońskiego taksówkarza.

–W porządku. Nie spiesz się, przyjacielu. Licznik i tak bije. Spojrzałem na Nanę, która wyszła na werandę za moim młodszym synem.

–Jak to się stało? – wyszeptałem. – Powiedz, co się wydarzyło.

–Ali znowu jest z nami – odparła cicho. – Christine sama go przyprowadziła, Alex. Jeszcze raz zmieniła zdanie. Nie przeprowadza się na wschód. Ali zostanie u nas na zawsze. Czy przyszłoby ci kiedyś do głowy, że do tego dojdzie? A co z tobą? Będziesz już teraz w domu?

–Będę, Nana – odparłem i spojrzałem mojemu młodszemu synowi w oczy. – Będę w domu, Ali, przyrzekam ci. A ja zawsze dotrzymuję przyrzeczeń.

# Spis treści

**Prolog – Opowiadacz... 7**

**Część 1 – Morderstwa „Mary Smith”... 17**

**Część 2 – Kocham Los Angeles... 53**

**Część 3 – Żonglowanie... 149**

**Część 4 – Niebieski suburban... 221**

**Część 5 – Koniec opowieści... 291**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-07

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*